



# wyspa

POLLY HORVATH

**POLLY HORVATH**

# **Wyspa**

*Przełożyła Katarzyna Marciniak*



## MELISIE

Była noc, kiedy opuściłam swoje mieszkanie w Hyannis Port. Pracownica opieki społecznej przysłała pod drzwi. Tiffany, dwudziestoczteroletnia blondynka, która się mną zajmowała (ostatnio wyrzucona z college'u, niezbyt bystra, ale nadziana, jak większość dziewczyn w mieście), była zbyt podekscytowana, żeby się ulotnić. Stała za mną, gdy pracownica społeczna powiedziała, że moi rodzice zginęli w katastrofie pociągu w Zimbabwie razem z ciotką i stryjem. I że Jocelyn, moja kuzynka, ocalała i jest w drodze do Kolumbii Brytyjskiej - do stryja Martena, który został naszym opiekunem. Jocelyn skończyła szesnaście lat, ja - piętnaście. Stryj miał się nami zająć do czasu, gdy będziemy wystarczająco dorosłe, żeby pójść na studia.

- Albo dokądkolwiek - wzruszyła ramionami Tiffany, która w tym właśnie momencie postanowiła włączyć się do rozmowy. Przedtem głośno wdychała i wydychała powietrze, aż czułam jej oddech na karku. Kiedy bezwiednie sięgnęłam ręką i niechcący uderzyłam ją w usta, nie krzyknęła z bólu ani się nie cofnęła. Nadal oddychała jak w transie, zafascynowana rozwojem wydarzeń i moim niespodziewanym nieszczęściem. Miałam wrażenie, że gdy wróci do domu, obdzwoni wszystkich przyjaciół i powie: „To był prawdziwy odjazd, jej rodzice, no wiecie, kopnęli w kalendarz i ta kobieta przysłała, i, no wiecie, zupełnie ją stąd zabrała. I, ten, no, zapłacą mi teraz ze spadku. Czy to nie jest totalnie niesamowite?”.

Może się wydawać, że człowiek, który stracił rodziców, nie myśli o takich rzeczach. Nie robi złośliwych uwag na temat opiekunki. Ale nie. Choć część mnie została nagle wyłączona z prądu, wszystkie stare odruchy zadziały bez zarzutu. Nie przestałam być sobą. Podłą Meline.

Kobieta z opieki społecznej miała przyjacielski wyraz twarzy. Zręcznie pozbyła się Tiffany, gdy zauważyła, że obecność opiekunki raczej nie podnosi mnie na duchu. Wyjaśniła, że teraz wszystko w domu jest moje. Że prawnik zajmie się szczegółami. Że ona jest tu jedynie po to, aby wysłać mnie do Kolumbii Brytyjskiej. Przejrzała rozkład lotów. Oznajmiła, że możemy polecieć jeszcze tej nocy albo poczekać kilka dni. Dodała, że mogę zabrać, co zechcę, i zdecydować, co ma zostać przesłane później. Reszta pójdzie na licytację. Rozejrzałam się wokół. Skąd mogłam wiedzieć, co wziąć z sobą w całkowicie nieznaną przyszłość?

- Oczywiście stryj ma mnóstwo mebli. Rozmawiałam z nim. Już urządził twoją sypialnię. Ale jeśli wolisz własne rzeczy...

Spojrzałam na fotel bujany, w który wciskałam się z matką, dopóki mógł nas

pomieścić. Popatrzyłam na łóżko - kawałek piankowego materaca na niewielkim stelażu. Pomyślałam o kolekcji talerzy mojej matki. O tym, jak polowata na sztuki z serii Fiestaware. Jak mówiła, że zbiór zyska z czasem na wartości.

I o srebrach prababki w szufladzie. Co chciałaby, żebym zachowała? Czy nadal sądziłaby, że cokolwiek z tego jest ważne? Te wszystkie drogocenne rodzinne pamiątki, które ją przetrwały. Te wszystkie rzeczy, zazdrośnie strzeżone przed światem, aby przekazać je następnym pokoleniom, nasza historia... Teraz zrozumiałam, że wszystkie przedmioty, na które wydawała ciężko zarobione pieniądze, są bezwartościowe, jak rupiecie z secondhandu, które trzeba usunąć, sprzedać, wyrzucić. Nie zatrzymały w sobie żadnej części moich zmarłych rodziców. Nie stały się parkingową zatoczką ani kotwicą. Ojciec i matka odeszli na dobre.

- Niczego nie chcę - powiedziałam. Zapakowałam torbę i opuściłyśmy dom. Przeszłyśmy w milczeniu do samochodu i pojechałyśmy w deszczu na lotnisko. Kiedy kupowała bilety, pomyślałam, że ojciec miał rację, nie mówiąc o swojej młodości. Gdy zadawałam mu pytania, ucinał: „Przeszłość to przeszłość. Ludzkie życie dzieli się na rozdziały. A dla mnie ważny jest tylko obecny. Chciałbym, żeby trwał w nieskończoność”. Matka uważała, że to takie rodzinne dziwactwo. Podobno ojciec Jocelyn, stryj Donald, odpowiadał tak samo: „Och, nie chcę o tym mówić. Czy nie wystarczają nam kłopoty z teraźniejszością?”.

„Ci chłopcy!” - wzdychała matka, potrząsając głową. Dla niej ojciec i stryj na zawsze pozostali dziećmi. Ciekawiło mnie, czy ich brat Marten również jest taki. Nigdy go nie poznałam. Był stryjem tajemniczym. Bogatym. Rodzinnym obrazoburcą. Tym, który nie przyjeżdżał w odwiedziny. Tematem ekscytujących rozmów w zimowe wieczory.

Często zapalaliśmy wtedy świecę pośrodku kuchennego stołu. Ojciec pił piwo, a matka robiła na drutach. Opowiadali różne historie. Oboje lubili snuć domysły o stryju Martenie.

- Chociaż był starszy ode mnie i Donalda, zawsze chodził z głową w chmurach. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że coś osiągnie, a tym bardziej - że zostanie milionerem - powiedział kiedyś ojciec. - Zawsze trochę się wstydziliśmy jego dziwactw: wołał książki od dziewczyn, sportu czy rzeczy, jakie robili normalni chłopcy w miejscu, w którym dorastaliśmy.

-...w rodzinie zastępczej - uzupełniłam w nadziei, że nakłonię go do zwierzeń. Ojciec jednak nie zamierzał pociągnąć tego wątku.

- Tak. Marten nie chciał być farmerem, rybakim ani pilotem w przeciwieństwie do mnie i Donalda. Zaskoczył wszystkich, przechodząc przez uczelnię jak burza. Błyskawicznie

zrobił studia podyplomowe i doktorat, a potem został maklerem i zarobił górę pieniędzy. U szczytu powodzenia porzucił sprzedawanie akcji, co zawsze nazywał głupim zajęciem, i kupił wyspę u wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej. Wybudował tam wielką posiadłość w stylu wiktoriańskim, której nikt z nas nie widział. I raczej nie zobaczy.

A jednak ja zobaczę. Długo zastanawiałam się, co mogłabym teraz powiedzieć ojcu i matce, ale w końcu nic nie wymyśliłam. To był koniec. Nie zostało nic do dodania.

Leciałyśmy po kolei trzema samolotami. Patrzyłam przez okno w pustkę wczesnego poranka, a pracownica opieki społecznej niemal bezszelestnie przewracała kartki magazynu, jakby nie chciała mi przeszkadzać. Jednak moją uwagę zaprzętały nie smutne myśli, lecz jednostajny warkot samolotu. Pomyślałam, że gdybym mogła zachować w pamięci ten warkot, już nigdy nie musiałabym przebywać w ciszy. A gdybym już nigdy nie musiała przebywać w ciszy, smutek nie miałby do mnie dostępu.

Prawie zasnęłam podczas jazdy taksówką z lotniska, ale nawet w półśnie zauważyłam, że hotel nie znajduje się w dobrej dzielnicy Vancouver. Najpierw pojechaliśmy do centrum. Góry odbijały się w rzece na obrzeżach miasta. Port jarzył się światłami, ludzie szli pospiesznie we wszystkich możliwych kierunkach. Wyglądali na zajętych, stanowczych, pełnych życia, zdrowych i zamożnych. Takich, którzy myślą praktycznie. Potem pojechaliśmy na wschód, gdzie popadały w ruinę ponure i opuszczone budynki. Atmosfera dobrobytu nagle się rozwiła. Wszędzie widziałam żebraków, pijaków, narkomanów i bezdomnych. Leżeli pod ścianami i drzwiami domów. Wyglądali jak bezwładne ciała pozbawione nóg. Nozdrza opiekunki społecznej zafalowały. Kobieta dwukrotnie sprawdziła zapisany na skrawku papieru adres, gdy taksówka zatrzymała się przed hotelem.

- Ojej - powiedziała. - Myślę, że Marie, która robiła rezerwację, nie zna dobrze miasta. Obawiam się, że ulokowała nas w bardzo złej okolicy.

W tym momencie było mi wszystko jedno, chociaż w pokoju wyraźnie czułam pleśń i stęchliznę. Wstałam dopiero na obiad. Miałyśmy się spotkać z Jocelyn i Marie, a potem pojechać na lądowisko dla helikopterów. Zabrałyśmy bagaże, żeby nie musieć już wracać do tej dzielnicy.

Gdy wszystkie cztery byłyśmy w taksówce, dowiedziałam się, że pilot Sam zabierze mnie i Jocelyn na wyspę.

- Strasznie mi przykro z powodu noclegu - usprawiedliwiała się Marie. - Wszystkie duże hotele były już zajęte. W weekend odbywają się dwie imprezy: parada statków i maraton sportowy. Ten pensjonat naprawdę dobrze wyglądał w internecie. Nie miałam pojęcia, że mieści się w slumsach. Że też nie usuną z ulic tych wszystkich ludzi. To okropne, że trzeba

torować sobie drogę między nimi.

- Daj spokój. Ostatecznie to tylko jedna noc - ucięła moja opiekunka. Nie pamiętam, jak się nazywała. Zachowałam natomiast w pamięci Marie, bo w kółko mówiła do nas po imieniu. Aż miało się ochotę wrzasnąć: „Przestań! To na mnie nie działa!”. Niektórzy ludzie nie rozumieją, że takie zwroty nie brzmią wcale sympatycznie ani przyjacielsko, tylko... technicznie.

Postałam blady uśmiech Jocelyn, której nie widziałam od sześciu lat, ale ona popatrzyła na mnie, jakbym zrobiła coś niestosownego. Odwróciła głowę. Zaczęłam się zastanawiać, czy Marie ma kwaśną minę właśnie dlatego, że spędziła z nią kilka dni. Podczas obiadu Jocelyn była prawdziwym podręcznikiem dobrych manier: „Proszę, dziękuję, tak, sądzę, że losoś będzie wyśmienity”. I chociaż obie byłyśmy w szoku, chłodny dystans, który zachowywała, nie miał nic wspólnego ze śmiercią rodziców. Był zbyt wystudiowany, a zarazem przychodził jej zbyt naturalnie. Ale na pewno posiadał dobre strony. Pozwalał włożyć uczucia do zamrażarki, razem ze wszystkimi trupami, które przypadkiem się napatoczyły. Obserwowałam Jocelyn, szukając jakiejś szczeliny w jej skorupie, ale na próżno. Patrzyła na mnie w ten szczególny, okropny sposób - jakby wpadła bez uprzedzenia i przyłapała mnie z brudnymi włosami i w dresie. Jocelyn wydawała się mówić: „Obie wiemy, jaka naprawdę jesteś”. Opiekunki chyba też bały się tego spojrzenia. Podczas obiadu dyskutowały żywo, zostawiając mnie na pastwę kuzynki. To znaczy ciszy.

Potem pojechałyśmy taksówką na lądowisko. Oczekiwanie na helikopter w podmuchach lodowatego wiatru trwało całą wieczność. To dziwne, że świadkowi największej zmiany, jaka dokonała się w moim życiu, zaledwie skinęłam głową na pożegnanie. Żadnego uścisku ani pocałunku, znaku, że dzieliło się ważne doświadczenie. Bo ono było tylko moje. A opiekunka społeczna po prostu wykonywała swoją pracę. Nagle ogarnęło mnie nieznośne poczucie osamotnienia: ludzie mi pomagali, żeby zarabiać na życie. Nikogo nie interesowało, kim jestem ani co ze mną będzie.

Ponieważ nie mogłam się zdecydować na serdeczne pożegnanie, byłam wdzięczna za huk i warkot śmigieł. Dopiero na pokładzie pomachałyśmy opiekunkom: Jocelyn w irytująco uprzejmy sposób, sztywno kiwając białą dłonią, jakby już w łonie matki ćwiczyła machanie przez okno helikoptera pracownikom społecznym. Ja natomiast kilka razy cofałam rękę w rozterce, czując, że moja twarz wykrzywia się w nienaturalnym uśmiechu. Ale to nie miało żadnego znaczenia, bo kobiety już odchodziły, nie oglądając się za siebie.

Podczas lotu próbowałam nie patrzeć przez okno. W dole błyszczały światła, a drzwiczki helikoptera wydawały się takie kruche. Jak łatwo byłoby wypaść albo zostać

wyssaną przez wiatr. Do wczoraj sądziłam, że takie rzeczy się nie zdarzają, ale teraz wiem już, że to nieprawda. Zdarzają, a jakże, a czasem nawet zdarzają się tobie.

Chciałam zapytać Jocelyn o tamtą noc. Bądź co bądź była na miejscu wypadku. Opiekunka zdradziła mi tylko tyle, że w Zimbabwe wybuchły jakieś zamieszki i że doszło do katastrofy kolejowej. Wiedziałam jednak, że moje pytanie będzie jak dotknięcie językiem bolącego zęba. Instynktownie, choć to niemądre, chcesz się upewnić, że nadal boli, i zaraz żałujesz swojego pomysłu. Później, gdy pulsowanie mija, znowu zaczynasz się zastanawiać, czy ząb jest naprawdę chory, i sięgasz mnie nieznośne poczucie osamotnienia: ludzie mi pomagali, żeby zarabiać na życie. Nikogo nie interesowało, kim jestem ani co ze mną będzie.

Ponieważ nie mogłam się zdecydować na serdeczne pożegnanie, byłam wdzięczna za huk i warkot śmigieł. Dopiero na pokładzie pomachałyśmy opiekunkom: Jocelyn w irytująco uprzejmy sposób, sztywno kiwając białą dłonią, jakby już w łonie matki ćwiczyła machanie przez okno helikoptera pracownikom społecznym. Ja natomiast kilka razy cofałam rękę w rozterce, czując, że moja twarz wykrzywia się w nienaturalnym uśmiechu. Ale to nie miało żadnego znaczenia, bo kobiety już odchodziły, nie oglądając się za siebie.

Podczas lotu próbowałam nie patrzeć przez okno. W dole błyszczały światła, a drzwiczki helikoptera wydawały się takie kruche. Jak łatwo byłoby wypaść albo zostać wyssaną przez wiatr. Do wczoraj sądziłam, że takie rzeczy się nie zdarzają, ale teraz wiem już, że to nieprawda. Zdarzają, a jakże, a czasem nawet zdarzają się tobie.

Chciałam zapytać Jocelyn o tamtą noc. Bądź co bądź była na miejscu wypadku. Opiekunka zdradziła mi tylko tyle, że w Zimbabwe wybuchły jakieś zamieszki i że doszło do katastrofy kolejowej. Wiedziałam jednak, że moje pytanie będzie jak dotknięcie językiem bolącego zęba. Instynktownie, choć to niemądre, chcesz się upewnić, że nadal boli, i zaraz żałujesz swojego pomysłu. Później, gdy pulsowanie mija, znowu zaczynasz się zastanawiać, czy ząb jest naprawdę chory, i sięgasz językiem. Kiedyś powtarzałam ten manewr tak często, że ból stał się nie do zniesienia, a ja wylądowałam na ostrym dyżurze. Wtedy sobie obiecałam, że więcej tego nie powtórzę. Lepiej nie znać prawdy. A teraz doświadczenie z zębem okazało się pomocne. Dzięki niemu trzymałam buzię na kłódkę. Z kolei Jocelyn zachowywała się jak niemowa. Nie mam pojęcia, czy cokolwiek wiedziała o bólu zębów, ale wydarzenia w Zimbabwe musiały zostawić w niej niezatarty ślad. A może wcale nie? Może nic nie widziała i po prostu w środku nocy dowiedziała się o śmierci naszych rodziców? Mój język znów zaczął szukać bolącego miejsca.

Kiedy ojciec i matka oświadczyli, że Jocelyn pojedzie do Zimbabwe, a ja nie, poczułam zazdrość, chociaż rozumiałam, że to nie będą wakacje. Mieli z pomocą swoich

przyjaciół muzyków znaleźć nam dom i sprawdzić nastroje polityczne. Rodzice Jocelyn mogli sobie pozwolić na zabranie w podróż córki, moi nie. Za to my mieliśmy spędzić resztę życia w Zimbabwie, na naszej własnej farmie z własnym domkiem gościnnym, gdyby matce udało się, z pomocą przyjaciół, wypatrzeć i kupić odpowiednią posiadłość. A więc nie było sensu marudzić.

Miałam za złe Jocelyn, że ostatnie chwile moi rodzice spędzili z nią, nie ze mną. Nic dla niej nie znaczyli. Wiedziałam, że nie odebrała mi tego umyślnie, ale czułam się tak, jakby zjadła ostatni kawałek ciasta. A nie był to tylko ostatni kawałek na talerzu, lecz ostatni w ogóle - ciasto bowiem zniknęło z tej planety i już nie będzie nowego. Natomiast ona, zamiast się kajać albo chociaż robić wrażenie skruszonej, siedziała obok mnie sztywno w helikopterze, beznamytnie obserwując znikające w dole światła. Przez połowę podróży ziałam do niej nienawiścią. Przez drugą połowę byłam szczęśliwa, że cokolwiek zaszło tamtej straszliwej nocy, ujrzała to ona, nie ja. Są rzeczy, których lepiej nie musieć pamiętać. Lepiej nie oglądać, nie słuchać rzeczy, które nie są przeznaczone dla ludzkich oczu i uszu, kiedy brutalnie odrywają cię od ciał, przy których rozpaczliwie pragniesz pozostać, podczas gdy każda komórka krzyczy: nie odchodź! Zadręczałam się takimi myślami przez całą drogę i kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce, podobnie jak Jocelyn miałam nieprzytomne spojrzenie. Obie przypominałyśmy zombie. Pilot Sam wylądował na wyspie - to był z jego strony niezwykle gest, którego wówczas nie doceniłam. Wyciągnęłyśmy torby z maszyny, a on natychmiast odleciał. Zniknął, nie oglądając się, jak pracownicy opieki społecznej, jak całe moje życie.

Stryj wykazał się nadzwyczajnym taktem. Prawie nic nie mówił. Pokazał nam tylko sypialnie i łazienki i powiedział, skąd możemy brać ręczniki oraz koce. Przyniósł każdej z nas pudełko ciastek i kubek gorącej czekolady, a potem sobie poszedł. Później się przekonałam, że niezwykle było tylko przyrządzenie czekolady i przyniesienie jej nam do pokoi. Małomówność stryja, niechęć do paplaniny, które wzięłam za wrażliwość, nie miały nic wspólnego z delikatnością. On po prostu taki był.

\*

Wyspa niemal od razu stała mi się bliższa niż jej mieszkańcy. Ze swoimi wichurami, morskimi falami i ulewami wydawała się taka żywa. W przeciwieństwie do stryja Martena i Jocelyn. Byli odlegli, każde na swój sposób. Jocelyn pozostała zimna i opanowana, a stryj pojawiał się tylko na kolacji. Siadaliśmy przy długim stole dla dwudziestu osób, ja na jednym końcu, Jocelyn pośrodku, stryj na drugim. Zawsze jedliśmy to samo - hot dogi i makaron z serem - w pełnej przeciągów jadalni i w całkowitym milczeniu. Na ogromnym kominku w



salonie buzował ogień, wiatr szalał w rynnach, a deszcz uderzał o okna. Jocelyn kroila swojego hot doga nożem, nawet bułkę, i jadła dystyngowanie takie drobne kawałki. Po każdym kęsie wycierała usta papierową serwetką. Stryj siadał do stołu z książką, czytał, robił notatki, a potem życzył nam dobrej nocy i szedł do swojego gabinetu. Nie jestem pewna, czy uważał, że należy uszanować naszą żalobę milczeniem, czy też może traktował nas jak zabląkane ptaki, które przypadkiem wylądowały w jego domu i o których obecności, jako człowiek roztargniony, w końcu zapomniał. Jeżeli śmierć braci w ogóle poruszyła stryja, to nie wpłynęła na jego przyzwyczajenia. Byłam więc zdumiona, kiedy trzeciego wieczoru zerknął znad książki na Jocelyn i wreszcie przemówił:

- Wakacje zmotoryzowane mają swoje zalety, ale w samochodzie nie można czytać. Przynajmniej ja nie mogę. Nie ma nic gorszego w przypadku choroby lokomocyjnej. Dlatego pochwalałem pomysł podróży przez Zimbabwe koleją. Donald mówił, że twoja matka bała się krokodyli...

- Tak - odparła Jocelyn. - Ale koniec końców to nie krokodyli należało się bać, prawda?

- Racja, racja... Cóż, nie zamierzam znowu tego roztrząsać - oznajmił, jakby kiedykolwiek wcześniej wspomniał o wypadku. Może dotąd milczał w przekonaniu, że nie chcemy myśleć o katastrofie? Tak trudno zrozumieć motywy postępowania innych ludzi. - W każdym razie... - dodał, wstając, umieszczając zakładkę w książce i zbierając swoje papiery -...bierzcie bez skrępowania, cokolwiek znajdziecie w tym domu. Bierzcie... hmmm... - rozejrzał się po pokoju, szukając rozpaczliwie czegoś kuszącego, co mogłoby przegnać smutek. - Bierzcie sobie książki!

Książki rzeczywiście znajdowały się w każdym pomieszczeniu. W kuchni stały półki z książkami o jedzeniu, etykietce stołowej, o wszystkim, co wiązało się ze spożywaniem, zdobywaniem pokarmu, uprawą i polowaniem. W łazienkach - półki z książkami o wodzie, oceanach, faunie morskiej oraz powieści i nowele marynistyczne, jak Moby Dick czy Stary człowiek i morze, a także Wyspa skarbów i Robinson Crusoe. Najwyraźniej pan domu lubił porządek w zbiorach. Salon i jadalnia miały regały biblioteczne sięgające sklepienia wysokiego jak w katedrze. To nie było wygodne, ale sędzę, że stryj przeczytał książki z górnych półek już dawno, ponieważ spowijały je girlandy pajęczyn.

Wszystkie książki w salonie były oprawione w skórę. Stryj je zamawiał po przeczytaniu recenzji w internetowym wydaniu

„New York Timesa” i wysyłał do introligatora. Dopiero potem trafiały na wyspę. Musiały kosztować majątek. I właśnie to, bardziej nawet niż rozmiary tego ogromnego domu,

uświadomiło mi, jak bogaty jest nasz opiekun. I jak beztrosko trwoni pieniądze.

Moi rodzice natomiast przyglądali się uważnie każdemu banknotowi. Resztki marchwi zostawialiśmy na zupe. Nie kupowaliśmy książek, jeśli mogliśmy wypożyczyć je z biblioteki. Nie miałam nic przeciwko temu, że stryj jest bogaty. I czemu nie miałby wydawać wielkich sum na to, co lubi? Ale zafrapowały mnie różnice w naszym podejściu do pieniędzy. Było coś kojącego w widoku siatki ze skrawkami warzyw trzymanej w lodówce przez mamę. Tego spokoju stryj nigdy nie zazna, ponieważ go nie potrzebuje. Jego poczucie bezpieczeństwa nie zależy od siatki z warzywami. Może sobie pozwolić na sprowadzenie zupy z dobrej restauracji helikopterem. Ale to już nie to samo. Chociaż może spokój stryja zapewniały oprawione w skórę książki przybywające na wyspę? Tak czy inaczej, poczucie bezpieczeństwa zniknęło ze świata mojego i Jocelyn. Jakby zerwano z nas ciepły koc. Zaczęłam się zastanawiać, czy pewnego dnia i ja będę traktowała przybycie nowej książki z zadowoleniem, jakie daje powtarzalność. Czy ten rytuał stanie się częścią mojego życia. Nawet jeśli, nigdy nie będzie to już dawne życie z czasów, kiedy wierzyłam, że wszystko jest trwałe. Gdy nie wiedziałam, że każda rzecz, która została zbudowana, może w mgnieniu oka runąć.

## **MARTEN KNOCKERS**

Minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz myślałem o rodzinie, gdy więc się dowiedziałem, że jestem odpowiedzialny za dwie dziewczynki, poczułem oszołomienie. Kim one są i jak to możliwe, że wkrótce staną u moich drzwi? Zupełnie jakby razem z deszczem miały spaść mi z nieba koty. To znajomy mechanizm: zwykłe rzeczy zaczynają się zachowywać w niezwykły sposób. Nie było ich tutaj, a potem się pojawiły i nic z tego naprawdę nie miało sensu. No cóż, pomyślałem, że się przesunę i oddam im kilka pokoi. Na szczęście mam ich dużo. Podzielę się też książkami - jeżeli je lubią. Ich też jest niemało. Może nie będą wiele oczekiwały? Koty nie oczekują. Mój współlokator ze studenckich czasów miał kota. Przypominam sobie, że zwierzątko potrzebowało tylko odrobinę wody i trochę suchej karmy. Oczywiście wiedziałem, że dziewczynek tak się nie karmi. Porównanie z kotami nie było zupełnie ścisłe. W każdym razie miałem nadzieję, że moi goście pozwolą mi pracować. To najważniejsza sprawa.

Gdy tylko porzuciłem zawód maklera, wybudowałem wielką posiadłość i wypełniłem ją książkami, ponieważ nie mogłem się doczekać powrotu do zajęcia, które lubiłem najbardziej - czytania i studiowania - bez tych wszystkich nonsensów panujących na uniwersytecie. Myślałbyś, że tym ludziom chodzi o wiedzę, ale nie. Chodzi im o całą masę

innych rzeczy, podobnie jak reszcie świata. Szybko zrozumiałem, że jako profesor będę musiał poszukać żony odpowiedniej dla profesora albo, co gorsza, poślubić kobietę-profesora, kogoś, kto będzie mnie ciągle poprawiał. Zaczę bywać na przyjęciach z innymi profesorami i będę udawał, że jestem zainteresowany ich egocentrycznymi projektami. Będę słuchał nudnej gadaniny, jadł krewetki oraz podejrzone sushi domowej roboty przyrządzone przez kogoś, kto nosi bojówki i niemieckie sandały marki Birkenstock. Zawsze się zorientujesz, że jesteś na party akademików, bo profesorowie wyskakują wtedy z niebieskich dżinsów i wkładają bojówki. Jako absolwent nie musiałem się przejmować protokołem ubraniowym, ale co innego, gdybym został wykładowcą. Na pewno któregoś dnia zapomniałbym się przebrać w bojówki, przyszedłbym na przyjęcie w niebieskich dżinsach i zostałbym wyrzutkiem. Tak. Spędzałbym nieskończenie długie godziny, troszcząc się o swoje spodnie. A więc postanowiłem zarobić mnóstwo pieniędzy i móc troszczyć się o inne rzeczy. Oczywiście rodzina - a przynajmniej to, co z niej zostało - czuła rozczarowanie moim dziwacznym wyborem.

### **MELINE**

Stryj by! źródłem nieustających przypuszczeń - nasz ekscentryczny bogaty krewny. Jedyny, który miał pieniądze. Dorosłym się wydaje, że skoro są wyżsi, dzieci ich nie słyszą. Ale ja słyszałam wszystko - rozmowy moich rodziców na różne tematy. Słuchałam, kiedy myśleli, że śpię albo jem.

Nie zwracałam większej uwagi na plotki o członkach rodziny, ale teraz się cieszę, że od czasu do czasu nadstawiałam uszu. Mój ojciec mówił, że zdaniem matki Jocelyn stryj jest nieprzyzwoicie zamożny i że według ojca Jocelyn są to pieniądze zmarnowane, bo on ich nie docenia. Mówił też, że trochę zazdrości stryjowi i że nie może zrozumieć, dlaczego Marten nie chce pomóc młodszym braciom, chociaż, oczywiście, gdyby naprawdę wysłał nam pieniądze, on zwróciłby je natychmiast. Nie potrafił pogodzić się z faktem, że stryj nigdy nie zaproponował pomocy. Właśnie ten brak propozycji nurtował mojego ojca, który wiedział, że Marten nie jest skąpcem ani człowiekiem o władniętym nienawiścią do własnej rodziny. Właściwie nie dbał o pieniądze. Dlaczego więc pojechał na jakąś wyspę, żeby siedzieć na forsie jak ptak na jajku? Kim właściwie był jego brat?

Moja matka z kolei uważała, że to urocze - mieć tyle pieniędzy. Robić z nimi, cokolwiek się zapragnie.

„Tylko to sobie wyobraź, Meline!” - mówiła, strzepując czyste koszule i wachając je z zadowoleniem po zdjęciu ze sznurka na balkonie, bo uwielbiała składać świeżo wyprane

ubrania. „Wyobraź to sobie!”.

Matka nigdy nie zazdrościła innym ludziom. Życie obok niej było nieustannym doświadczaniem małych eksplozji światła, radosnej świadomości, że istnieją piękne rzeczy. Nie obchodziło ją, czy należą do niej, czy do kogoś innego.

### **MARTEN KNOCKERS**

Kiedy się wprowadziłem do mojej samotni, zacząłem spędzać noce przy kaganku oświaty. Czasami dosłownie, gdy wysiadała elektryczność. Starłem się odnaleźć nową treść w świecie. Wszystkie te zaginione części i kawałki. Sądzę, że wiele ważnych rzeczy zniknęło z wielkiego magazynu ludzkiej wiedzy i właśnie z tego powodu nic nie ma sensu. Zresztą ten wielki magazyn w rzeczywistości wcale nie jest wielki. Co tak naprawdę wiemy? Wiedza to gigantyczne puzzle, przy czym trzech czwartych brakuje w pudełku. I wcale nie możemy być pewni, że te części w ogóle gdzieś są.

Pewnego dnia Meline, w nagłym przyplywie bystrości, zamiast wałęsać się bez celu z tym dziwnym, pełnym determinacji wyrazem twarzy oraz mchem we włosach, zapytała, co by było, gdybym znalazł jeden naprawdę dobry kawałek wiedzy, który sprawiłby, że fragment układanki nabrałby sensu. Czy poczułbym się spełniony? Ale ona nie rozumie. Ja chcę znaleźć dużo, bardzo dużo kawałków. Właśnie dlatego kupiłem wyspę. W ten sposób - nie musząc się nikomu podlizywać ani się rozpraszać - mogłem prowadzić badania od rana do nocy i znowu od nocy do rana, gdybym tylko chciał.

Większość odkryć naukowych nie jest wartościowa - dokonują ich matolki zainteresowane przyspieszeniem swoich karier. Następnie dołączają się kolejne matolki i budują swoje matolkowe schematy oraz teorie z klocków tamtych matolków, więc do wielkiego magazynu wiedzy nie trafia nic istotnego. Czy nie byłoby cudownie odkryć coś nie dla sławy, lecz po prostu dla dobra ludzkości? Oczywiście ludzkość nie dba o motywację badacza. Chce mieć swoją zupę zaraz, już, jak z mikrofalówki.

- Być może, Meline - powiedziałem - starożytni mieli kuchenki mikrofalowe. Mnóstwo informacji zaginęło i trzeba je odkryć na nowo. Gdybyśmy mogli dokopać się do wszystkiego, co wiedzieli...

- A kto się będzie dokopywał? Ty?

- Żartujesz chyba. Nie jestem archeologiem. Chcę nowej wiedzy i chcę jej mieć jak najwięcej.

- Po co?

Potrząsnąłem głową. Uważam, że jeśli ktoś nie rozumie potrzeby uprawiania nauki dla

samej nauki, nie ma sensu mu tego tłumaczyć. Lepiej niech znajdzie sobie inne hobby. Na przykład robienie na drutach.

Dwa razy do roku jeździłem na konferencje naukowe, aby wygłaszać referaty i dzielić się odkryciami. Byłem rozczarowany, że moje wystąpienia zawsze okazywały się najlepsze. No

tak, ja mogłem poświęcać cały czas wyłącznie pracy badawczej. Nie musiałem też uczyć studentów. A jednak nadal miałem nadzieję, że inni naukowcy choć raz się postarają. Wciąż też liczyłem na to, że wreszcie poznam ciekawych ludzi i nie wrócę, jak zawsze, na wyspę, przekonany o intelektualnej przeciętności akademików. A jednak nieodmiennie przyjeżdżałem do domu z myślą, że wszyscy, którzy wybrali karierę uniwersytecką, są zbyt głupi, aby trafić widelcem do własnych ust.

Po powrocie z ostatniej wyprawy rzuciłem teczkę na stół i padłem na łóżko. Konferencje wprawiały mnie w podły nastrój. Jechałem pełen oczekiwań, wyobrażałem sobie sielankową wspólnotę pełnych entuzjazmu badaczy składających fragmenty wiedzy w jakiś wielki patchwork. W rzeczywistości jednak po prostu ginąłem w tłumie ludzi, w kampusach i centrach konferencyjnych, w hotelach, na kolacjach i przyjęciach koktajlowych. Wszyscy ci ludzie oglądali mnie z rozbawieniem, uważali za szalonego geniusza, kogoś w rodzaju Howarda Hughesa. A potem dostawałem listy. Chcieli, żebym finansował ich projekty, ich kariery, ich koszty utrzymania, ich podróże. Darłem te listy na strzępy.

Pewna profesorka, która domagała się pieniędzy na badania, osaczyła mnie na przyjęciu koktajlowym. Rozpływała się nad moim referatem.

- A przecież nawet nie jest pan specjalistą w tej dziedzinie!

- Mieszkam na wyspie, proszę pani - odparłem. - Mam mnóstwo czasu na myślenie.

Ludzie na ogół są irytujący.

A teraz, choć moje bratanice okazały się bardzo grzeczne, nie miałem pomysłu, co z nimi począć. Widywaliśmy się rzadko. Oczywiście bardzo mnie przygnębiła utrata braci i rozumiałem, że dziewczynki muszą być jeszcze bardziej przygnębione utratą ojców i matek. A jednak zbiorowa żałoba nie jest w moim stylu. Nie przeprowadzasz się na wyspę, jeśli lubisz aktywność grupową. Czuję się okropnie, niejasno podejrzewając, przez co przechodzą, lecz nie wiedziałem, co mógłbym dla nich zrobić. I było mi wstyd, że nie cieszyły mnie rodzinne kolacje, o ile można tak nazwać siedzenie z nosem w książce przy tym samym stole. Ale i tak spędzałem z nimi więcej czasu niż - z kimkolwiek innym w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Naprawdę, według moich standardów stawialiśmy się sobie bardzo bliscy.

Wreszcie po tygodniu sumienie mnie pokonało. Zrozumiałem, że nie mogę unikać odpowiedzialności za bratanice, milcząc przy jedzeniu. Musiałem się zmienić, nawet wbrew własnej woli. Albo przynajmniej dokonać korekty pewnych nawyków. W moim świecie człowiek spożywa posiłki, czytając, a żeby nie musiał odrywać wzroku od lektury, wszystko, co je, jest posiekane na kawałki albo płynne. Po namyśle przestałem czytać podczas kolacji, chociaż wciąż zabierałem na dół książkę, notes i długopis z nadzieją, że Meline i Jocelyn stracą zainteresowanie moją osobą i zwolnią mnie z przykrego obowiązku.

Zrozumiałem również, że moje bratanice nie gustują w hot dogach i makaronie z serem. Nawet gdy polewałem parówki sosem serowym Cheez Whiz. Jadły beznamiętnie, bez słowa skargi, ale od czasu do czasu się krzywiły, a ja, zawstydzony, mamrotałem:

- Wiem, że czytałem o tym w jakimś piśmie. Przynajmniej sędzę, że czytałem. Jak oni to nazwali? Parówki z żółtym serem? Nie, raczej nie... Jarzeniówki! Tak, myślę, że to radosna nazwa. Jarzeniówki. Kładziesz sos serowy na parówki, czyli jakby światło, rozumiecie... No cóż... - kończyłem, uznając swoją porażkę. - Cóż... Jocelyn i Meline wzdrygały się za każdym razem, kiedy zabierałem głos. Potem spuszczały wzrok, wyraźnie speszzone moimi niepowodzeniami. Tak samo zresztą jak ja.

Nocami zamiast o brakującym elemencie w jednolitej teorii pola zacząłem rozmyślać o posiłkach. Nie przywykłem do porażek. Ani do robienia z siebie pośmiewiska. Ani do wymyślania anegdot o potrawach. Wiedziałem, że natychmiast muszę zaradzić tej krępującej sytuacji, aby położyć kres własnym zenującym gestom maskującym niezaradność w dziedzinie żywienia. Być może powinienem zacząć lepiej się odżywiać. Nie prowadziłem zdrowego trybu życia. Nie byłem już młody. Właśnie straciłem włosy. Poza ich dwoma rzędami po bokach głowy. Może nadszedł czas, aby pozwolić komuś innemu zatroszczyć się o jedzenie? W gruncie rzeczy nawet ja zdawałem sobie sprawę, że hot dogi oraz makaron z serem nie są odpowiednie na kolację. Nie podaje się ich podczas konferencyjnych bankietów. Ani na mniej wymyślnych przyjęciach, tam bowiem króluje gumiate kurczaki. Jeśli mam być całkowicie szczery, nie widziałem, żeby serwowano je gdziekolwiek. Nawet w samolotach.

Na pomysł tego dania wpadłem pewnej nocy podczas konferencji w Manitobie. Zobaczyłem w telewizji reklamę produktów firmy Kraft i szczęśliwą mamę - szczęśliwą kanadyjską mamę z przedmieścia, jeszcze bardziej bezbarwną, opiekuńczą i wiarygodną niż jankeska mama - stawiającą talerz makaronu z serem i hot dogami przed trójką jasnowłosych synków. Rozczuliły mnie zachwyty chłopców nad tym radosnym kanadyjskim jedzeniem z przedmieścia oraz dumy ich mamy. Tyle szczęścia rozlewało się wokół - talerz pełen jedzenia bez smaku wywoływał wybuch najczystszej ekstazy. Pomyślałem wtedy, że mogę to

osiągnąć. Nie zapadłem się jeszcze tak głęboko w otchłań nieszczęścia i niegodziwości, aby nie mogła mnie ocalić mała porcja makaronu z serem. Mogę zostać swoją własną panią domu i podawać takie jedzenie. Może „być nijakim” oznacza „być dobrym”? Może ratunek nie kryje się w pasji, cierpieniu czy poszukiwaniach, lecz w zachowywaniu całkowitej obojętności wobec takich nonsensów? Może to wcale nie prawda nas wyzwala, lecz nijakość? Może powinienem się przyłączyć do bezbarwnego, lecz zadowolonego społeczeństwa? Tak czy inaczej, zamrażarka pełna hot dogów oraz makaronu z serem sprawi, że już nigdy nie będę musiał gotować.

Obmyśliłem ów plan po depresyjnej rozmowie z pewną osobą, która próbowała przekonać mnie kokieteryjnie, że potrzebuję kobiety. Nieopatrznie wspomniałem, że mieszkam sam, więc radośnie natarła, w moim przekonaniu zmierzając nieuchronnie ku kolizji czołowej. Oświadczyła, że jest mi potrzebna kobieta, która prasowałaby koszule. Patrzyła wymownie na to, co wystawało spod mojego wełnianego płaszcza. Lubię bawełniane koszule i nie wiem, jak się je prasuje. Zresztą nawet nie chcę wiedzieć, ponieważ zawsze uważałem, że koszul tak naprawdę nie widać pod krawatem i marynarką. Dlatego wszędzie pojawiałem się niemiłosiernie wygnieciony. I nigdy nie czułem, że jestem odszczepieńcem - do chwili gdy ta kobieta zasugerowała, że będę mniej wygnieciony, jeśli się ożenię. Po naszej rozmowie kupiłem koszule, które nie wymagają prasowania. Nie lubię ich, nie są wygodne, ale przynajmniej nie wywołują komentarzy.

Moja rozmówczyni powiedziała jednak jeszcze, że muszę mieć kogoś, kto by dla mnie gotował.

- Kobiety! - parsknąłem oburzony. - Przez pół konferencji paplacie o dyskryminacji. O niezasłużonych przywilejach dla mężczyzn w miejscu pracy, o żeńskich końcówkach i tak dalej. A potem, po jednym drinku, wracacie do czegoś, czego wstydzilyby się wasze matki: oświadczacie mężczyźnie, że potrzebuje kobiety do gotowania. Cóż, jestem zdumiony. Zdumiony i zaskoczony. Zaskoczony i zdumiony!

Następnie zacząłem rozważać różnicę między zaskoczeniem a zdumieniem i zupełnie zapomniałem o tej kobiecie.

Obmyśliłem ów plan po depresyjnej rozmowie z pewną osobą, która próbowała przekonać mnie kokieteryjnie, że potrzebuję kobiety. Nieopatrznie wspomniałem, że mieszkam sam, więc radośnie natarła, w moim przekonaniu zmierzając nieuchronnie ku kolizji czołowej. Oświadczyła, że jest mi potrzebna kobieta, która prasowałaby koszule. Patrzyła wymownie na to, co wystawało spod mojego wełnianego płaszcza. Lubię bawełniane koszule i nie wiem, jak się je prasuje. Zresztą nawet nie chcę wiedzieć, ponieważ zawsze

uważałem, że koszul tak naprawdę nie widać pod krawatem i marynarką. Dlatego wszędzie pojawiałem się niemiłosiernie wygnieciony. I nigdy nie czułem, że jestem odszczepieńcem - do chwili gdy ta kobieta zasugerowała, że będę mniej wygnieciony, jeśli się ożenię. Po naszej rozmowie kupiłem koszule, które nie wymagają prasowania. Nie lubię ich, nie są wygodne, ale przynajmniej nie wywołują komentarzy.

Moja rozmówczyni powiedziała jednak jeszcze, że muszę mieć kogoś, kto by dla mnie gotował.

- Kobiety! - parsknąłem oburzony. - Przez pół konferencji paplacie o dyskryminacji. O niezasłużonych przywilejach dla mężczyzn w miejscu pracy, o żeńskich końcówkach i tak dalej. A potem, po jednym drinku, wracacie do czegoś, czego wstydziłyby się wasze matki: oświadczacie mężczyźnie, że potrzebuje kobiety do gotowania. Cóż, jestem zdumiony. Zdumiony i zaskoczony. Zaskoczony i zdumiony!

Następnie zacząłem rozważać różnicę między zaskoczeniem a zdumieniem i zupełnie zapomniałem o tej kobiecie. „Zaskoczony” mówi po prostu o niespodziance. „Zdumiony” natomiast wprowadza osąd moralny. To pełna dezaprobaty wersja zaskoczenia. Można być radośnie zaskoczonym, ale czy radośnie zdumionym? Nie sądzę.

Ten niewielki wybuch, jak łatwo sobie wyobrazić, położył kres naszej rozmowie, a w każdym razie znacznie ją skrócił. Nagły zwrot w konwersacji zszokował moją rozmówczynię, ale mnie przygnębił o wiele bardziej. Poczulem niepokój. Nie chciałem zostać znaleziony martwy pod stertą dwudziestoletnich gazet. Nie chciałem zacząć zbierać kotów, a potem upaść tak nisko, by wieczorem otwierać puszkę kocięj karmy również dla siebie. Toteż zrobiło mi się lżej na sercu, kiedy zobaczyłem reklamę Krafta. Tego właśnie szukałem.

Teraz już jednak wiedziałem, że moje menu się nie sprawdza. Zdenerwowało mnie to. Oznaczało bowiem, że muszę myśleć o czymś, co mnie w ogóle nie interesuje. A jednak zająłem się sprawą i właśnie w ten sposób znalazłem panią Mendelbaum. To znaczy wpadłem na szczęśliwy pomysł, że skoro mam pieniądze, mogę zatrudnić ludzi, aby myśleli za mnie o rzeczach, o których ja nie chcę myśleć. Że nie potrzebuję zaprzętać sobie głowy jedzeniem, jeśli ktoś inny będzie to robił. Kucharka.

Tamtej nocy, pisząc ogłoszenie, usłyszałem, że Jocelyn kicha. Być może kichała już wcześniej, ale ja zauważyłem to dopiero wtedy, gdy dostroiłem się do zapotrzebowania dziewczynek na zróżnicowaną dietę. Pod naciskiem wyznała, że ma straszliwą alergię na kurz. I nagle dostrzegłem wszędzie kurz, pajęczyny i brud. A gdy Meline wrzasnęła z łazienki: „Mysz!”, zdałem sobie sprawę, że i z tym coś trzeba będzie zrobić. Do tej pory pozwalałem myszom żyć po swojemu. Przychodziły chyba późną jesienią, kiedy na zewnątrz



robiło się zimno. Z początku nie chciałem dzielić przestrzeni życiowej z żadną żywą istotą, a myszy były na swój sposób hałaśliwe. Jednak pozbycie się ich wymagało energii i sprytu, więc po prostu zastawiłem pułapki w sypialni oraz kuchni, oddając intruzom resztę domu. To duży dom, jest w nim miejsce dla wszystkich. Zresztą zazwyczaj i tak zapominałem o wymianie pułapek. Naprawdę byłem żalonym administratorem. W dodatku wciąż zapychała się kanalizacja, zwłaszcza po wielkim deszczu. Spojrzałem na zlew wypełniony na sześć cali wodą, która nie spływała, i wprowadziłem do ogłoszenia korektę. Dodałem, że szukam nie tyle kucharki, ile kucharki/gospodyni. Ktoś musi mieć baczenie na gryzonie. A pierwszą osobą, która odpowiedziała na anons, była pani Mendelbaum.

### **PAWI MENVELBAUM**

Wszyscy umarli. Co do jednego. Ganc kaput. Teraz potrzebuję pieniędzy i czegoś chyba jeszcze. Nie wiem czego, więc odpowiadam na ogłoszenie, żeby się dowiedzieć. Albo się nie dowiedzieć i tylko coś z sobą zrobić. Co za różnica. Helikopter zostawia mnie samą. Rozglądam się. Wszystko migocze: ocean i okna wielkiego domu. Co ja wiedziałam? Myślałam, że ten Marten Knockers to jakiś alter kuker w kondominium. Czy sądziłam, że mieszka sam na tak wielkiej przestrzeni? Skąd? Nie sądziłam. Nigdy dotąd nie odpowiadałam na ogłoszenie. Owszem, wcześniej gotowałam i sprzątałam dla mojej rodziny. Dla męża i czterech synów. Teraz wszyscy umarli. Dla osoby skromnych oczekiwań może mogłabym gotować czy sprzątać. Ale to? Kto wie, czego taki bogacz oczekuje. To gwir. Gut far em! Powinien znaleźć sobie jakiegoś wymuskanego kucharzynę.

To moja przygoda. Moja pierwsza samotna przygoda. Bez Anzela, więc co za różnica, jak się skończy? A kiedy patrzę na ten wielki dom, nie czuję, że to mała przygoda. Prędzej małe oszustwo. Ale dlaczego się martwię, przecież i tak mnie nie zatrudni. Raczej nie będzie mnie tu po rozmowie. Er zol waksn wi a cibeles, mitn kop in der erd; ich hob es in der erd. Pewnie żyjąc tutaj samotnie, szuka sobie jakiejś hożej dziewczuszki.

Ale nie. Przyjmuje mnie natychmiast. Czy zadaje mi jakieś pytania? Nie. Prosi o referencje? Nie. Mówi, że nie interesuje się takimi rzeczami jak prowadzenie domu. Po prostu. A przecież człowiek powinien zadać sobie trochę trudu, o ile, oczywiście, nie jest mu wszystko jedno, bo nie szuka dziewczuszki, tylko jest szaleńcem, który w końcu zacznie biegać z siekierą! Takie pustkowie! Tak łatwo zniknąć na tej farkukt wyspie.

Może nie jestem pierwsza? Na wszelki wypadek przy łóżku trzymam rzeźnicki nóż. Potem okazuje się na szczęście, że on jest meszuce, ale w inny sposób.

Dzwonię do mojej przyjaciółki, Sophie Babilińskiej, żeby przesłała mi rzeczy przez

tego pilota, Sama. I żeby powiedziała właścicielowi mieszkania, że może je wynająć. Sophie ostrzega mnie, mówi, że to zuchwały czyn przenosić się na wyspę, gdy wiesz tak niewiele o pracodawcy. Myślę, że może mieć rację, ale mówię: „Ech!” i nie słucham jej więcej. To nowy początek. Wszyscy na taki zasługują. Zresztą co mi pozostało? Szmek tabak.

- Twój mąż się w grobie przewraca, zważ na moje słowa, Zisel - mówi Sophie.

- Miałby przewracać się w grobie, skoro nie przewracał się w życiu? Wierz mi, on wcale nie był typem przewracacza. Mam pracę do zrobienia. Nie mogę myśleć o przeszłości. Tu jest jedenaście sypialni do wysprzątania.

- A kto to jest ten alter kuker? Co za dom ma jedenaście sypialni? - pyta Sophie.

- Dom bogacza. A co ty myślisz? Po prostu przyślij moje rzeczy.

- Dlaczego sama nie zabierzesz? - dopytuje się Sophie.

- Moje usługi są potrzebne od zaraz - odpowiadam, chociaż też myślę, że to nie w porządku: żądać, żebym natychmiast wzięła się za gotowanie i sprzątanie. Nie wiem jeszcze, że on nie chce mieć nic wspólnego z takimi zajęciami i że skoro mnie wynajął, to mam zacząć gotować i sprzątać w tej chwili. Tak, rzeźnicki nóż zostaje przy łóżku.

- Twoje usługi, aj waj - odpowiada Sophie, która jest z Polski, ale mówi po niemiecku, w jidysz i po angielsku. W piątki zabieram ją do gminy żydowskiej i razem robimy szabasowe strucle. Ona jest dobra w chlebie.

- Odrzuć kosmate myśli, Sophie - mówię. - Es past nit. Kto by tak nas chciał w naszym wieku?

- Wierz mi, wielu - twierdzi Sophie. - Są tacy mężczyźni, co cię chcą, nawet jeśli jesteś martwa.

- Chyba w twoich snach - odpowiadam. Spędziłam w Kanadzie wiele lat, więc znam parę tutejszych zwrotów. Ale tak naprawdę wciąż myślę w innych czasach, w innych językach. Chwilami jestem tu, a chwilami w przeszłości, w czasie, który mam w sercu. Jak powiedział Anzel, kiedy umierał: „Te dni nie są nasze”. Dorastanie naszych chłopców to było danie główne naszego życia. Teraz jest już po obiedzie, nie ma co liczyć na deser, wszystko skończone. Nic nie ma między teraz a zmierzchem. A tu, na tej farkukt wyspie, bez telewizji, bez sklepów, bez kina, bez ludzi (zawsze żyłam wśród ludzi jak kropla wody w wielkiej fali) - tutaj jesteśmy tylko my. Każdy kaput, każdy, kogo kochaliśmy, nasza przeszłość minęła. Kto by pomyślał, że możesz spędzić całe życie, gromadząc ludzi wokół siebie tylko po to, żeby oni wszyscy zginęli, żebyś znów była zupełnie sama? Kto ci powiedział, że tak się stanie? Kto mógł to wiedzieć?

- To może być jeden z nich - mówi Sophie. Wierzy, że naziści, którzy zbili majątek na

Żydach, mieszkają w wielkich domach w Kanadzie. Nawet nie ma odwagi wypowiedzieć słowa „nazista”.

- Sophie, ty wszędzie widzisz nazistów. Oni nie żyją. Wszyscy. Wszyscy naziści, ich ofiary, cały interes jest kaput - tłumaczę.

- Pewne rzeczy nigdy nie są kaput - odpowiada i odkłada słuchawkę.

A potem przychodzą moje walizki i spotykam te dwie dziewczynki, te dwie kruszyny, które nie robią żadnego hałasu. Które prawie nie zauważają mojego przyjazdu. Które zachowywały się tak cicho, że nawet nie wiedziałam, że tu mieszkają. Więc robię na kolację to, co znajduję w domu, a nie jest tego wiele, mówię wam. Zamrażarka pełna hot dogów. Mnóstwo pudeł makaronu z serem! Dość tego. Ten cedrejt pilot musi przywieźć mięso, ziemniaki i marchew. Nigdy więcej hot dogów, panie Sforne Gacie, mówię do siebie podczas gotowania. Potem jedzą.

- Dzięki Bogu - powiada pan Knockers. - Mogę wracać do pracy.

- Dzięki Bogu - wzdychają dziewczynki.

- Dzięki Bogu - mówię z moich własnych powodów.

## JOCELYN

Podczas pierwszego posiłku przygotowanego przez panią Mendelbaum stryj Marten wskazał swój talerz i zapytał:

- Co to jest? To jest brązowe. Wydaje się bardziej brązowe niż większość rzeczy do jedzenia. Jest okropnie brązowe jak na jedzenie. Czy pewne rodzaje jedzenia są bardziej brązowe od innych? Czy to mięso? Tak. To jest mięso, na Boga.

Szturczał potrawę widelcem, z ciekawością i dystansem jednocześnie, czego moja matka na pewno by nie pochwaliła. Matka była Brytyjką i wychowała mnie tak, jak sama została wychowana. Nauczyła zasad zachowania się przy stole również mojego ojca, ponieważ jego maniery pozostawiały podobno wiele do życzenia, kiedy wychodziła za mąż. Nigdy tego nie zauważyłam, bo w moich czasach matka miała już wszystko pod kontrolą. Ale czasami mi opowiadała. O manierach ojca, kiedy go poznała. O tym, jak musiała dokonać cudów, żeby zaczął jeść jak człowiek. I pomyśleć, że nauczył się siedzieć zupełnie prosto: stopy płasko na podłodze, serwetka na kolanach, żadnego marudzenia. Jedz elegancko, wycieraj usta brzegiem serwetki, nie pij ani nie mów z pełną buzią, bierz małe, apetyczne kęsy, używaj słów „proszę” i „dziękuję”, proś o podawanie ci potraw, nie podpieraj się łokciami, nie hałasuj, żadnych komentarzy na temat cudzego jedzenia, wszelka rozmowa powinna być bezosobowa, ciekawa dla wszystkich i zawsze, zawsze pamiętaj, że Wielka

Brytania jest lepsza od Kanady i dużo, dużo lepsza niż Stany Zjednoczone, gdzie porcje w restauracjach są zbyt obfite, ludzie mówią zbyt wiele, za głośno i w niewłaściwych momentach i gdzie wszyscy noszą białe buty.

- Czemu tak uwielbiają białe buty? A spodnie gimnastyczne, tenisówki i te krótkie białe skarpety? Jeśli kochają sport, to czemu są tacy grubi? - dociekała matka.

Gdy skończyłam dziewięć lat, patrzyłam już podejrzliwie na wszystkich Kanadyjczyków, a Amerykanie budzili we mnie absolutne przerażenie. Mieli fatalny wpływ na wszystko. Matka mówiła, że gdyby nie oni, Brytyjczycy nadal korzystaliby z czerwonych budek telefonicznych. Uważała, że zanik tych budek jest złym znakiem, podobnie jak zniszczenie żywoptotów i budowa potwornego diabelskiego młyna, który oszpecił panoramę Londynu.

- Tak jakby już nie trzeba było traktować Anglii serio - dodawała matka z dezaprobatą. - Jakby teraz wszystko było jednym wielkim parkiem rozrywki.

Popatrzyłam na Meline. Siedziała z podwiniętą nogą, bawiąc się włosami i od czasu do czasu wtykając na próbę palec w kartofle. Przypuszczam, że to zachowanie typowe dla Amerykanów. Obserwowałam Meline, żeby odkryć inne ich dziwne właściwości, o których matka nie zdążyła mi opowiedzieć.

- To jest mostek - odpowiedziałam niezwłocznie na pytanie stryja o mięso. Wiedziałam, że nie mam brytyjskiego akcentu matki, ale za to przejęłam jej intonację, bardziej brytyjską niż kanadyjską. Każde słowo artykułuję szybko oraz wyraźnie. To oznaka szacunku dla słuchaczy - nieprzeciąganie własnej wypowiedzi. - A to jest kugel ziemniaczany. Taki rodzaj puddingu. Wpadłam na panią Mendelbaum przed obiadem i dała mi jadłospis.

- No proszę! - odparł stryj, prychnąwszy z oburzeniem. - A mnie nie dała. Czy nie powinna była dać jadłospisu mnie? Nieważne zresztą. Lepiej, żebym nie wiedział.

- To ma być pudding? - spytała Meline sceptycznie. - To nie jest pudding. Ktoś będzie musiał wyjaśnić pani Mendelbaum, czym jest pudding. To przypomina raczej placki ziemniaczane albo zapiekankę z kartofli, ale to nie jest pudding. Pewnie źle zrozumiałaś. Jej angielski nie jest najlepszy. Może powiedziała coś innego.

- Co na przykład? - spytałam.

- Może budding? Może po niemiecku placki ziemniaczane nazywają się budding.

- To nie ma być słodki pudding. To jest pikantny pudding - odparłam, odkrawając kolejny kawałek mostka i zastanawiając się, kiedy wreszcie będę miała za sobą ten nieludzko długi posiłek.

- Pikantny? - spytała Meline. - Jak żart? Nie wiem, komu mogłoby się wydawać zabawne przebieranie kartofli za pudding oraz łączenie ich z mięsem, skoro każdy ci powie, że pudding powinno się podawać na zakończenie posiłku. I na słodko.

- Dobrze powiedziane - rzekł stryj, dla podkreślenia swoich słów uderzając nożem do masła w kieliszek. Dźwięk był przyjemny dla ucha i stryj w roztargnieniu powtórzył go kilkakrotnie. Potem zastukał w karafkę z wodą. Następnie wstał i podszedł do kredensu z chińską porcelaną, mamrocząc coś o poszukiwaniach szklanki, która byłaby zrobiona raczej ze szkła niż z kryształu. Obserwowałyśmy go z Meline rozbawione. Zupełnie jakbyśmy mieszkały z impulsywnym dwulatkiem.

- Nie na słodko. W tym jest cząber - powiedziałam. Byłam pewna, że matka patrzyłaby na moich współmieszkańców jak na te kobiety z kółka krawieckiego, które używały papierowych serwetek. - Czy twoja matka nigdy go nie serwowała?

- Nie znam nikogo, kto kiedykolwiek serwowałby cząber, a w każdym razie tak to nazywał - odparł stryj, wrócił do stołu i zaczął jeść mostek.

Opowiedział nam o jakiejś jasnowłosej rodzinie z telewizji. Wyjaśnił, że wciąż ma przed oczami reklamę Krafta, w której matka podaje jedzenie swoim nierozgarniętym, lecz (jak ostatecznie doszedł do wniosku) również niegodziwym dzieciom. Zupełna nijakość tych chłopców o śmietankowej cerze, zadartych nosach i bezbarwnym, błogim uśmiechu prześladowała stryja. Nijakość była maską, skrywała ich prawdziwą naturę, bo kto mógł być aż tak nijaki? To były demony, diabły uśmiechające się do kamery, a nocami biorące udział w sabatach. Stryj przyznał, że się ich boi i że gdy tylko zaczyna o nich myśleć, odpycha owe straszne obrazy. Czy on to wszystko mówił na poważnie?

- Twoja matka była wyjątkowa, kochanie. Mogę to stwierdzić na podstawie kartek świątecznych. Ona naprawdę wierzyła w te wszystkie nonsensy: w cząbry i w wytrawne sherry, i w całą tę brytyjskość, którą w Anglii odrzuca się razem z dinozaurami. A ona chyba naprawdę sądziła, że zachowanie tych rzeczy ocali świat. Cóż, chwała jej, chwała, mówię tak każdemu, kto myśli, że ma patent na zbawienie świata - wymarotał stryj pod nosem, badając niewielką miskę z purpurowym sosem, której najwyraźniej wcześniej nie zauważył.

- To jest ćwikła - powiedziałam, uśmiechając się promiennie, ale coś w środku mnie przewróciło oczami. Kanadyjczycy są dokładnie tacy, jak myślałam. Muszę zachować jeszcze większą czujność.

Dorastałam w tysiącakrowym gospodarstwie w Saskatchewanie, gdzie ojciec pracował jako pilot samolotu opylającego, a matka doglądała farmy. Uczyłam się w domu i rzadko spotykałam kogokolwiek poza robotnikami rolnymi i nielicznymi Kanadyjczykami, których

akceptowała matka. Ale tak trudno przychodziło zaakceptowanie któregośkolwiek z nich, gdy od początku miało się silne poczucie narodowej niechęci, tak że naszych gości można było policzyć na palcach. Zazwyczaj odwiedzali nas Anglicy, ponieważ matka należała do organizacji pomagającej rodakom w podróży. Za niewygórowaną opłatą przyjmowała ich w domku gościnnym, który kazała ojcu zbudować w czasie wolnym, choć był go praktycznie pozbawiony. Matka zresztą też nie miała wolnego czasu i nie darzyła sympatią nikogo, kto go miał albo chciał mieć. Organizacja oczywiście przeprowadzała wstępną selekcję członków. Kiedy matka wypełniała swój formularz, napisała: „Nie chcemy tu seryjnych morderców. Ani osób o skłonnościach kryminalnych. Ani nikogo, kto chrapie. I oczywiście żadnych Amerykanów”. Wiedziała, że nie moglibyśmy usłyszeć chrapania dobiegającego z domku dla gości, lecz nie akceptowała go niejako z zasady. Było dla niej oznaką zdrowego snu, a zdrowo śpią ci, którzy zbyt rozkoszują się snem. Swoboda obyczajów może ich cechować także w pozostałych dziedzinach życia. Jej zdaniem człowiek powinien spać lekko, jeżeli w ogóle.

To właśnie dzięki członkostwu matki w tej organizacji ona, mój ojciec, ojciec i matka Meline oraz ja pojechaliśmy do Zimbabwe. Inaczej nie moglibyśmy sobie pozwolić na taką podróż. Nie żebym obwiniała organizację, ale nie mogłam przestać przypisywać jej części odpowiedzialności.

Marzeniem matki był powrót do Anglii, chociaż wiedziała, że trudno będzie nakłonić ojca, aby porzucił prerię i nieprzerwaną linię horyzontu, i mile przestrzeni do przemierzania, i akry zboża, które trzeba opylać.

- Jest tak niewiele rzeczy na świecie, które naprawdę można pokochać - powiedział mi kiedyś, gdy wyjątkowo podjął temat tęsknoty matki za Anglią i jej cichej kampanii na rzecz wyjazdu z Kanady - że gdy coś już obdarzysz miłością, powinnaś się tego trzymać, bo czasu jest niewiele i musisz go wykorzystać, i wkładać we wszystko całe serce.

Wtedy nie rozumiałam, co ma na myśli. Wydawało mi się, że czas jest nieograniczony - ciągnie się po horyzont i jeszcze dalej, jak nieprzerwana linia prairii. Nie czułam potrzeby trzymania się czegośkolwiek. A matka zdążyła już mnie pouczyć, jak zajmować się sercem, i chociaż nie rozumiałam jej wskazówek, podobnie jak rad ojca, uznałam je - jak wszystkie rzeczy związane z matką - za słuszne. Co miał na myśli ojciec, mówiąc o wkładaniu serca? Matka uważała, że rzeczy po prostu się przydarzają. Nie masz na nie wpływu. A więc chronisz swoje serce, ten delikatny, bijący, krwawy kawałek mięsa, gdy tylko się przekonasz, jak łatwo czynniki zewnętrzne mogą go uszkodzić. To właśnie jest życie: masa prób i doświadczeń, które w ciebie uderzają, a ty próbujesz się prześlizgnąć, odnosząc jak najmniej

ran. Kulisz się nad sercem, jak matka nad dzieckiem pod ostrzałem snajperów, chronisz je przed pociskami. Cała energia, według mojej matki, powinna zostać zużyta na ochronę. Idea wkładania całego serca, marszu na linię frontu, że tak powiem, była jej obca.

Nie myślałam w ogóle o tym, co kocham, a czego nie. Zakładałam, że moje życie nigdy się nie zmieni. Zaczynanie od zera, branie odpowiedzialności za to, co mogłoby nastąpić, było mi zupełnie obce. Moje dni upływały na farmie, otaczały mnie odgłosy farmy, muczenie krów, poranny świergot ptaków, szum wiatru w wysokich łanach zboża, dźwięk kombajnów, żniwiarek, traktorów, warkot maszyn i cisza wieczorem. Widoki: cudowny, jednostajny ruch, falowanie traw, rozwieszzonego prania, spokojne i pewne gesty mojej matki, która nigdy nie odpoczywała, nigdy nie przystawała, rytm świata, rytm matki, niewzruszony. Aż do Zimbabwe nie podejrzewałam, że istnieją również inne rytmy, inne dni, inne sposoby życia. Ale wtedy przecież nikogo jeszcze nie straciłam i nie wiedziałam, że kiedy kogoś tracisz, znikasz razem z tą osobą, znika ta część, która do niej należy, a ty zostajesz, zastanawiając się, kim jesteś. I że chociaż pamiętasz tę osobę i pamiętasz siebie, to, kim byłeś przy niej, bezpowrotnie ginie.

Rodzice nie zgadzali się w kwestii Kanady i Kanadyjczyków, nie rozmawiali więc na ten temat. Matkę to dręczyło, więc często rozmawiała ze mną. Tęskniła za Anglią. Uważała Kanadę za kraj barbarzyńców. Bałam się wyjeżdżać bez niej z farmy. Myślałam, że zawsze będę potrzebować kogoś, kto wie, jak postępować, jak odgrodzić mnie od tych wszystkich ludzi, którzy postępują niewłaściwie. Matka mówiła, że nie należymy do Kanady. Jej słowa były teraz dla mnie pocieszeniem. Zrozumiałam, że moje poczucie wyobcowania jest całkiem naturalne. Matka miała rację. Ludzie nie przestrzegają norm cywilizowanego społeczeństwa. Są dziwni, nieokrzesani, zachowują się niestosownie. I poszturchują jedzenie jak zwierzęta.

## **MELINE**

- A ty, moja droga - powiedział stryj, patrząc na mnie przez całą długość stołu - powinnaś spróbować tego bardzo brązowego mięsa. Jest naprawdę dobre. Wiem, że nie wygląda ciekawie, raczej jakby ktoś zwymiotował na talerz, ale jest smaczne i prawdopodobnie ma wartości odżywcze. Tak. Sądzę, że pani Mendelbaum się sprawdzi.

Wzięłam kawałek. Przed przyjazdem na wyspę nigdy nie jadłam mięsa, choć nikomu o tym nie powiedziałam, i nawet lubiłam hot dogi stryja, może tylko nie każdego wieczoru. Wcześniej zresztą jadałam hot dogi z tofu, które są bardzo podobne. Ale smak tego mięsa był ciemny, głęboki i złożony, a ponieważ moja matka nigdy nie używała do gotowania soli, aromat potrawy wydał mi się przytłaczający. Odłożyłam to, co miałam na widelcu.

- Moim zdaniem to gówno - oznajmiłam.

Miałam nadzieję, że Jocelyn się skrzywi, i rzeczywiście. Irytowało mnie, że ciągle zachowuje się tak sztucznie, z takim dystansem, w obliczu katastrofy, która powinna była zburzyć wszystkie mury między nami. Spędzałyśmy dni osobno, każda na swój sposób, spotykając się tylko podczas posiłków. I najwyraźniej nic nie mąciło jej spokoju.

- Ach nie, to chyba niemożliwe? - spytał stryj. Wyglądał na przerażonego myślą, że pani Mendelbaum mogłaby zostać zwolniona. Chciałam zjeść resztę mięsa, żeby go uspokoić, ale nie byłam w stanie. Wiedziałam, że się pochoruję. A wcale nie pragnęłam takiej władzy. Poczucia, że jadłospisy będą odtąd układane według moich preferencji.

### **MARTEN KNOCKERS**

Obserwowałam Meline ze zmarszczonymi brwiami. Jeżeli nie polubi kuchni pani Mendelbaum albo jeśli pani Mendelbaum nadal będzie gotowała te dziwne, nazbyt brązowe mięsa, cała przekłeta operacja zacznie się od początku. Ogłoszenie, rozmowa kwalifikacyjna... ale nie, nagle z wyraźną ulgą zdałem sobie sprawę z tego, że jeśli pani Mendelbaum będzie musiała odejść, bo dziewczynkom nie smakują jej potrawy, to właśnie bratanice obarczę zadaniem zatrudnienia następnej kucharki. One przygotowują ogłoszenie. One przeprowadzą rozmowę z kandydatką. A zatem nie ma znaczenia, czy pani Mendelbaum zostanie, czy nie. Z tą myślą dokończyłem kolację, nie ukrywając pogodnego nastroju, a wręcz beztrąsko hałasując podczas jedzenia.

Później, w nocy, przyszło mi do głowy, że może powinienem był zachęcić Meline, żeby przełknęła kolejny kęs mostka. Czy nie trzeba zachęcać dzieci do poszerzania horyzontów? Do tej pory nie byłem za nikogo odpowiedzialny, nie miało więc żadnego znaczenia, że nie wiem, co robić. Lecz teraz rzekomo byłem odpowiedzialny i nie wiedziałem, co począć z tymi dziewczynkami. Z pewnością młodych kobiet w ich wieku już od dawna nie trzeba do niczego zachęcać. To znaczy: nie muszę ich zachęcać do jakiegoś konkretnego zachowania, ponieważ mają już własne poglądy, prawda? W rzeczywistości są małymi dorosłymi, czyż nie? Potrzebują jedynie trochę jedzenia i dachu nad głową do czasu, gdy pójdą na studia. Nikt chyba nie oczekuje, że będę je w jakiś sposób kształtował? Ja sam w ich wieku, zresztą w każdym wieku, byłbym wysoce oburzony na samą myśl, że ktoś miałby mnie kształtować. To byłoby nie do zniesienia. Nigdy nie zrobiłbym tego innym. Pomijając fakt, że ani mi na tym nie zależy, ani nie wiedziałbym, jak zacząć.

Przez jedną przerażającą sekundę miałem wizję bratanic w postaci gliny, a siebie jako siódmoklasisty na zajęciach z plastyki: leżała przede mną bezkształtna, nieuporządkowana,



niepotrzebna nikomu masa, a nauczyciel mówił, że muszę ulepić coś oryginalnego. A więc spełniłem jego życzenie i nazwałem swój nieforemny twór „jądrami molekularnymi”. „Nie, nie - powiedział nauczyciel, wyrzucając moją pracę do kosza z odpadkami do utylizacji. - Coś oryginalnego, ale dającego się rozpoznać”. A więc zrobiłem psa z sześcioma nogami. „Nie, nie” - powiedział nauczyciel. Inni uczniowie poczynili tymczasem postępy i przeszli do mozaik. Nauczyciel żądał czegoś oryginalnego, dającego się rozpoznać i wiarygodnego. Cóż, to mnie zdumiało. Z pewnością sztuce, prawdziwej sztuce, nie powinno się narzucać takich ograniczeń. I z pewnością nie wolno oczekiwać, że każdy będzie artystą. Przecież prawdopodobnie nikt w całej szkole, a nawet w całym mieście, nie był prawdziwym artystą. Ilu prawdziwych artystów rodzi się w jednym stuleciu, nie mówiąc już o jednej szkole? O, na pewno jest wielu sprytnych ludzi i wielu sprytnych ludzi robi pieniądze na swoje sprytne artystyczne sposoby. Ale prawdziwi artyści, jak prawdziwi geniusze, występują rzadko, więc tym razem wziąłem bryłę gliny, wrzuciłem ją do kosza na odpadki i z godnością przyjąłem jedynkę z zajęć. Nie potrafiłem kształtować. Moi bracia, którzy uczynili mnie opiekunem swoich córek, powinni byli wziąć to pod uwagę. Nie jestem artystą i nie potrafię kształtować. Potrafię płacić rachunki. I to będzie musiało wystarczyć.

### **MELINE**

Zjadłam kugel ziemniaczany, który nawet przypominał wegetariańskie zapiekanki przyrządzane przez matkę w naszym mieszkaniu nad sklepem w Hyannis Port. Matka grała na marimbie i mieszkała w młodości w Zimbabwe. Jej marzeniem było osiedlić się tam znowu - w kraju, w którym za dwadzieścia tysięcy dolarów możesz kupić całe akry ziemi oraz dom. Chciała prowadzić pensjonat dla gości jak matka Jocelyn, tyle że otwarty dla wszystkich, a zwłaszcza dla podróżujących muzyków podobnych do niej. Niezamożnych włóczęgów i wegetarian, którzy szanują ziemię i wszystkich ludzi, pragną pokoju oraz harmonii. Miała przyjaciół w Zimbabwe, którzy zaofiarowali jej pomoc. To dziwne, że urzeczywistniając to marzenie, zginęła w tak straszny sposób. W każdym razie wyobrażałam sobie, że musiał być straszny. Spędziłam mnóstwo czasu, odpychając różne obrazy śmierci w katastrofie kolejowej. Żaden nie miał nic wspólnego z pokojem ani harmonią.

Mój ojciec prowadził niewielką firmę czarterującą samoloty. Większość zysków inwestował w biznes, więc matka mówiła, że nigdy nie będą mogli sobie pozwolić na zakup ziemi w Stanach Zjednoczonych. Cała nadzieja w Zimbabwe. Nie chciała akra czy dwóch, chciała tak wiele ziemi, żeby nie można było zmierzyć jej wzrokiem. Chciała czegoś dzikiego. Myślę, że polubiłaby tę wyspę, chociaż klimat mógłby być dla niej zbyt zimny i

zbyt deszczowy. Uwielbiała skwar w naszym mieszkaniu pozbawionym klimatyzacji. Im było goręcej, tym więcej miała energii, w przeciwieństwie do ojca i do mnie. My podczas upałów chodziliśmy wieczorami na plażę i wracaliśmy dopiero wtedy, gdy robiło się chłodno.

Zawsze wiedziałam, że jesteśmy biedni i że inni mieszkańcy Hyannis Port są bogaci. Zamożni ludzie niemal jaśnieli w swoich pastelowych ubraniach. Bogacze ubierali się na jasnożółto i limonkowo-zielono, nosili śnieżnobiałe skarpetki oraz tenisówki w tak nieosiągalnej tonacji bieli, jakby ich właściciele unosili się w powietrzu. Jakby pieniądze pozwalały im na luksus niedotykania chodnika. Moja matka bardzo się wyróżniała w długiej indyjskiej sukni z nadrukami. Ubierała mnie podobnie, aż stałam się dostatecznie duża, by zaprotestować. Potem kupowała mi rzeczy w sklepie z używaną odzieżą. Odtąd nosiłam sprane ciuchy z limonkowitzielonym aligatorem na kieszonce. Nie dbałam o to, czy pasuję do otoczenia, ale nie chciałam manifestować dumy z biedy ani pogardy dla bogactwa. Matka nie przejmowała się ani jednym, ani drugim. Uważała, że wcale nie odstaje od bogaczy z ich eleganckimi fryzurami oraz tak zdrowymi białkami oczu, jakby jedli renomowaną karmę dla zwierząt.

W szkole wszyscy lubili udawać, że znają Kennedych, a kiedy latem przyjeżdżali turyści, udawali, że są Kennedymi. Mnie Kennedy nie obchodzili. Ludzie zbyt często wierzą, że już sama miłość do nich jest cnotą. Matka natomiast była apolityczna. Raz pewna zabiegająca o głosy kandydatka demokratów zebrała się na odwagę i zapukała do naszych obskurnych drzwi. Musiała naprawdę potrzebować każdego głosu. Kiedy matka oświadczyła, że nie zamierza głosować, ta kobieta powiedziała jej, że jeżeli nie chce być częścią rozwiązania, staje się częścią problemu. Matka oświadczyła, że wręcz przeciwnie. Niektórzy ludzie nie są ani częścią rozwiązania, ani problemu. Oni po prostu muzykują.

Właśnie to najbardziej lubiłam w mojej matce. Zawsze mówiła, co myślała. Nie była nieuprzejma, tylko odważna. Dlatego to niesprawiedliwe, że jej życie zostało przerwane przedwcześnie. Czy żyłaby dłużej, gdyby się bała? Czy lęk powstrzymałby ją przed podróżą do Zimbabwe? Albo może jej krótkie życie byłoby po prostu bardziej nieszczęśliwe? Męczyła mnie świadomość, że nigdy nie będę wiedzieć, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybyśmy dostały z powrotem naszych rodziców i naprawiły te fatalne skazy, które sprawiły, że skończyli w tamtym pociągu w drodze do tego ociekającego krwią, niewegetariańskiego miejsca.

Chciałam być taka jak matka - swobodna, bezpośrednia i pełna eleganckiej odwagi, ale myślę, że bardziej przypominam tatę, który był szczery i bezkompromisowy, ale lubił od czasu do czasu kimś potrząsnąć. Cóż, żadne z nas nie było doskonałe. Nawet matka miała

swoje małe wady. Po zrobieniu ciastek czekoladowych z wiórkami kokosowymi nie mogła się powstrzymać i zjadała wszystkie naraz. Ojciec wracał do domu, mówił, że w mieszkaniu cudownie pachnie, a matka rozglądała się ukradkowo dokoła i odpowiadała, że to ciastka... Nie była kłamczuchą, więc gdy ojciec pytał, gdzie one są, wyjaśniała rzeczowo, aby uciąć dalsze spekulacje na temat losu ciastek, że nic nie zostało. I zaczynała grać na marimbie, naprawdę głośno. Zawsze chciała zrzucić dziesięć funtów, ale jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że najpierw powinna przestać piec ciastka. Mawiała: „Zamierzam zrobić ciastka, Meline, i sama zjem tylko jedno”. Ale to ja dostawałam jedno, najwyżej dwa. A kiedy później wchodziłam do kuchni, miała wzrok osaczonego lisa i już wiedziałam, że ciastka znowu ją pokonały.

Wreszcie zaczęła wierzyć, że wypieki są złe. To jedyny przypadek, kiedy określiła coś tym słowem. Tylko tak mogła wytłumaczyć swój zgubny pociąg do ciastek.

Pewnego dnia po powrocie ze szkoły chciałam jej pomóc wygrać walkę z pokusą, przywołując zdanie, które mój nauczyciel wypisał tego ranka na tablicy: ZAWSZE BĄDŹ SOBIE STEREM I OKRĘTEM. Matka miała zinterpretować je jako: NIE POZWÓL, BY CIASTKA PRZEJEŁY NAD TOBĄ KONTROLĘ. Usiadła i zamyśliła się, ale chyba nie dotarło do niej przesłanie.

- Ja lubię powiedzenie: NIE BĄDŹ ZŁOŚLIWY, TYLKO DOCIEKLIWY - wyznała, nalewając nam lemoniady. Potem popatrzyła w dal, wypila łyk i spytała: - Czy uważasz, że kotka sąsiadów naprawdę została wysterylizowana? Odnoszę wrażenie, że spodziewa się młodych.

Próbowałam sobie przypomnieć ulubione powiedzenie ojca, ale przyszła mi do głowy tylko rada: NIE DAJ SOBIE WCISKAĆ GÓWNA. To nie do końca coś, co chciałoby się wyhaftować na poduszce.

A jednak rozsądna mieszanka tych haseł może być oparciem. Tak przynajmniej sądziłam jeszcze w poniedziałek. Do wtorku zmieniałam zdanie. W środę znów się ich uczepliłam. Dziś nie jestem pewna. Jutro prawdopodobnie się rozmyślę. A może nie. Wzięłam kolejny kawałek kugła ziemniaczanego. Mój świat się skończył. Mój świat się skończył.

- Kugel? Mostek? - powiedziałam do Jocelyn. - Ja nigdy wcześniej nawet nie słyszałam tych słów.

## **MARTEN KNOCKERS**

Jocelyn powiedziała:

- Pani Mendelbaum zazwyczaj gotowała to dla swojej rodziny. Mówi, że przyrządza

dobre, proste jedzenie, nic wymyślnego. No wiesz, nie jest zawodową kucharką. Ani zawodową gosposią. Przyjęła tę pracę, ponieważ już nie mogła słuchać tylko własnych odgłosów. Aż dostawała gęziej skórki. Chciała znaleźć się w miejscu, gdzie słyszeć też odgłosy innych ludzi. Kiedy ją przyjmowałeś, wiedziałeś, że jest strasznie stara, prawda?

- Nie wiedziałem! - odparłem. Kto myśli o takich rzeczach?

- Nie wygląda na starą. - Przez chwilę rozważałem ten problem w milczeniu. - Twoim zdaniem wygląda?

- Nie podała wieku w zgłoszeniu? - spytała Jocelyn, ignorując moje pytanie i nie przestając kroić ze spokojem swojej porcji mięsa na małe kawałeczki.

- W czym? Ach tak, te rzeczy... Cóż, nie prosiłem jej o żadne papiery.

- A o referencje? - chciała wiedzieć Jocelyn.

- Też nie, oczywiście. Cóż, myślę, że ona wygląda w porządku, prawda? Nie jak seryjna morderczyni czy coś w tym rodzaju. Zresztą jeśli ktoś chce sfałszować aplikację i referencje, zrobi to z łatwością.

- Tak, ale zawsze możesz zadzwonić do osób, które wystawiły referencje - poinformowała mnie Jocelyn. - Właśnie po to one są. Możesz sprawdzić, czy ktoś nie jest naprawdę za stary, żeby pracować.

Poczułem się znudzony i osaczony. Wiele hałasu o nic.

- No tak, istnieje taka możliwość. Ale nigdy nie wiesz, czy referencji nie wystawili im przyjaciele. Zrozum, droga Jocelyn, że jeśli twoi pracownicy zechcą cię oszukać, nie powstrzymasz ich. Możesz więc równie dobrze dać sobie spokój.

- Albo zaufać własnej intuicji - rzekła Meline, wpychając do buzi bułkę. Najwyraźniej traktowała pieczywo jako danie główne.

- Otóż to - powiedziałem, patrząc na bratanicę z wdzięcznością. - Zaufać własnej intuicji. A moja intuicja mówi, że ona jest w porządku. - Zsunąłem okulary na czubek nosa i zerknąłem w kierunku kuchni, gdzie pani Mendelbaum kończyła przygotowywać miodowiec.

- Wygląda na osobę, która potrafi doskonale sobie radzić ze wszystkim, z czym radzą sobie młodsze kucharki. Dźwiganie ciężarów i te sprawy.

- Dźwiganie ciężarów? - spytała Meline, parszając śmiechem i rozsiewając wszędzie okruszki bułki. Jocelyn uprzejmie odwróciła wzrok.

- Tak, w kuchni. Ciężkich garnków z wodą na spaghetti. Ciężkich pieczeni. Indyków - wyjaśniłem niezmiernie. Dziewczęta były naprawdę bardzo niemądre. Ta kobieta potrafiła gotować, a więc po co rozwodzić się nad aplikacjami i referencjami? Nie prowadziłem przecież rekrutacji dla NASA. I skąd, u licha, miałbym wiedzieć, czy ktoś nie jest za stary do

pracy, jeśli mi tego nie powie? Tylko czasami potrafiłem sobie przypomnieć, ile ja sam mam lat. U ludzi ważne są jedynie idee, nie wiek, ale - i na tym polega tragedia - zaledwie nieliczni mogą się nimi poszczycić. - Ja nawet nie wiem, ile wy macie lat - powiedziałem, podążając śladem własnych myśli.

- Szesnaście - odparła Jocelyn.

- Piętnaście. Niecałe szesnaście - dodała Meline. Wyciągnęła spod siebie nogę i usiadła na drugiej.

- Naprawdę - powiedziała Jocelyn - to niezwykle, że zawsze siedzisz na podwiniętej nodze. Jak jakiś bocian. Wysiadasz te swoje stopy?

Złożyła nóż i widelec po przekątnej od środka talerza i odchyliła się na krześle, jakby zamierzała z tym wszystkim skończyć - i z kolacją, i z nami. Meline i ja popatrzyliśmy na nią zdumieni. Nieuprzejmość nie leżała w jej naturze. Potem Meline zerknęła na swoją stopę, jakby sądziła, że naprawdę wyczołga się spod niej jakiś pisklak. Oparła obie stopy na podłodze, najwyraźniej zmieszana.

Spojrzałem na talerz Meline z prawie nietkniętym mostkiem i zapytałem:

- Nie jesteś głodna?

- Zjadłam mnóstwo czekolady - odparła.

- Ach tak... - stwierdziłem radośnie. Byłem bardzo zadowolony, że moje rozwiązanie okazało się skuteczne. Kiedy zauważyłem, że hot dogi na kolację nie budzą entuzjazmu, zacząłem się zastanawiać, co sprostaby gustom wybrednych dziewcząt. Wtedy sobie przypomniałem, jak pewna pani poznana na konferencji powiedziała, że kobiety szaleją na punkcie czekolady. Że zrobią dla niej wszystko. Pamiętam, że się odsunąłem i popatrzyłem na swoją rozmówczynię badawczo, dociekając, jak bardzo szaleje ona sama. A teraz głodne i niezadowolone z menu bratanice przypomniały mi tamtą rozmowę. Jak nazywała się czekolada, o której moja towarzyszka mówiła z takim uczuciem? Ach tak - Godiva. A więc wszedłem do internetu i zamówiłem po dwanaście pudełek dla każdej z dziewczynek, ekspresem. To je powinno uchronić przed śmiercią głodową. Poleciałem Samowi, który jest pilotem helikoptera, żeby dostarczył zamówienie. Przyjmuje moją pocztę na swój adres w Vancouver, a potem, kiedy ma lepszy dzień, zrzuca na wyspę. Nie jest dobrym dostawcą, głównie dlatego, że wyrzuca listy i paczki tylko mniej więcej w okolicy domu. Ja jednak nigdy nie narzekam. Owszem, nie znajduję nawet połowy przesyłek, ale z drugiej strony często zapominam, że w ogóle coś zamówiłem.

Kiedy czekolada dotarła, po grzechotaniu w pudełkach poznałem, że jest połamana na kawałki. Ale dziewczynki nie grymaszą z powodu kształtu czekolady, prawda? Podczas

rozmowy z tą kobietą na konferencji odniosłem wrażenie, że gdyby to było możliwe, one po prostu wstrzykiwałyby ją sobie prosto w żyłę. Jedno pudełko znalazłem w króliczej dziurze. „To zupełnie jak wielkanocne poszukiwanie jajek” - pomyślałem radośnie. Inne „dostarczone” przez Sama zamówienia odnalazłem porozrzucane w różnych zakątkach wyspy, kiedy polowałem na pudełka z Godivą. Każde znalezisko było miłą niespodzianką, jakby te rzeczy spontanicznie wyskoczyły spod ziemi. „To przeciwieństwo samoistnego spalania” - uświadomiłem sobie rozbawiony. Czasami mój własny temperament oraz styl życia tak bardzo mi odpowiadały, że czułem przyływ fali wszechogarniającego zadowolenia. Gdyby tylko ludzie przestali wybrzydzać... Gdyby potrafili czerpać radość z rzeczy, które im się przydarzają, zamiast kaprysić, że nie przydarzają się one w taki sposób, w jaki powinny... Ci wszyscy naukowcy, których spotykałem na konferencjach - ciągle się urywali, żeby iść do hotelowej siłowni albo żeby robić coś równie usprawniającego. Zawsze chciałem wiedzieć, do jakiej granicy można się usprawnić. Czym ci ludzie chcą być?

- Cóż - rzekłem, zadowolony, że Meline przypadła do gustu czekolada. - Zajmująca kolacja.

Niestety, zapomniałem, że interesująca jej część rozegrała się wyłącznie w mojej głowie. Znów do mnie dotarło, że gdy już nawiążesz kontakt z ludźmi, oni chcą, żebyś słuchał głównie ich, nie siebie, i cała sytuacja robi się męcząca. Zdecydowanie męcząca.

- Kto chce ciasta? - zawołała pani Mendelbaum z kuchni, z ustami pełnymi kugla ziemniaczanego. Jadła na stojąco, robiąc listę zakupów.

- Co? - zapytałem. - Czy pani coś mówiła, pani Mendelbaum?

Musiałem poczekać, aż przelknie.

- Pytałam, kto chce ciasta? Dla kogo ładny kawałeczek miodowca?

- Czy pani nadal tam je? - zawołałem.

- Nie powinnam jeść?

- Nie, nie o to chodzi. Wciąż powtarzam, że nie musi pani jadać sama, jak jakiś zbieg. Czemu nie chce się pani przyłączyć do nas? Jestem pewien, że dziewczynki nie będą miały nic przeciwko temu.

- Przeciwno czemu? Co tu można mieć przeciwko?! - wrzasnęła pani Mendelbaum. - Biedactwa właśnie straciły rodziców, jedyne żywe istoty należące do nich na tym świecie, i miałyby się przejmować, czy ja z nimi jadam?

- Mam na myśli, że to byłoby dla nich korzystne. Nie jestem dobry w dotrzymywaniu towarzystwa. Kobieta przy stole byłaby... cennym nabytkiem dla nas wszystkich. - Nienaganne maniery kazały mi udzielić odpowiedzi, która oznaczała zgodę na niejaki

dyskomfort. Postanowiłem jednak się poświęcić.

- Kobieta? Ale dlaczego kobieta? Mam miesiączkować czy co? - zaczęła do siebie mamrotać, nieświadoma, że słyszę ją całkiem wyraźnie, a biedna Jocelyn cała się rumieni. - Słuchaj no pan, panie Sforne Gacie - powiedziała pani Mendelbaum, podnosząc głos tak, żebyśmy mogli ją usłyszeć, i wymawiając „s” w wyrazie „sforne” z bardzo ostrym niemieckim akcentem, jakby wkładała w ten dźwięk całą swoją pogardę. - Czytałam, więc wiem. Kucharka nie jada z rodziną. Czy nie widziałam książki, którą ustawiłeś pan w kuchni: Co robi lokaj? Co robi kucharka? O tym jest cały rozdział. Co robi służący? Kto to słyszał o takich rzeczach, panie Sforne Gacie? Kucharka, mówi książka, nie jada przy stole. Kucharka jada w kuchni.

- Prawda, że to nie ja wszcząłem tę śmieszłą kłótnię?

- szepnąłem udreńczony. - Nie mogłem zachować się bardziej demokratycznie, prawda? Ona jest raczej wybuchowa. Miałem nadzieję, że nie, ale owszem, obawiałem się tego. Czytałem o tym w książce, o której ona mówi. Bardzo wielu kucharzy jest wybuchowych. Tak zresztą to nazywają: pasja gotowania.

- A widzisz? Powinieneś był przeprowadzić rozmowy kwalifikacyjne, zamiast zatrudnić pierwszą osobę, która się zjawiała - stwierdziła po cichu Jocelyn.

- Przysięgam, pani Mendelbaum, że nie zostawiłem w kuchni książki o służbie, aby się pani dowiedziała, że kucharki nie jadają z rodziną. Nigdzie nie zostawiam książek umyślnie. To znaczy, tak, układałem je w różnych miejscach, ale zgodnie z logiką, a nie z przekonaniem, że ktokolwiek poza mną miałby je czytać. Nie planowałem, że będę mieszkał z innymi ludźmi. Wy wszyscy po prostu... się zjawiliście.

- Zjawiliście się, tak po prostu? Niby ja się zjawiłam? - mamrotała dalej pani Mendelbaum i pałaszowała drugą porcję kugła ziemniaczanego, kończąc swoją listę zakupów.

- Szaleniectwo! - Zjadła jeszcze kilka kawałków i zawołała w kierunku jadalni: - Mój syn, Mendel, skończył studia! Miał wykształcenie!

Nie wiedziałem, jak to rozumieć. Czekaliśmy więc. Jej słowa zabrzmiały jak oskarżenie, ale nic po nich nie nastąpiło. Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie przez kilka minut, a potem wszyscy spytaliśmy jednocześnie:

- Mendel Mendelbaum?

- Przepraszam, pani Mendelbaum. Nie miałem pojęcia, że lektura tej książki zrodzi w pani takie myśli. Proszę natychmiast wrzucić ją do ognia albo pozbyć się jej w jakiś inny sposób. Nie pamiętam połowy rzeczy, które są w tym domu. Wystarczy posprzątać, a sama się pani przekona.

Moje słowa, zamiast załagodzić sytuację, jeszcze bardziej rozdrażniły panią Mendelbaum.

- Więc teraz sugeruje, że nie potrafię sprzątać? Będę sprzątać bez zarzutu! - krzyknęła groźnie.

- Wcześniej powiedziała, że nie czuje się dobrze i że boli ją noga - wyszeptwała Jocelyn dramatycznym szeptem z połowy długości stołu.

- Proszę zjeść z nami. Błagam. Niczego bardziej nie pragnę od tego, żeby jadała pani razem z nami - prosiłem coraz mniej szczerze.

Oto skutki mieszkania z innymi ludźmi. Wszystko sprowadza się do robienia dziwnych rzeczy, szalonych rzeczy, takich jak proszenie kogoś o zrobienie czegoś, na co ani ty, ani on najwyraźniej nie macie ochoty, zapewnianie o sympatii, której ty nie czujesz, a on wcale nie oczekuje, czy nieudolne naprawianie nieświadomie wyrządzonych krzywd. Wszyscy powinniśmy mieszkać samotnie na wyspach.

W kuchni zapadła długa cisza, jakby pani Mendelbaum rozważała sprawę. Wreszcie odparła:

- Nie lubię zasiadać do tak ciężkich posiłków. Es brent mir afn harc. Puchnę.

Cóż, w tym momencie pożałowałem, że w ogóle zacząłem dyskusję na ten temat. Ani trochę nie współczułem pani Mendelbaum - która najwyraźniej padła ofiarą strasznego pecha, skoro wszyscy jej krewni umarli. Mimo wszystko zdołała doprowadzić mnie do szału. Potem poczułem się winny. Jak bezdusznym trzeba być człowiekiem, aby dać się wyprowadzić z równowagi biednej, nieszczęśliwej pani Mendelbaum. Po co ja w ogóle o niej myślę? Ja mam tylko wypłacać jej pensję. To wszystko było takie uciążliwe. Przyjąłem ją, żeby nie myśleć o jedzeniu, a teraz ciągle rozmyślam o pani Mendelbaum. W ten sposób niczego nie osiągnę. A wszystko dlatego, że moje bratanice muszą jeść. Ale co to znowu za myśli? Czy ja nie jestem w stanie usiedzieć z bratanicami przy stole? A może szkoda mi czasu na myślenie o ich diecie?

- Jestem potworem. Potworem! - powiedziałem głośno do swoich myśli, jak zwykle się zapominając. Zapominając nawet o obecności dziewczynek. O których zresztą zapomniałem już wcześniej, bo jadalnia była bardzo ciemna, źle oświetlona, a stół - długi. Meline siedziała dwadzieścia stóp dalej, a małej, kościstej Jocelyn o bladej i jakby wypranej twarzy nie dawało się zauważyć niezależnie od tła - taka była chuda i przezroczysta. Odepchnąłem krzesło od stołu i powlokłem się do łóżka. Kiedy opuszczałem kuchnię, weszła pani Mendelbaum i zapytała:

- Chce ktoś ciasta?



## MELINE

Sześć tygodni po przybyciu na wyspę, gdy trochę ochłonęłam, zrozumiałam, że Jocelyn i ja będziemy musiały znaleźć sobie jakieś zajęcie. Helikopter wciąż zrzucał książki i przybory szkolne, zgodnie z programem nauki na odległość, do którego włączyła nas pracownica opieki społecznej. „Tak właśnie się postępuje w przypadku dzieci dorastających na wyspach” - wyjaśniła. Ale ze względu na zmienną celność dostaw pilota Sama czasami znajdowałyśmy nasze przybory, a czasami nie. Żadna z nas nie miała jeszcze ochoty na naukę, więc książki i zeszyty ćwiczeń walały się po całym domu, nadal zapakowane w plastik. Natknąwszy się na nie przypadkiem, stryj Marten często wrzucał je w ogień, który zawsze buzował w ogromnym kominku w salonie. Dokładanie do ognia miało należeć do obowiązków pani Mendelbaum, ona jednak była zbyt delikatna, żeby spędzać cały dzień na dźwiganiu olbrzymich kłoców drewna, toteż my wszyscy, nawet stryj, robiliśmy to na zmianę. Stryj nie pamiętał, że książki są naszymi podręcznikami. Miał je raczej za jakieś tanio oprawione czytadła i dziwił się, po co mu je przysyłają.

- Co to za śmieci? - pytał, podnosząc zeszyt ćwiczeń do matematyki i ciskając w płomień. A kiedy czasami sięgałyśmy po jakąś książkę i zaczynałyśmy niechętnie przerabiać materiał, odkrywałyśmy, że brakuje fragmentów lekcji, czytanek, zadań czy arkuszy, tak że nie sposób było poskładać to w całość. Wreszcie dałyśmy sobie spokój. Rezygnacja była logiczną konsekwencją każdego naszego przedsięwzięcia. Bo przecież wszystko i tak się skończyło.

Ostatni raz widziałam kuzynkę, kiedy miałam dziewięć lat. Jej rodzina wzięła urlop i odwiedziła nas na Cape Cod. Pamiętałam, że Jocelyn była chuda, jasnowłosa, cicha i niezbyt rozrywkowa. Sądziłam, że teraz polubimy się bardziej, bo połączyła nas tragedia. Powinniśmy czuć do siebie sympatię - bezwarunkową i niepojętą dla otoczenia. Ale nie czułyśmy. Jocelyn najwidoczniej nie potrzebowała niczyjej sympatii, a już z pewnością nie mojej. Przez większość czasu jej twarz była surowa i ściągnięta, a usta - jak zacementowane. Kiedy się uśmiechałam, wyglądała na śmiertelnie obrażoną. Jakbym próbowała ją wciągnąć w jakieś nieczyste gierki. Po sześciu tygodniach wymuszonych, trudnych konwersacji - podczas których największym wysiłkiem woli opanowywałam chęć rzucania w Jocelyn przedmiotami - zachowywałyśmy wobec siebie uprzejmy dystans.

Spędzałam mnóstwo czasu, kręcąc się po domu, gorączkowo poszukując czegoś do zrobienia, czegoś, co mogłoby mnie zająć, ale nie wymagało nadmiernej koncentracji. Natomiast Jocelyn codziennie, punkt druga, wychodziła na deszcz w zimowym wełnianym

płaszczu - takim samym jak mój - na tą pogodę zupełnie niestosownym.

Początkowo nie zwracałam na to szczególnej uwagi, ale gdy dni zaczęły wlec się niemilosiernie, poczułam zaciekawienie. Co robiła na dworze? Dlaczego zawsze o drugiej? Czy z kimś się spotykała? Nie, to śmieszne. Na wyspie nie było nikogo. Tylko nas czworo i mnóstwo deszczu. A więc zachowywała się dziwnie, przy czym nie uważałam Jocelyn za osobę, która robiłaby dziwne rzeczy, więc pewnego dnia postanowiłam ją śledzić. Poczekalam, aż przejdzie przez łąkę, potem włożyłam ciężki wełniany płaszcz i wymknęłam się za nią. Zanim dotarłam do lasu, byłam przemoczona i uwalana błotem. Musiałam przyspieszyć, ale chociaż narobiłam dużo hałasu, ona najwyraźniej nic nie zauważyła - tak była pochłonięta swoją tajemniczą misją. Wyglądała bardzo melodramatycznie, jak bohaterka Wichrowych Wzgórz. „Ona mogłaby być postacią z gotyckiej powieści - pomyślałam. - Kimś, kto źle skończył”. Potem jednak doszłam do wniosku, że nie ma w sobie dość empatii. Przypominała raczej dyrektorkę sierocińca albo dziwaczną ochmistrzynię, której pan domu powierzył swoje mroczne sekrety. Miała do tego odpowiedni, zacięty wyraz twarzy. Kiedy weszła na szczyt wzgórza, usiadła na polanie, przyciągając kolana do klatki piersiowej. Potem ku mojemu ogromnemu zdumieniu oparła głowę o kolana i zaczęła szlochać. Czy każdego dnia przychodziła tu tylko po to, żeby siedzieć w błocie i łkać?

Zamierzałam z nią porozmawiać. Powiedzieć, że szlochanie na szczycie wzgórza codziennie o godzinie drugiej to bardzo zły nawyk. Ale nie znalazłam w sobie dość siły. I doszłam do przygnębiającego wniosku, że jeśli ona dzień w dzień przychodzi tu płakać, to najwyraźniej nie mamy nic do roboty. Odwróciłam się, żeby odejść, ale właśnie wtedy mnie zauważyła. Wtedy, gdy wcale nie chciałam zwracać jej uwagi.

- Szłaś za mną?! - zawołała, szturchając mnie w plecy, aż krzyknęłam ze strachu. - Nie miałam zamiaru cię przerazić - dodała - ale nie lubię być śledzona.

- Wiesz, Jocelyn, gdybyśmy miały więcej do roboty, nie mogłabyś sobie pozwolić na luksus szlochania na szczycie wzgórza codziennie punkt druga. Myślę, że powinnyśmy znaleźć sobie jakieś zajęcie, bo z płaczu nie będzie nic dobrego.

- A ty w ciągu zaledwie kilku dni zjadłaś całą swoją czekoladę! Myślisz, że dzięki temu wszystkie problemy znikną?

- Byłam głodna.

- Aha. A teraz zostaw mnie w spokoju.

Prawda była taka, że zjedzenie całej czekolady przyniosło mi pewną pociechę. Ale kłótnia o słodycze wydawała się bezcelowa. Po tym zajściu przestałyśmy rozmawiać. Czasami, kiedy uprzejmość zawodzi, właśnie bezceremonialność sprawia, że nawiązuje się

przyjaźń. Ale nie tym razem. Nawet kafar do wbijania pali nie byłby w stanie zburzyć muru, który wyrósł między nami. Nic nas z sobą nie łączyło. Nie miałyśmy nikogo. Każda z nas była zupełnie sama.

## MARTEN KNOCKERS

Odpowiadała mi ta cisza. Dziewczynki wreszcie się ustatkowały, a ja z zadowoleniem brnąłem przez nasze ciche kolacje, dociekając, w którym miejscu Einstein popełnił kardynalny błąd. Jako że nikt nie miał ochoty na rozmowę, czułem się usprawiedliwiony, wracając do zwyczaju czytania przy stole, za czym bardzo tęskniłem. Ale pani Mendelbaum nie lubiła ciszy. Pewnego dnia w porze na herbatę przyszła do mojego gabinetu. Przychodziła zawsze, gdy miała jakiś problem, przy okazji przynoszenia tacy z podwieczorkiem. Z pewnością uważała, że to doskonała okazja do napaści. Z tego powodu prawie zarzuciłem zwyczaj pijania popołudniowej herbaty i byłbym zarzucił go definitywnie, gdyby nie moje desperackie zapotrzebowanie na teinę i cukier w środku dnia.

- Jaśnie panie - zaczęła.

- Mówiłem, żeby mnie pani tak nie nazywała - odparłem poirytowany. - Jestem Marten albo, jeśli już pani musi, pan Knockers. Ale błagam, nie jaśnie pan. Dostaję od tego gęziej skórki.

- Ja tylko na słówko...

- Zawsze pani tak mówi - jęknąłem. - I zawsze wtedy, gdy jestem w samym środku nurtującego mnie problemu, jak na przykład próba znalezienia brakującego elementu w jednolitej teorii pola.

- Och, kto może myśleć o takich rzeczach!

- Cóż, ja mogę, pani Mendelbaum. A pani mnie zmusza, żebym zaprzestał rozważań nad czymś ważnym, jak próba odkrycia siły, która wiąże razem całą energię w kosmosie, i przełączył się na myślenie o takich kwestiach jak: znowu skończył się cukier. Względnie: transport mleka nie dotarł.

- Dotarł. Zawsze dociera, tylko uszkodzony. Mleko wszędzie na ziemi, ale nie w kartonie. To według pana mały problem?

- No dobrze, cokolwiek panią sprowadza, proszę mówić, miejmy to już za sobą. Nie chcę bez końca sprzeczać się o mleko. Wynająłem helikopter, żeby robił dostawy, ale jeśli w tym systemie są jakieś luki, cóż, istnieją one w każdym systemie. Dom jest systemem, do którego naprawy wynająłem panią. Wszechświat jest systemem, który próbuję naprawić ja. Jeżeli każdy będzie pilnował swojego systemu, jestem pewien, że wszystko się ułoży. Ale

teraz widzę, że zamierza mnie pani zaprosić do rozwiązania problemu, do którego rozwiązania zatrudniłem panią. A więc śmiało. Co tym razem? - zapytałem, odkładając pióro w geście dramatycznej rezygnacji, który najwyraźniej jej umknął.

- Coś złego dzieje się z dziewczynkami. Taka cisza!

- Cóż, to raczej nie jest nasza sprawa, pani Mendelbaum.

- Nie nasza? A zatem czyja, chciałabym wiedzieć? Ta chuda... jak jej tam?

Pani Mendelbaum zawsze zapominała imiona. Sądziłem, że może po prostu nie przyswaja imion północnoamerykańskich. Niewykluczone, że pamiętała tylko te z czasów jej młodości. Czy wszyscy posiadamy bazę informacji, do której nie można dodać nic nowego, odkąd ukończymy, powiedzmy, kilkanaście lat? Zanotowałem sobie na skrawku papieru ten pomysł, żeby do niego wrócić i napisać artykuł. To najwyraźniej rozgniewało panią Mendelbaum, która warknęła:

- Her zich ejnl

- Jocelyn, jak sędzę - odparłem w roztargnieniu, gryzmołąc. Nie miałem bladego pojęcia, co właśnie powiedziała.

- Jest chora, tak? Ona prawie nie je. Drobną jak pisklę.

- Cóż, dziewczęta lubią być chude, prawda? Pilnują figury. Robią to celowo, jak przypuszczam. Albo wpychają sobie czekoladę do przetyku jak gęsi, albo się głodzą. Przyznaję, że nie jest to najprzyjemniejszy sposób na życie, ale widocznie trzeba się tego spodziewać po kimś, kto urodził się bez chromosomu Y. Nie ja stworzyłem ten system. Pani też musiała kiedyś być dziewczynką, pani Mendelbaum. Z pewnością pani pamięta. Zresztą nie wiem, co jeszcze można dla nich zrobić. Dałem im czekoladę.

- Nie lubią się, te dwie - stwierdziła pani Mendelbaum, kompletnie mnie ignorując.

- Cóż, wszyscy musimy się jakoś dotrzeć - odparłem i niewiele brakowało, a dodałbym: „W końcu ja nie lubię pani”.

- Proszę iść. Iść i porozmawiać z nimi.

- Ja?! - krzyknąłem przerażony.

- A kto inny?

- Cóż, to pani zauważyła, że coś jest nie tak - zacząłem dowodzić. - O ile to w ogóle prawda. Ja wolę myśleć, że wreszcie zapanował spokój. Tak, przyływ spokoju. Są przyływy i odpływy. Wkrótce będzie odpływ i znów powróci hałas. Teraz doświadczamy przyływu spokoju.

Miałem nadzieję, że owa teoria, która tak nagle przysła mi do głowy, okaże się prawdziwa. Dzięki niej mógłbym jakoś radzić sobie z ludźmi. Ale gospodyni mi na to nie

pozwoliła.

- Czy pan USZALAt? - wrzasnęła. - UNE PROFADZĄ FOJNE! - Kiedy pani Mendelbaum była szczególnie podekscytowana, jej niemiecki akcent stawał się wyraźniejszy. Wydawało się, że jest sprzężony z emocjami. Im były silniejsze, tym silniejsza robiła się intonacja.

- Cóż, une, to znaczy one, będą musiały nad tym popracować. Jeśli pani ma inne zdanie, niech pani sama z nimi porozmawia - powiedziałem całkiem rozsądnie.

- Ja jestem tylko kucharką - odparła pani Mendelbaum kategorycznie.

- Ależ nie może pani myśleć o sobie w takich kategoriach. Na pewno jest pani osobą wartościową - rzekłem, zastanawiając się, kiedy to przyjąłem posadę pocieszyciela zrozpaczonych służących z kompleksem niższości. Jeszcze trochę, a na moich drzwiach pojawi się odpowiedni szyld i ustawi się tu kolejka niezadowolonych pracowników z niską samooceną. - Proszę już iść. Iść i porozmawiać z nimi. Jestem pewien, że poradzi sobie pani lepiej niż ja. Przecież jest pani kobietą.

- Znowu wyskoczył z tą kobietą! Ma paskudny zwyczaj twierdzić, że kobiety są lepsze w sprawach, z którymi sam nie chce mieć nic wspólnego - wymamrotała pani Mendelbaum do siebie, odwracając głowę, żeby spojrzeć na ścianę. Do kogo mówiła? - A zatem wszystko ma spaść na mnie? Sprzątanie, gotowanie, a teraz jeszcze wychowywanie dzieci?

- Cóż, nie może pani oczekiwać, że ja się tym zajmę.

Nagle przyszło mi do głowy, że przypominamy małżeństwo klóące się o dzieci! Nic dziwnego, że zostałem kawalerem. Pomyśleć, że musisz zadawać się z kimś ciągle i ciągle, bo przystąpiłeś do trwającej całe życie konwersacji na takie tematy. Pomyśleć, że kładziesz się w nocy do łóżka, wiedząc, że nie będzie ci dane położyć głowy na chłodnej poduszce i odpłynąć w luksusie własnego strumienia świadomości, lecz pogrążysz się w potoku czyichś resztek z całego dnia, wszystkich nadziei drugiej osoby, jej snów i pragnień, i lęków, i złości, i myśli. Wszystko to chluśnie prosto na ciebie. I jeszcze się oczekuje, że będziesz słuchał z uwagą. I właśnie z tego powodu ludzie się pobierają, trwonią nawzajem swoje majątki... Z tego powodu oraz dla seksu, jak przypuszczam, ale naprawdę, naprawdę nie warto. W każdym razie ja tego nie rozumiem. Jak ludzie mogą tak żyć?

- Mnie cisza nie przeszkadza - powiedziałem. - Bóg wie, że ja nie narzekam. A teraz mam okropnie dużo do zrobienia. Wiem, że to tak nie wygląda, kiedy przychodzi tu pani i zastaje mnie, jak patrzę w przestrzeń, gryzę długopisy i takie tam...

- To wygląda na meszuga - powiedziała pani Mendelbaum. - Czy wie pan, co to znaczy?

- Tak, pani Mendelbaum, wiem, co oznacza to słowo - rzekłem sucho.

- A więc właśnie tak to wygląda. Meszuga, jeśli mnie pan pyta.

- Kiedy tak się zachowuję, myślę. A przynajmniej myślałem, dopóki pani nie przyszła. Pani Mendelbaum przewróciła oczami.

- A więc porozmawia pan z dziewczynkami?

- Och, no dobrze. Ale nie mam pojęcia, co powinienem im powiedzieć.

- Tylko parę słów. Czy to takie straszne?

- Cóż, wydaje się takie nachalne... - zacząłem.

-1 jeszcze jedno - przerwała pani Mendelbaum. - Może mógłby pan też trochę posłuchać? Nie bazgrać wciąż, kiedy ja tu stoję i trzymam ten farkukt imbryk?

- Ależ tak, tak, oczywiście - powiedziałem zniecierpliwiony.

- Nie mogę sama prowadzić tego domu, robić wszystkiego osobiście. Czy jest mnie sześć osób? Ten człowiek ma jedenaście sypialni! Oj, choćby te koty kurzu! I sześć łazienek! Te wszystkie fugi! A w salonie zmieściłaby się ciężarówka! Trzy piętra!

- wyspa -

- Wiem, jak duży jest mój własny dom - uciąłem. - W przybliżeniu.

- Potrzebuję lokaja.

- Pani potrzebuje lokaja? - powtórzyłem zdumiony. - A po co?

- Pan potrzebuje lokaja - poprawiła. - Żeby otwierał drzwi. Czy może ja mam to robić na domiar wszystkiego?

- Ależ nas nigdy nikt nie odwiedza. Mieszkamy na wyspie - uświadomiłem jej. - Jeżeli zatrudnimy kogoś do otwierania drzwi, nie będzie miał nic do roboty. Naprawdę, pani Mendelbaum, jest pani kompletnie szalona.

- Lokaj może zbierać przesyłki zrzucane z helikoptera. To raz. A dwa - może rozwiązać nasz problem z mlekiem. Czy kartony koniecznie trzeba zrzucać z tak dużej wysokości? Poza tym może zorganizować jakieś zajęcia dziewczynkom i mieć swój udział w zmartwieniach. Czy tylko ja jestem tutaj od tego, żeby się martwić?

- Martwić się czym?

- Ja mam się czym martwić.

- A więc chce pani, żebym zatrudnił lokaja. Jeszcze jeden człowiek na wyspie, podczas gdy jeszcze niedawno żyłem tu sam, bezgranicznie szczęśliwy. Żeby pomagał się pani martwić.

- Nie chcę, żeby pomagał mi martwić się więcej. Chcę, żeby to on się martwił. Tak żebym ja mogła martwić się mniej.

- Naprawdę, pani Mendelbaum, powinna pani być mężatką. Jest pani tak zdeterminowana, żeby w dwie osoby robić rzeczy, które można doskonale robić samemu...

Po tych słowach zapadła cisza, ponieważ zdałem sobie sprawę, że pani Mendelbaum była mężatką i miała rodzinę, ale oni wszyscy umarli. Może popełniłem nietakt, poruszając ten temat. Ale, na Boga, ludzie umierają, pomyślałem z zakłopotaniem. Umierają każdego dnia. Powinna się już przyzwycząić. Pani Mendelbaum nic nie odpowiedziała i przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby jej tu nie było. Ta sflaczała pani Mendelbaum podobała mi się jeszcze mniej niż jej irytująca wersja.

- Chciałbym o coś zapytać, pani Mendelbaum. Jeżeli dostanie pani swojego lokaja, czy będzie pani mogła rozmawiać więcej z nim, a ze mną mniej?

Pani Mendelbaum nagle powróciła do żywych. Skinęła głową.

- A czy według pani lokaj stoi wyżej niż kucharka?

- Kto to może wiedzieć?

- Myślałem, że skoro czytała pani książki o protokole obowiązującym wśród służby... Zresztą nieważne... - dodałem szybko, przypominając sobie, że kiedy ostatnio dyskutowaliśmy na ten temat, zrobiła się przewrażliwiona i zaczęła krzyczeć. - Interesuje mnie jedno. Czy jeśli wydam lokajowi polecenie, aby trzymał panią z daleka ode mnie, on będzie mógł to wyegzekwować?

- Przypuszczam, że tak - odparta niepewnie pani Mendelbaum.

- I wtedy kierowałyby pani swoje komentarze i skargi do mnie za jego pośrednictwem, tak bym załatwiał sprawy z nim? Czy to on mógłby, na przykład, przynosić mi herbatę?

Pani Mendelbaum zmarszczyła brew na znak konsternacji, jakby próbowała zdecydować, czy podoba jej się sugestia ukryta w moich pytaniach, lecz nim zdążyła się odezwać, powiedziałem:

- Dobrze. Zatem może pani dać ogłoszenie. A teraz proszę iść i nie przeszkadzać mi aż do kolacji.

- A więc porozmawia pan z dziewczynkami?

- Tak! Tak! A teraz proszę już iść! - ryknąłem.

Pani Mendelbaum wyszła. Wyglądała na zadowoloną.

- Wszystko diabli biorą - powiedziałem do siebie. - Wszystko diabli biorą prosto z talerza. Ach, ale jednolite pola... - Jako że przyszły mi do głowy nowe możliwości, natychmiast pogрузyłem się w myślach, szczęśliwie zapominając o pani Mendelbaum, lokajach, brataniach i całej reszcie.

Tak czy inaczej, musiałem postąpić honorowo i dotrzymać złożonej obietnicy.

Podczas kolacji, po kilku nieudanych próbach nawiązania kontaktu, kiedy to odkładałem książkę, spoglądałem na dziewczęta, po czym znów podnosiłem książkę, wreszcie wypaliłem:

- Jocelyn, podaj mi groszek, proszę.

No, to połowa z głowy, stwierdziłem radośnie. Szło mi bardzo dobrze. Szło mi naprawdę bardzo dobrze. Już za chwilę będzie po wszystkim. Następnie dodałem:

- Meline, smakuje ci kurczak? To doskonale.

A zatem załatwione, dzięki Bogu. Pomyśleć tylko, że wszczyna się rozmowę w samym środku doskonałego milczenia. To szaleństwo. Dokąd zmierza mój świat? Potem poszedłem do łóżka. Następnego dnia pani Mendelbaum wpadła do mojego gabinetu z awanturą.

- Myślałem, że już się pani pozbyłem.

- Co?! Pozbyć się mnie?! Proszę spróbować, a zobaczymy, co będzie pan jadł, panie Sforne Gacie!

- Co tym razem? Dała pani ogłoszenie w sprawie lokaja?

- Krótką rozmowę z dziewczynkami on obiecuje...

- Porozmawiałem z dziewczynkami. Powiedziałem: „Podaj mi groszek, proszę” i coś jeszcze. Jeśli nie chciały się włączyć do rozmowy, cóż, nie może mnie pani winić, prawda, moja droga? - Wcale nie myślałem, że jest „droga”, lecz miałem nadzieję ją ułagodzić, wykorzystując swój profesorski wdzięk. Tylko czy ja w ogóle mam jakiś profesorski wdzięk? Cóż, zaraz się przekonamy...

- Według niego dwa zdania to rozmowa?

- Nie zmienię się w Mussoliniego przy stole, nawet dla pani, pani Mendelbaum. Jeżeli dziewczynki nie mają ochoty rozmawiać, niech tak zostanie. Milczenie jest złotem. Być może zechce pani to rozważyć...

- Rozmowa to rozmowa. „Podaj groszek” to nie rozmowa. „Czy smakuje ci kurczak” to nie rozmowa. Tu jest grobowiec. Grobowiec. Nie opuściłam jednego grobowca po to, żeby znaleźć się w drugim grobowcu. Proszę coś z tym zrobić albo zostanie pan sam z tym paskudnym pobojuwiskiem, pańciu.

Zamurowało mnie. Po pierwsze dlatego, że wyrażenie „paskudnym pobojuwiskiem, pańciu” zawierało bardziej złożoną aliterację, niżbym się spodziewał po pani Mendelbaum. A po drugie, ona nigdy dotąd nie nazwała mnie „pańciem”. Za żadne skarby nie potrafiłem zgadnąć, co to zapowiadało. Ciągle mnie zaskakiwała.

- Ehem - odchrząknąłem, bo choć nie umiałem wymyślić żadnej odpowiedzi, czułem, że powinienem utrzymać przewagę słowną. - Rozumiem. Cóż, spróbuję jeszcze raz, ale nie



wiem, jak mogę zapewnić odpowiedni poziom hałasu. To żądanie wydaje się wysoce nierozsądne.

Pani Mendelbaum była jednak zadowolona z obietnicy. A zatem podczas kolacji bawiłem się kartoflami, rozrzuciłem sałatę, kroilem mięso na drobniusieńkie kawałki i rozważałem, co, na Boga, powiedzieć tym dwóm istotom nieruchomym jak małe posążki? Wreszcie spojrzałem znad talerza i zapytałem:

- Ehem. Czy opowiadałem wam już o wyspie?

Jocelyn i Meline odłożyły widelce i popatrzyły na mnie wyczekująco.

- Kiedy porzuciłem Wall Street, wiedziałem, że chcę kupić wyspę gdzieś tutaj, u wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej. Jak możecie sobie wyobrazić, w sprzedaży nie ma zbyt wielu wysp. Większość zresztą była mała i nieciekawa. Inne leżały tak daleko, że organizowanie dostaw oraz przemieszczanie się między nimi a lądem wydawało się nazbyt skomplikowane. Wreszcie agent nieruchomości znalazł mi tę. Miała złą reputację, skrywała szczątki, tragiczne historie i tym podobne. Ale uznałem, że topograficznie jest interesująca: błonia, plaże, lasy i wzgórza. Dawniej służyła za teren szkoleniowy dla pilotów. Tam, gdzie teraz rozciągają się łąki, były pasy startowe. Próbowano na nich uczyć pilotów, jak lądować w trudnych warunkach, a wyspa nadawała się idealnie do tego celu, bo uczono ich także lądowania na wodzie. Aż pewnego dnia dowodzenie przejął nowy oficer, który wpadł na ryzykowny pomysł. Postanowił, że piloci będą startować i lądować bez radaru, i jakichkolwiek innych instrumentów, polegając tylko na własnym wyczuciu. Upierał się, że to możliwe. Że pilotów powinno się szkolić bez tych wszystkich śmiesznych przyrządów, tych środków dopingujących, jak się wyraził. Bez tych wszystkich rzeczy, które są potrzebne tylko maminsynkom. Oczywiście nie poinformował dowództwa sił powietrznych. Nie wyjawiał nikomu, co zamierza robić. Po prostu pozbawił wszystkie samoloty przyrządów nawigacyjnych, tak że zostały z nich praktycznie same korpusy, i zaczął tworzyć własną małą eskadrę, która miała być najsilniejszą załogą na świecie i latać w każdych warunkach. Nazwał ją Eskadrą Podniebnych Szkieletów. W ciągu pierwszego tygodnia zginęło trzech pilotów. A jednak nikt nie przyjeżdżał na wyspę, żeby zakończyć eksperyment. Bo dowódca nie zgłaszał zgonów. A nikt z eskadry nawet nie podejrzewał, że ich nie zgłasza. Zresztą piloci nie mogli uciec. Byli na wyspie. Mieli wybór: rozbić samolot na wyspie albo rozbić go podczas ucieczki. Nie byliby przecież w stanie dopłynąć do wybrzeża. Wiecie, co za wody nas otaczają. Nie da się pływać bez piankowego stroju do nurkowania. Ci chłopcy stali przed strasznym wyborem. Wreszcie, oczywiście, pewien pilot domyślił się, że to nie wojsko wymyśliło całe przedsięwzięcie, że Eskadra Podniebnych Szkieletów jest obsesją jednego

człowieka. Zginęło jedenastu mężczyzn, siedem samolotów zostało rozbitych. A kiedy nowy zastęp rekrutów przybył helikopterem, ten pilot ukrył się w maszynie i poleciał poinformować zwierzchników.

Przerwałem opowieść i wróciłem do krojenia mięsa na mikroskopijne kawałki oraz do rozważań o równaniach binarnych. Czy powiedziałem dosyć? Nikt nigdy nie mówi wszystkiego. Czemu miałby mówić? Dlaczego mięso musi lądować na stole w tak niewygodnej postaci?

- Ale co się stało z szalonym dowódcą? - zapytała Jocelyn.

- Och, odsunęli go. Przenieśli gdzieś, gdzie nie mógł nikogo skrzywdzić. Z dala od ludzi. Z dala od rodziny. Oddział wysłano gdzie indziej, a sama wyspa pozostała opuszczona i zapomniana na dowód tego, jak źle mogą zawsze potoczyć się sprawy. A potem departament obrony wystawił ją na sprzedaż - wyspę rozbitych samolotów i rozbitych ludzi.

- Oni chyba byli więcej niż rozbici. Raczej zmiżdżeni - rzekła Meline, jedząc swoje mięso. - Raczej wykrwawieni i wybebeszeni. Jak stos stopionych ciał. Pogrzebano ich, prawda?

- Och - jęknęła Jocelyn, odkładając widelec. - Czy możemy zmienić temat?

- Tak sądzę, Meline - odparłem, nie słuchając dłużej i sięgając po czasopismo matematyczne. Nigdy wcześniej nie uważałem matematyki za fascynującą naukę, a przecież taka właśnie była! Przerazająco interesująca. W każdym razie uznałem, że wypełniłem obietnicę złożoną pani Mendelbaum. Teraz pora na trochę sensownych myśli. Następnie, zapominając, że trwa kolacja - tak bardzo pochłonął mnie artykuł - wstałem, wciąż czytając, i zacząłem się wycofywać w kierunku mojego pokoju.

- Got in him! - rzekła pani Mendelbaum. Wciąż mamrotała do siebie na progu, gdy wychodziłem z jadalni. - Taka rozmowa! Prosisz o rozmowę i dostajesz taką rozmowę! Taka rozmowa, owszem, jeśli chcesz, żeby ktoś miał nocne koszmary. Według niego taka rozmowa coś poprawia? To ma być początek przyjemnej konwersacji? Oj! Przyniosę im trochę ciasta. Kto nie poczułby się lepiej po kawałku ciasta?

Cóż, są ludzie, którzy sądzą, że odpowiedź przyniesie nieodkryta wiedza, są też tacy, którzy uważają, że tkwi ona w cieście.

## MELINE

- Jocelyn - powiedziałam następnego dnia o drugiej, gdy moja kuzynka znów łkała na szczycie wzgórza. - Musimy znaleźć sobie jakieś zajęcie. I być może zainteresuje cię fakt, że umiem zbudować samolot.

Przestała na chwilę płakać i spojrzała na mnie.

- Nie umiesz.

- Właśnie, że umiem. Potrafię także prowadzić samolot i wiem, że ty również. A teraz pomyśl, jakie daje nam to możliwości?

- Ale ty nie umiesz zbudować samolotu. Może widziałaś, jak mechanicy w przedsiębiorstwie twojego ojca pracują nad samolotem...

- Umiem. Potrafię też zbudować odkurzacz. Tak jak moja matka. Ojciec uważał, że jeżeli używa się jakiegoś urządzenia, trzeba je zrozumieć, a najlepszy sposób, żeby je zrozumieć, to wiedzieć, jak się je buduje. Mogłybyśmy zbudować samolot. Mogłabym ci pokazać, jak to się robi. Według stryja po całej wyspie porzucane są części rozbitych samolotów, a my mamy masę czasu i żadnego zajęcia.

- A jak miałybyśmy przetransportować te części, nawet jeśli jakieś znajdziemy? - spytała Jocelyn. - Jak miałybyśmy zgromadzić fragmenty rozbitych samolotów w jednym miejscu?

- Nie wiem. Najpierw trzeba je znaleźć.

Przez moment widziałam błysk w jej oczach, ale mimo to nie podjęła decyzji od razu. Spędziła mnóstwo czasu, rozważając moją propozycję.

Wróciłyśmy do rozmowy, gdy siedziałyśmy przy kominku, a ona wpatrywała się intensywnie w płomienie.

- Gdzie byśmy to robiły? Nikt nie może nas widzieć.

- Stodoła za domem jest pusta.

- A jak damy radę przepchać duże części przez drzwi?

- O rany, Jocelyn, to drzwi do stodoły!

- To się nie uda.

I znów musiałam przewałkować temat, powoli, z pewnością siebie i przekonaniem, bo ona była na granicy rezygnacji.

- Uda się. Znajdujemy części samolotów, zabieramy je do stodoły i składamy.

- Czemu twój ojciec uczył cię takich rzeczy?

- Żebym była na wszystko przygotowana. Przypuśćmy, że lecę samolotem sama i gdzieś się rozbijam. Powinnam umieć go naprawić. Powinnam wiedzieć, jak przetrwać.

- Mój ojciec tylko nauczył mnie latać - rzekła Jocelyn. Wzruszyłam ramionami, a ona zmarszczyła czoło. - Chyba nie przypuszczał, że powinnam być przygotowana na takie ewentualności... - Znów wzruszyłam ramionami. Ton głosu Jocelyn z melancholijnego nagle zmienił się w zjadliwy. -1 miał rację! Bo na to, co nas spotkało, nie można się przygotować!

Próby przygotowania kogokolwiek na cokolwiek są stratą czasu! Nawet jeśli zbudujemy samolot, co potem?

Mój umysł odpłynął na chwilę. To ta sekunda, kiedy w cudowny sposób zostawiasz za sobą ziemię. Jesteś daleko. Poza zasięgiem.

- A więc? - spytała, krzyżując ręce na piersiach. - Czy masz pojęcie, ile ważą części do samolotu? Nawet bardzo małe części?

- Będziemy potrzebowały jakiegoś wózka. Będziemy potrzebowały wielu różnych rzeczy, Jocelyn. Być może też lutownicy. Albo, kto wie, może będziemy miały szczęście i znajdziemy samolot, który nie jest w złym stanie i wymaga tylko drobnej naprawy. W każdym razie, dopóki nie zaczniemy szukać, nie będziemy wiedziały, co znajdziemy.

- Nawet jeśli zbudujemy samolot, nie jest powiedziane, że on poleci.

Matka zawsze mówiła, że jeśli możesz o czymś pomyśleć, możesz to również zrobić. Właśnie dlatego wiązała wielkie nadzieje z domkiem dla gości w Zimbabwie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że nie ziszcí swoich planów. Pragnęła tego tak bardzo, że stało się to rodzajem religii. Niezachwiana wiara matki kształtowała mój wszechświat. Teraz jednak wiedziałam, że nasza wiedza o życiu, którą uważamy za pewną, zbudowana jest jedynie z wyobrażeń. Kiedy matka zginęła, te wszystkie wyobrażenia runęły na moich oczach. Nie mogłam już polegać na wszechświecie. Nie wiedziałam, w co wierzyć. Moja matka, kochająca, przenikliwa i dobra, jednak popełniła błąd. Tak trudno było w to uwierzyć, że wciąż zadawałam sobie pytanie, czy nie nastąpiła pomyłka. A może oni wcale nie zginęli, nie zostali pochowani w obcej ziemi, lecz właśnie jadą do mnie przez Zimbabwe?

- Jocelyn, a może nasi rodzice wcale nie zginęli? - spytałam inatychmiast tego pożałowałam.

- Zginęli - odparła moja kuzynka głosem pozbawionym emocji, wstała i odeszła od ognia.

Wkrótce zaczęły się rozmowy kwalifikacyjne. Kiedy Sam przywiózł mnie i Jocelyn, a potem panią Mendelbaum, pozwolił nam spokojnie wysiąść z helikoptera. Może to był ukłon w stronę naszej kobiecości, gdyż lokajów traktował jak mleko ispuszczał ich, gdzie popadło, po niezbyt solidnej sznurowej drabince. Gdy Jocelyn i ja przeczesywałyśmy pola w poszukiwaniu części do samolotów, od czasu do czasu słyszałyśmy warkot śmigła, a potem dostrzegaliśmy lokaja - w meloniku i w ogóle. Zaskoczyły nas te nakrycia głowy, ale potem przeczytałyśmy ogłoszenie, które napisała pani Mendelbaum: „Poszukiwany lokaj do wielkiej posiadłości pana Martena Knockersa. Musi być doświadczony. I mieć stosowne odzienie. Włącznie z kapeluszem właściwym dla lokaja”.

Byłam zdumiona liczbą kandydatów. Chyba nie zgłosiłabym się do pracy, w której wymagany jest „kapeluszyk właściwy dla lokaja”. Powiedziałam pani Mendelbaum, że jej szanse zatrudnienia kogoś z klasą wzrosną, jeżeli nazwie kapeluszyka melonikiem.

- Wie pani, wiele z tych kapeluszyków wygląda na nowiusieńkie. Myślę, że kupili je wyłącznie na tę okazję. Sądzę, że ma tu pani mnóstwo nie tyle doświadczonych lokajów, co bezrobotnych kelnerów w nowych kapeluszykach.

- Ale fidsisz! Pszyszli. Fszyscy chcą tej pracy - odpowiedziała, wskazując za okno, na kolejnego kandydata, który wisiał na drabince, miotając wyzwiska w stronę pilota. Wygrażał pięścią i miał czerwoną twarz, ale naprawdę nie można go było winić. Tym razem manewr nie wyszedł Samowi najlepiej. Drabinka wirowała na wietrze, osiągając promień dziesięciu stóp.

- Mam nadzieję, że on nie spadnie - powiedziałam do pani Mendelbaum. Piłyśmy herbatę, a ona wyciągnęła listę pytań, którą trzymała w szufladzie kuchennego stołu.

- To nie ma sensu, fszyscy są tacy sami - rzekła.

- Żaden się pani nie spodobał? - spytałam.

- Uni to małe chłopczyki f ubraniach tatusia. Ja potrzebuję męszczyzny, który umie się  
MARTFIĆ

Lokaj szybko zmierzał w stronę drzwi, więc wyszłam. Odnosiłam wrażenie, że przez połowę czasu pani Mendelbaum w ogóle mnie nie słucha, a przez drugą - nie rozumie, co mam na myśli. Ale zawsze częstowała ciastem i herbatą.

Skrzywiłam się, widząc po raz pierwszy jej listę pytań. Jocelyn i ja podsłuchałyśmy kilka rozmów kwalifikacyjnych, siedząc przy kominku w salonie. Ich przeprowadzanie bardzo denerwowało panią Mendelbaum i powodowało, że nie tylko dostawała silnego niemieckiego akcentu, lecz także zaczynała mówić dziwną mieszanką niemieckiego i kiepskiego angielskiego: „Zajt wan począł pan pracofać jako lokaj?” oraz „W wifil domach pan był lokajem?”. Ktoś władający niemieckim mógł się domyślić, o co pyta, lecz najwyraźniej nikt nie znał tego języka. Kilka odważnych dusz po próbie nakłonienia jej do przeformułowania pytań poddało się całkowicie i po prostu udzielało odpowiedzi na wyczucie.

- To fszystko idioten - jęczała po ich odejściu pani Mendelbaum.

Co gorsza, wielu kandydatów podczas przesłuchania wciąż trzęsło się po podróży helikopterem i cyrkowym zejściu po drabince. Pewien dżentelmen, najwidoczniej sądząc - i słusznie - że jego przybycie może być obserwowane, zdobył się na mężny skok z drabinki, ale źle ocenił odległość i wylądował twarzą w wielkiej kałuży, tracąc bezpowrotnie savoir faire.

Pani Mendelbaum nic nie powiedziała, dała mu suche spodnie stryja i odpytawszy go niezwykle pobieżnie - przy czym żadne z nas nie miało pojęcia, o co pyta - odesłała gościa na wzgórze, by tam poczekał na Sama. Widziałyśmy, jak dygocze na deszczu przez godzinę, podtrzymując zbyt krótkie i zbyt szerokie spodnie.

- Mogła przynajmniej poczęstować go herbatą - prychnęła Jocelyn.

- Wygląda na to, że szuka w nich jakiejś szczególnej cechy, a kiedy jej nie znajduje, robi się zła - powiedziałam, chociaż nie obchodzili mnie ci ludzie. Chciałam tylko znaleźć sobie zajęcie i nie myśleć.

Przesłuchania lokajów ciągnęły się przez dwa tygodnie. Niektórzy kandydaci radzili sobie lepiej niż inni. Jeden zwymiotował. Niektórzy stracili swoje meloniki, opuszczając helikopter, a potem pisali do stryja z żądaniem ich zwrotu lub rekompensaty.

Stryj, który jak zwykle nie zwracał na nic uwagi, zszedł pewnego wieczoru na kolację i powiedział:

- Co znaczą te wszystkie listy z żądaniem kapeluszy? Lub pieniędzy na kapelusze? Od całkowicie obcych ludzi... Czy to jakaś nowa akcja dobroczynna albo czyjś pomysł, żeby szybko się wzbogacić? Wykiwaj biednego, nic nie podejrzewającego bogacza i zażądaj od niego pieniędzy na kapelusz? Czy to kawał? Cóż, nie dam się nabrać. To bardzo irytujące. - I wrzucił wszystkie listy do ognia.

Oznajmił nam uroczyście, że nie tak łatwo naciągnąć starego Martena Knockersa na kapelusze, i zaraz potem przysiągł, że nigdy nie wyśle nikomu pieniędzy na melonik, niezależnie od tego, jak przekonująco brzmiałoby uzasadnienie prośby. Nagrodził się za swoją stanowczość drugim kawałkiem ciasta po kolacji.

- Dziewczynki - powiedział. - Biorę drugi kawałek ciasta, ponieważ w niektóre dni człowiek jest z siebie szczególnie zadowolony. W takie dni po prostu gratuluje wszechświatowi, że ma w sobie kogoś takiego. - Po czym rzucił się łakomie na ciasto, ale był tak podekscytowany, że nie trafił do ust widelczykiem, tylko ukłuł się w podbródek. Przez tydzień widać było ślady.

Jedna z ostatnich rozmów kwalifikacyjnych, jakie usłyszałyśmy, zaczęła się od wyzwania rzuconego przez panią Mendelbaum biednemu kandydatowi:

- A FIĘC pan myśli, że chce PRACOFACĆ na FYSPIE???

Lokaj, chyba mniej onieśmielony niż tuzin jego poprzedników - może dlatego że był Anglikiem i niewykluczone, że wcześniej naprawdę pracował w zawodzie - odwrócił się do nas, siedzących przy kominku, i zapytał:

- Dobry Boże, co ona próbuje powiedzieć?

- Niech pan nie MÓFI do nich! UNE to jeszcze tylko ciefczynki - odrzekła pani Mendelbaum.

- Dwie szynki? - spytał nieszczęśnik. - Proszę posłuchać, to nie są żadne szynki. Zrzuca się mnie z helikoptera, mówi, że obecne tu damy to szynki... Żądam widzenia z panem Knockersem. To jego nazwisko było na ogłoszeniu.

- Nie dofidzi pan NIGOGO. NIGOGO. Ja tu jestem odpofiedzialna! - ryknęła pani Mendelbaum, wstając, wspierając ręce na biodrach, a dla podkreślenia swoich słów rzucając na podłogę mokrą szmatę, którą wycierała kuchnię, gdy przyszedł.

To najwyraźniej wprawiło w zdumienie kandydata, stracił bowiem niespodziewanie całą pewność siebie. Znalazł się oto na łasce szalonej niemieckiej kobiety, w dodatku na wyspie, bez szans na ucieczkę. Dobrze go rozumiałam. Gdyby tylko pani Mendelbaum potrafiła się uspokoić i zamiast krzyczeć na przesłuchiwanym, częstowała ich ciastem...

- Proszę posłuchać, w takim razie ja już sobie pójdę - oświadczył, nagle wstając.

- Bes sfojej herbaty? - spytała słodko pani Mendelbaum, znów siadając. Wiedziała, że nie zostało już wielu kandydatów, i choć ten nie przypadł jej do gustu - bo nie lubiła takich, co drżeli podczas jej wybuchów furii albo się poddawali - rozumiała, że musi kogoś wybrać. Była więc gotowa na ustępstwa.

- Pani jest w delirium - oznajmił lokaj i odwróciwszy się od niej, zapytał nas, jak trafić na lądowisko helikoptera. Wskazałyśmy wzgórze, ostrzegając go jednak, że Sam nie wróci wcześniej niż za trzy godziny. Popatrzył na panią Mendelbaum, popatrzył na skąpane w deszczu wzgórze i wybrał wzgórze. Pomyślałam, że to dobrze o nim świadczy i że pani Mendelbaum powinna natychmiast go zatrudnić. Jocelyn natomiast stwierdziła później, że był to dowód całkowitego braku charakteru, a nikt, kto nie poradził sobie z panią Mendelbaum, nie dałby rady stryjowi Martenowi.

- Ale stryj Marten jest miły - zaprotestowałam. - Natomiast pani Mendelbaum...

- Rzecz nie w tym, że ona nie jest miła - odparła Jocelyn.

- Wyrzuca lokajów na deszcz - zauważyłam.

- Wcale ich nie wyrzuca.

- No tak, oni po prostu zawsze wolą deszcz od niej, ale wiesz bardzo dobrze, że gdyby miała szansę ich wyrzucić, toby się nie zawahała.

- Rzecz nie w tym, że ona nie jest miła - powtórzyła Jocelyn, patrząc nieobecny wzrokiem w ogień. - Moim zdaniem ona się boi.

Kiedy drżący ze strachu lokaj wrócił na stały ląd, okazało się, że jest drżącym ze strachu lokajem, który nie zamierza zapomnieć urazy. Napisał do stryja email i powiadomił

go, że skieruje sprawę do sądu. Doświadczył traumy. Nieomal został porwany i kazano mu czekać na helikopter w deszczu, na wzgórzu, w obawie o swoje życie. Nawet stryj Marten uznał, że to przesada, ale zszedł do kuchni porozmawiać z gospodynią.

- Nie wolno ich straszyć, pani Mendelbaum - upomniał ją. - To nie jest miłe.

- Co? Ja ich straszę? - spytała pani Mendelbaum, prychając drwiąco. - Taka mała, bezbronna żydowska kobieta? Chłoptasie i maminsynki. No, żeby tak oni poznali, co to jest prawdziwy strach.

- Ale mimo wszystko... - rzekł stryj Marten, uprzejmie pokaszując, po czym skończyły mu się pomysły i wrócił do swojego gabinetu, sromotnie pokonany. Jednak już podczas kolacji pani Mendelbaum, która poczuła się dotknięta niesprawiedliwym zarzutem, wróciła do tematu, serwując zupę.

- Czy nie powinnam może zadawać pytań? A może powinnam pozwolić, żeby to oni przepytawali mnie?

Stryj zajrzał do swojego talerza z nagłym zainteresowaniem.

- Coś podobnego. Jak się nazywa ta zupa?

Ale pani Mendelbaum nie zamierzała odpuścić i wnosząc do jadalni kolejne dania, kontynuowała długi monolog na temat swojej delikatności i niesłusznych oskarżeń, dręcząc stryja Martena, dopóki ten nie poddał się, mówiąc:

- Nie mogę już tego słuchać. Proszę postępować, jak pani uważa. Mój umysł zaprzętają teraz części elementarne i partykuły. Artykuł na temat partykuł.

I odszedł od stołu.

- No proszę! - zawołała pani Mendelbaum, odwracając się do nas z tryumfalną miną. - Nie jest już taki milutki, o nie! On RYMUJE! - I zabrała talerze z dziwnym, pełnym wyższości uśmiechem. Po tym incydencie stryj Marten zaczął spędzać więcej czasu w swoim pokoju. Odnosiłyśmy wrażenie, że jej unika.

Ciągle przeszukiwałyśmy wyspę i nie mogłam uwierzyć, że nie znalazłyśmy choćby jednego kadłuba.

- Musiał to wszystko wymyślić - powiedziałam po raz kolejny do Jocelyn.

- Nie potrafiłby. Brak mu wyobraźni - odparła.

- Ma mnóstwo wyobraźni. Jeśli rzeczywiście tego nie wymyślił, to dlatego, że żywi zbyt wiele szacunku dla prawdy.

- Musiał więc na własne oczy widzieć części samolotów. W przeciwnym razie skąd by wiedział, że one tutaj są? To duża wyspa.

- Nie musiał ich widzieć. Powiedziano mu, że grupa pilotów rozbiła tu swoje



samoloty. Mógł po prostu założyć, że części są ciągle gdzieś tutaj - powiedziałam, przewracając się na zbocze wzgórza.

Byłyśmy przemoczone do suchej nitki. Czułam się jak ryba. Myślałam, że miło i leniwie spędzimy czas, babrząc się w błocie oraz narzekając na rozmiary wyspy, ale Jocelyn popatrzyła, jak siedzę w mokrych liściach, odwróciła się gwałtownie i pomaszerowała z powrotem do domu. Nigdy nie zdradzała swoich zamiarów: kiedy chciała sobie pójść, po prostu odchodziła bez słowa, jakby podkreślając w ten sposób brak więzi między nami - brak jakichkolwiek zobowiązań z jej strony zmuszających do wyjaśnień, powitań, pożegnań, zwyczajnego smaru w trybach ludzkich relacji. Jęknęłam, podniosłam się, przemarznięta, i pokuśtykałam za nią.

Okolo drugiej nad ranem obudziłam się z pewnym pomysłem. Włożyłam ubranie i poszłam z latarką do pokoju Jocelyn. Wrzasnęła, gdy tylko dotknęłam jej ramienia. Szybko położyłam rękę na ustach kuzynki, żeby stłumić krzyk.

- Na Boga, weź się w garść!

A wtedy ona mnie ugryzła.

## JOCELYN

Była tylko ciemność i sny. Nagle obudziłam się w pociągu i ujrzałam pulsujące białe światło. Łunę pożaru, której nie powinno być, obce twarze i krzyki. Gdzie są moi rodzice? Co oni robią tym kobietom? Gdzie moja matka?

- Zaraz przyjdzie pani Mendelbaum, jeżeli się nie zamkniesz - syknął ktoś, zatykając mi usta.

Usiadłam na łóżku, oddychając w ten żywy knebel, a potem ugryzłam Meline w dłoń i odsunęłam jej rękę. Zimny pot spływał mi pod koszulą, a wzrok przyzwyczajał się powoli do znajomego kształtu mebli. Meline chyba nie zauważyła, w jakim jestem stanie, ale do tego już przywykłam. Żadne z nich nie widziało ognia, zniekształconych zwłok, strzępów ciał. Nie tylko ja przeżyłam katastrofę, ale nawet kiedy wróciłam, żeby zidentyfikować zmarłych, nie rozmawiałam z nikim. A potem zostałam zabrana tak prędko, jak było to możliwe, w bezpieczne miejsce. Jakby geografia mogła stworzyć dystans między mną a tym, co zaszło. Jakbym nie żyła katastrofą każdego dnia. Twój umysł może nagle stać się osobnym państwem, a ludzie wokół to obcokrajowcy, bo nie dzielą z tobą pamięci.

- Mam pomysł - powiedziała w podnieceniu Meline. Zawsze rozpierała ją energia. Tak jakby nie miała uczuć, które ciągnęłyby ją na dół. Jakby nie dbała o to, co się stało. - Być może przegapiłyśmy części samolotów, bo przez lata zostały przysypane ziemią i

butwiejącymi liśćmi. Mogły zmienić się w pagórki, po których chodziłyśmy. Mogą kryć się w krzakach i zaroślach. Jeśli jednak kawałki metalu wystają, światło znajdzie je prędzej niż my. Potrzebujemy ciemności i latarki, by odszukać metalowe części.

- Jest środek nocy. Poza tym to zwariowany pomysł.

- Jak dotąd - rzekła dobitnie Meline - wszystko, co ty zrobiłaś od naszego przyjazdu, to siedzenie z założonymi rękami i marszczenie brwi na widok innych ludzi.

Owszem, marszczyłam brwi, ale tylko we własnych myślach. Nie miałam pojęcia, że mój grymas został zauważony. To mnie przeraziło. Sądziłam, że robię nadzwyczaj miłe i uprzejme wrażenie. Jak Grace Kelly.

- Prawdopodobnie dostaniemy zapalenia płuc, wychodząc w nocy na deszcz - odparłam.

- Prawdopodobnie - powiedziała Meline radośnie, wręczając mi latarkę.

### **PAWI MENDELBAUM**

Co za ludzie przyjechali za pracą! Ostatni mówi do mnie: „Wolałbym rowy kopać, niż pracować dla takich jak pani”. Czy coś takiego można powiedzieć drugiej osobie? Fajer zol em trefn. A zatem tak. Żadnych kandydatów więcej. Żadnego lokaja. A potem, broche, znikąd przychodzi jeszcze jeden. Ale co to za człowiek. Jak szkielet. Taki wysoki i chudy. Czy on w ogóle jada, pytam ja siebie? I ta cera. Czy nigdy nie widział słońca? Oczy aż czarne, osadzone głęboko. Jakby stał nad brzegiem oceanu i patrzył na ciebie poprzez wodę. Oj, miałam ja od tego dreszcze. I żadnego podania! Kto przychodzi starać się o pracę bez podania? No dobrze, ja nie miałam podania, ale co ja tam wiedziałam? I żadnego kapelusza, co najpierw przeoczyłam, bo nosi głowę jak na mężczyznę przystało. A helikopter? Ani słowa. Wcale nie był zdziwiony.

- Ma zimną krew - mówi Meline, kiedy patrzymy przez okno, jak schodzi po drabince.

- Może trzeba było o tym wspomnieć w ogłoszeniu?

- Ciii - upominam dziewczynki.

Jeszcze pomyśli, że to jakiś kabaret.

- A fięc nazyfa się Humdinger? - pytam. - Proszę siadać. Od kiedy chciat pan pyć lokajem, panie Humdinger?

- Od kiedy co, pani Mendelbaum?

Wszyscy mają kłopoty z uszami. Powtarzanie i powtarzanie, cały dzień spędzam na powtarzaniu. Więc powtarzam znowu.

- Cóż, nigdy nie chciałem - twierdzi Humdinger.

To nowa odpowiedź. Wcześniej wszyscy mówili, że chcieli być lokajami od urodzenia. A więc rozważam, w jakim kierunku pójść teraz. Czy powinnam go zapytać, co ma na myśli? Czy iść za kwestionariuszem?

- A więc następne pytanie. Fidzę, że pan przybył s fjątkiem kapelusza.

- Nie przypuszczam, żebym posiadał kapelusz, pani Mendelbaum - mówi Humdinger.

- Brak kapelusza? Brak kapelusza? - Teraz jestem zmieszana. Co powinnam powiedzieć do takiej osoby?

- Uważam, że kołnierzyk jest o wiele stosowniejszy - odpowiada ten Humdinger, nawet się uśmiechając. - A czy pani jest zadowolona, pani Mendelbaum? Jak się pani pracuje i u tego dżentelmena?

- Jak się... Jak się mnie pracuje, azes pnim?

Patrzę na tego mężczyznę. Tak, wygląda bardzo schludnie. Ładny, czarny garnitur, może nieco stary, miejscami przetarty, ale ja o to nie dbam, widać, że ten człowiek pracował, i jeszcze kołnierzyk - ze stójką, jak noszą Chińczycy. O co chodzi z tym kołnierzykiem i brakiem krawata? Myślę, że może on jest bardziej na czasie z modą panującą wśród lokajów. Może teraz nosi się takie kołnierzyki zamiast kapeluszy? To zresztą praktyczniejsze. Kapelusz może wpaść do zupy, kiedy się gotuje. Kapelusz na takim wysokim mężczyźnie może zahaczyć o futrynę i spaść. A poza tym to dobre pytanie, jak podoba mi się praca. Jak inaczej się orientuje, co za człowiek z tego Martena Knockersa? Widać, że niegłupi.

- Żadnego podania, żadnego umówienia się wcześniej na rozmowę, co ja mam o tym mniemać? - pytam.

- Cóż, wprowadzie nie mam podania, jednak zadzwoniłem do pana Knockersa, aby powiedzieć, że wpadnę z krótką wizytą, a on tylko stwierdził: „Jeszcze jeden” i odłożył słuchawkę.

O co tutaj chodzi?

- Pan Knockers? Phi! - mówię. - Bal tojre! On się tym nie zajmuje. Ja się tym zajmuję. On zawiadamia mnie, że pan przyjeżdża. Jakiś Humdinger. Ale nie może zrozumieć po co. Nie mówi, że to człowiek, który stara się o posadę lokaja. Ale czy on pamięta coś z jednego dnia na drugi? Zresztą może sam się pan o tym przekona.

- Myślę, że chyba zaszła pomyłka w kwestii mojego przyjazdu... - powiada Humdinger.

- Tak, tak, ale przymkniemy na to oko. Powinien był pan przystać podanie. Lecz pan tego nie zrobił. I nie ma pan kapelusza, ale przynajmniej ma pan kołnierzyk. I nie wydaje się pan przerażony moją osobą jak tamte chłoptasie i maminsynki.

- Nie, tylko widzi pani, pani Mendelbaum... - znów zaczyna, ale ja nie słucham. Nie będzie mnie czarował, na to nie pozwolę. Jest ostatnią szansą. Nie taki zły, mimo wszystko. Nie nosi głowy w chmurach. Ci przed nim myśleli o filmach, książkach, robili z siebie modnisiów. Nie sądźcie, że się na tym nie poznam. Ten tu wygląda tak, jakby potrafił się martwić.

- A FIĘC! - podejmuję decyzję, uderzając pięścią w stół i wstając. - Został pan zatrudniony. Nie, ani słowa fięcej! Ich hob es in der erdl Jestem wyczerpana. Ganc farmuczet. Idę się zdrzemnąć.

## MELINE

Pani Mendelbaum zostawiła rozbawionego, patrzącego za nią Humdingera. A potem on zrobił coś dziwnego. Wstawił swoją filiżankę do zlewu, który był zawsze zapchany, podwinął rękawy, rozmontował wszystko, naprawił i poszedł na górę przedstawić się stryjowi jako nowy lokaj.

- Przynajmniej - powiedziała nam pani Mendelbaum z najmniejszą pogardą, na jaką było ją stać - nie jest LESEREM.

Przypuszczaliśmy, że jest skłonna wybaczyć mu więcej niż innym, bo przybył jako ostatni.

- Może ostatni będą pierwszymi - rzekła Jocelyn.

- Pierwszymi czy ostatnimi, jego zatrudniam. Wasz stryj w ogóle ze mną nie rozmawia i nie mogę nawet korzystać z telefonu tak często, jak bym chciała. Tylko radiotelefon i muszę iść na górę do tego MATECZNIKA, żeby prosić o połączenie. I żadnej telewizji. Jak długo można słuchać radia?

Pani Mendelbaum próbowała przez tydzień przekonać stryja Martena do zakupu zestawu do oglądania telewizji, ale stanowczo się sprzeciwił.

- Nie będę miał telewizji. To zło. Nic nie zabija szybciej szarych komórek. Telewizja jest hałaśliwa i przynosi do twojego domu cały świat. Przymierzam się do wrzucenia do morza również radia i zrobię to, jeżeli usłyszę jeszcze słowo na temat telewizora.

Potem pani Mendelbaum przez kilka dni bała się nawet rozmawiać ze stryjem. Jocelyn i ja podejrzewałyśmy, że zatrudniła Humdingera z czystej złośliwości, bo stryj za każdym razem, gdy natykał się na niego w hallu, podskakiwał ze strachu. Humdinger wyglądał jak coś, co wykopano z ziemi.

Nasz lokaj nie tyle chodził, ile raczej skradał się jak kot, którego zresztą z sobą przywiózł. Wyrastał za twoimi plecami, kiedy najmniej się tego spodziewałaś. Uśmiechał się

tylko do swoich' dziwnych myśli, prawie nie poruszając ustami. Jakby robił sztukę magiczną polegającą na powstrzymaniu uśmiechu w granicach oczu. Jakby nawet jego uśmiech był bezszelestny.

Przemykał pod ścianami jak cień, więc z reguły o nim zapominaliśmy, co chyba mu odpowiadało. Gdy już się odzywał, robił to, żeby poprawić wymowę swojego nazwiska, którego nikt z nas nie potrafił wypowiedzieć. Poprawiał nas, my zapominaliśmy i tak w kółko. Należało wymawiać je „Humdindżer”, z „dżer” jak „pager”. Ale my mieliśmy skłonność do mówienia po prostu „Humdinger”, z „ger” jak „gerydon”, co w pewnym sensie do niego pasowało. W końcu jednak załapaliśmy, wszyscy poza stryjem, który zawsze nazywał lokaja Humdingerem, żeby rymowało mu się z „pomagierem”. Sam zainteresowany najwyraźniej poddał się po pierwszej próbie korekty i odtąd nigdy nie poprawia! stryja. Zdaniem Jocelyn to było złe, równoznaczne z rozpieszczaniem i pobłażaniem, jakby stryj nie musiał stosować się do norm, których przestrzegania oczekiwano od innych. Przypuszczam, że mówiąc o innych, myślała o mnie, osobie i o pani Mendelbaum, ale równie dobrze mogło jej chodzić o resztę świata. Jocelyn miała naprawdę wysokie standardy.

Kiedy Humdinger przybył i zadbał o to, by pani Mendelbaum była zajęta, stryj zapomniał o swoich domownikach. Chyba z trudem godził się z myślą, że ludzie, którzy zamieszkali na wyspie, nie są jak chwilowi goście czy pchły, lecz zostaną na dobre. Zamykał się coraz częściej w swoim gabinecie, schodząc tylko na posiłki, podczas których i tak był nieobecny duchem. Dla mnie i Jocelyn nie miało to znaczenia; nocami szukałyśmy części samolotowych i chociaż wysypiałyśmy się w ciągu dnia, ciągle byłyśmy zmęczone. Nasze rzeczy nigdy nie wysychały, ale bałam się korzystać z suszarki, bo zwróciłoby to uwagę pani Mendelbaum. Dotąd nikt chyba nie zauważył, jak wymykamy się z domu.

## **MARTEN KNOCKERS**

Kiedy przyjechał ten Humdinger, w domu zapanował większy porządek i pani Mendelbaum przestała się mną interesować. Chociaż nie lubię, gdy dokoła kręcą się ludzie, dość osobliwie zaczęłam budować pewnego rodzaju relację uczuciową z kotką Humdingera, która została dostarczona helikopterem po jego zatrudnieniu. Kotka, z jakichś swoich kocich powodów, uznała, że mój pustelniczy temperament czyni mnie jej bratnią duszą. Zamieszkała w gabinecie, kładła się u moich stóp, gdy pracowałam, zwijała w kłębek na biurku lub na regale z książkami. Raz próbowała zasnąć na mojej głowie, być może dlatego że była taka łśniąca i atrakcyjna. Zawsze uważałam, że łsina, z pewnej perspektywy, musi być ponętna. I teraz się dowiedziałem, czyja to perspektywa. Kocia! Może kotka pomyślała, że mogłaby

zastąpić mi włosy. Ale to się, oczywiście, nie udało i zjechała po moich plecach, drapiąc, jakby walczyła o życie. Rozorała mi pazurami koszulę, co podczas prania wzbudziło w pani Mendelbaum potrzebę poczynienia kilku zgryźliwych komentarzy na temat mojego życia prywatnego. Oświadczyła, że jako młoda dziewczyna mieszkała w Wiedniu i wiele widziała. Nic jej nie dziwi. Naprawdę, czasem myślę o przeszłości pani Mendelbaum, ale każdy ma swoje tajemnice i nie pragnę odkryć tych, które należą do niej. Ona nie chce słuchać, że trudno o życie prywatne na wyspie. Zna ludzkość i jej nieczyste praktyki. Zresztą rzadko próbuję skłonić panią Mendelbaum do zmiany zdania, gdy już wyrobiła sobie jakiś pogląd. Ten proces jest nieodwracalny niczym wylanie betonu.

Po tym, jak kotka podrapała mi plecy, zacząłem mawiać, gdy tylko znalazła się za blisko mojej głowy:

- Idź precz ode mnie, ty zły, drapiący potworze z rodziny kotowatych.

Następnie otwierałem jej puszkę tuńczyka, którą trzymam w tym celu w pokoju. Pomyśleć, że teraz przygotowuję posiłki dla kota! Przypuszczam, że przyrządzę kotce jej własną gęś na Boże Narodzenie. Boże Narodzenie!

Nagle zdałem sobie sprawę, że to już za parę tygodni, i zacząłem snuć plany. Choć dla większości świata Boże Narodzenie oznacza - jeśli w ogóle coś oznacza - obcowanie z innymi ludźmi, a ja nie lubię przebywać z ludźmi, to jednak żywię przemożny i stały afekt do tego święta. Każdy związany z nim drobiazg, jakby wyjęty z powieści Dickensa, jest cudowny. Mam słabość do puddingów śliwkowych, głębokiej wiktoriańskiej purpury, złotych aniołów, świątecznych obrusów z materiału w czerwono-zieloną kratę i świeczników w kształcie poroża renifera z tuzinem wotywnych świec. Dajcie mi porto i prażone kasztany, i cydr z przyprawami, i zabawnie zapakowane prezenty, i skarpety zawieszzone starannie przy kominku, i dziewczęta w aksamitnych sukniach i lśniących lakierkach Mary Jane, i Mesjasza Haendla, i kolędy, i kościelną muzykę, która przetacza się majestatycznie przez katedry. I brzydką pogodę, i gromadzenie się przy kominku, i rozpakowywanie nowych książek, i jedzenie zbyt wielu cukierków i ciasteczek domowej roboty, i stare, kiepskie filmy, które pamiętam jak przez mgłę z lat młodości, jako że potem nigdy nie miałem telewizora. Bardzo to wszystko lubię. Niestety, nie obchodzi się świąt, żyjąc samotnie.

W owo wietrzne listopadowe popołudnie, gdy ogień trzaskał w kominku, a ja pilnowałem poczynañ kotki, jednym okiem obserwując przez okno, jak mimo zawieruchy Jocelyn i Meline zaglądają pod drzewa i krzaki, co najwidoczniej stanowiło ich codzienne, bezmyślne zajęcie - nagle do mnie dotarło, że teraz mam dom pełen ludzi i prawdopodobnie oni wszyscy chcieliby świętować Boże Narodzenie. Później mi uświadomiono, że pani

Mendelbaum jest Żydówką i że raczej wolałaby Chanukę. Takie szczegóły często mi umykają.

Byłem niezwykle szczęśliwy i podekscytowany na myśl, że mógłbym wreszcie mieć miłe, wiktoriańskie święta w staroświeckim stylu. Pofolgowałbym nie tylko sobie, lecz także wszystkim domownikom. Być może moje bratanice nie chciałyby nosić na głowach zielonych i czerwonych kokard, ale zawsze zostawała mi kotka... Tak, kotka! Może powinniśmy mieć więcej kotów... Całe... całe stado kotów. Wszystkie w aksamitnych kokardach! wyspa

Boże Narodzenie to pierwszy plus posiadania domu pełnego ludzi, jaki odkryłem. Osobiście uważam, że bardzo miło jest widzieć dobre strony nawet beznadziejnych sytuacji. A więc odtąd, gdy zaciąłem się w pracy nad referatem, a zaciąłem się często, może dlatego że mój umysł dryfował w kierunku świąt, zaglądałem do internetu - tego kusicielskiego, szatańskiego wynalazku - i kupowałem różne rzeczy. Zapewnię staruszkowi Samowi zajęcie, mówiłem do siebie, zamawiając sześć aksamitnych skarpet do zawieszenia na kominku, w tym jedną dla kotki (cóż, ona naprawdę jest wyjątkowo miłą kotką), ozdoby choinkowe i cały karton ciasteczek petits fours. Gdy wpadłem w wir przygotowań, helikopter zaczął zrzucać paczki wszędzie i bez przerwy, ale niestety wiatr zniósł wiele z nich. Utknęły na drzewach albo w szczelinach skalnych, albo zostały zepchnięte do morza i nigdy ich nie zobaczyliśmy. Za parę miesięcy zacznę się zastanawiać: ciekawe, co spotkało wiadro popcornu, który zamówiłem, i świece w kształcie śniegowych bałwanów?

Meline i Jocelyn znalazły całkiem sporo paczek podczas wędrówek po wyspie i oddały je Humdingerowi. Byłem zmuszony ponarzekać trochę na głupotę firm przesyłających kartony potłuczonych ozdób choinkowych.

- Trudno dziś o dobrą obsługę - zgodził się Humdinger.

Stawało się dla mnie oczywiste, że Humdinger jest w tym domu jedyną poza mną osobą, która ma trochę rozsądku. Naprawdę byłem szczęśliwy, że znalazłem Humdingera. Przynajmniej wtedy, kiedy pamiętałem, kim on jest. Owszem, miewałem z nim trudne przejścia w ciemnych korytarzach, ale naprawdę nie można winić mnie za to, że zdarzało mi się wrzasnąć. Ten człowiek wygląda jak żywcem wyjęty z horroru... zaraz, jaki on miał tytuł...? Zresztą nieważne, wszystkie horrory są takie same i przypuszczalnie w każdym pojawia się Boris Karloff. Zresztą Humdingerowi najwyraźniej to nie przeszkadzało, chociaż dziewczynki uważały, że powinienem się kontrolować, a tego, co pani Mendelbaum miała do powiedzenia, naprawdę nie chciałbyś usłyszeć. Poza tym przez lata nie natykałem się na nikogo w korytarzach, nic więc dziwnego, że byłem zdenerwowany, gdy nagle trafiałem w sam środek Nocy żywych trupów.

- Tak czy owak, proszę już iść i mieć baczenie na panią Mendelbaum - przypomniałem mu wówczas z naciskiem.

- Oczywiście - odpowiadał i zstępował po schodach w tych swoich butach w rozmiarze monstrum Frankensteina, w których mimo wszystko poruszał się bezszelestnie.

Kim jest ten człowiek, zadawałem sobie pytanie, wracając do badań nad ujemną gęstością. Och, i muszę pamiętać o zamówieniu tuzina kryształowych szklanek do ponczu. Tak, we wszechświecie jest sporo do zrobienia i trzeba zmieniać rozkład materii, przemieszczając ją przez internet. Nasze życie ma w sobie wiele treści, tylko my o tym nie myślimy, zajęci przemieszczaniem materii. Wciąż zmieniamy porządek kosmosu za pomocą komputerów i skrzynek emailowych, i pieniędzy, i krótkich kliknięć, wchodząc w kontakt z ludźmi, którzy wypisują zamówienia, chociaż nawet nie wiedzą, czego one dotyczą, przeobrażając ich dni, przeobrażając domy towarowe, ciągle wpływamy na otoczenie w najbardziej przyziemny sposób. Myślimy, że trywialne jest życie jeżowca albo muchy, ale popatrzcie na naszą własną egzystencję. Jakie to wszystko śmieszne. Oooo, ciekawe, czy pamiętałem o zamówieniu marcepanowych owoców? Podobno ich liczba jest ograniczona. Trzeba zaraz zamówić. Czemu po prostu nie zrobią ich więcej? Ludzie są naprawdę dziwni.

## **MELINE**

Z upływem kolejnych deszczowych dni zaczęłam dostrzegać, że Jocelyn ulega zniechęceniu. Pewnego ranka dowlokła się do domu o piątej z badyłami we włosach i powiedziała:

- Naprawdę, Meline, jeżeli wkrótce nie znajdziemy choć jednej części, zamierzam z tym skończyć. Zimno mi. Jestem zmęczona. ‘

- A co innego chcesz robić z czasem? - spytałam. - Na co oszczędzasz energię? Po prostu musimy szukać intensywniej.

Po tej wymianie zdań nie rozmawialiśmy przez cały dzień. Męczyła mnie swoim ospałym pesymizmem. Zupełnie oklapła. Czułam, że muszę ją wciąż popychać, żeby trzymała się wyznaczonej drogi. Nie trzeba było profesora, aby zrozumieć, że sprawą podstawowej wagi jest ZBUDOWANIE SAMOLOTU.

Inie miałam wątpliwości, że potrzebne części gdzieś tu są. Po kolacji, która upłynęła w milczeniu, bo stryj rozważał fenomen ujemnej gęstości, Humdinger nigdy nie odzywał się pierwszy, a pani Mendelbaum, przeziębiona, poszła do łóżka, Jocelyn i ja jadłyśmy deser w wielkich, tapicerowanych fotelach przy kominku.

Stryj Marten zasugerował nam tę rozrywkę, żeby mieć nas z głowy, tak samo mętnie,



jak zwykle sugerował różne rzeczy:

- Deser we dwoje w wielkich, tapicerowanych fotelach przy kominku. Na to bym się skusił, gdybym miał kuzyna i masę wolnego czasu.

Swoją deser naturalnie zabrał do gabinetu.

Siedziałyśmy obok siebie w odległości zaledwie trzech stóp, ale nie rozmawiałyśmy. Mogłam oprzeć swoją nogę na jej fotelu. Chciałam to zrobić, żeby ją zirytować. Jak mogła siedzieć tak blisko, a jednak udawać, że w ogóle mnie nie widzi? Nie liczyłam na głęboką relację, ale nie powinna zachowywać się tak, jakbym nie istniała. To było po prostu dziwne. Metodycznie jadła swój pudding ryżowy z miną osoby siedzącej na dworcu autobusowym wśród obcych ludzi. Gdybym spróbowała podejść bliżej, poraziłoby mnie niewidzialne pole siłowe.

- Zauważyłaś, że ostatnio pojawia się tu dużo nowych rzeczy? - spytałam. - Na przykład te fotele.

- Fotele zawsze były - odparła spokojnie, wycierając usta serwetką, którą zabrała ze stołu i rozłożyła na kolanach.

- Fotele zawsze były, owszem. Ale te są nowe. Poprzednie były czarne czy niebieskie. Albo coś w tym rodzaju. Te są żurawinowo-zielone i pasują do świec ustawionych na półce nad kominkiem. I patrz, pod spodem wciąż są liście i gałązki. Te fotele zostały zrzucone z helikoptera.

- Więc stryj Marten kupił kilka nowych foteli. I co z tego? - zapytała Jocelyn.

- To część jego planu. Wszędzie jest to świąteczne gównno.

- Naprawdę wolałabym, żebyś nie używała tego słowa. Mój ojciec bardzo go nie lubił.

- A mój używał go przez cały czas. Wiesz, coraz trudniej mi uwierzyć, że nasi ojcowie byli braćmi.

- Albo że stryj Marten był bratem ich obu - dodała Jocelyn.

To spostrzeżenie, skądinąd słuszne, otworzyło przede mną nowe pole do rozważań.

- Dlaczego nasi ojcowie zostali pilotami, a stryj nie? - spytałam. - I czy to nie dziwne, że przeprowadził się na wyspę, która słynie z katastrof? Czy nie wydaje się to nieco osobliwe, skoro jego bracia zostali lotnikami? Czy to aby nie myślenie życzeniowe? Czy czegoś o nim nie mówi?

- Czego na przykład? - zapytała.

Czasami rozmowa z nią przypominała przemawianie do pucharka lodów waniliowych.

- Nie wiem... Na przykład... że podoba mu się wizja rozbitych samolotów.

- Dlaczego miałyby mu się podobać?

- Ludziom podobają się dziwne rzeczy - odparłam wymijająco, bo nie znałam odpowiedzi.

- Nie bądź śmieszna. Przecież powiedział, że kupił tę wyspę, ponieważ była wystawiona na sprzedaż.

- A poza tym chciałabym wiedzieć, dlaczego wciąż napycha dom tym świątecznym gównem.

- I znowu to słowo - rzekła Jocelyn.

Nagle, po raz pierwszy od wypadku, poczułam, jak budzi się we mnie ciekawość. A Jocelyn najwyraźniej nic nie interesowało. Czasami miałam chęć sięgnąć po tom i wyważyć zamknięte drzwi do jej mózgu.

- No pomyśl, Jocelyn. Dlaczego?

- O czym teraz mówimy? O kupowaniu wyspy czy o dekorowaniu domu? - spytała niewzruszona, podnosząc filiżankę do ust.

- O... czym... chcesz! - wycodziłam.

- Nie wiem - odparła, patrząc w ogień, jakby było jej wszystko jedno, a ja wiedziałam, że owszem, jest jej wszystko jedno. Znowu posmutniała. Zawsze wyglądała na smutną albo nieobecną, albo poirytowaną. Nigdy, przenigdy nie rozbłysła w niej żadna iskra. Zastanawiałam się, czy miała w sobie jakieś życie przed wypadkiem. Trudno lubić kogoś, kto jest jak stos mokrych polan. Czy ktoś kiedykolwiek ją lubił? Jej rodzice? Może patrzyli, jak dorasta, i marzyli o tym, żeby ją polubić. Wyobrażałam sobie, jak zamykali się nocą w sypialni i szeptali: „Lubisz już ją?”, „Nie, a ty?”, „Ja też nie. A myślisz, że ją kiedyś polubimy?”, „Nasi przyjaciele chyba lubią swoje dzieci”, „Przynajmniej takie robią wrażenie”, „Należy lubić swoje dzieci”, „Czy jesteśmy potworami?”, „To wina Jocelyn”, „Jest taką smętną mokrą ścierką do naczyń, prawda?”, „Nie wygadajmy się przed nikim, że jej nie lubimy”, „O Boże, nie, przecież nikt by jej od nas nie zabrał”, „Utkniemy z nią na zawsze”, „Udawajmy, że ma same miłe cechy”, „I wyślijmy ją na studia do Australii”.

Znajdowałam otuchę w tego rodzaju myślach, siedząc w fotelu i chichocząc pod nosem.

- Może po prostu ma fioła na punkcie świąt - zasugerowała Jocelyn, sącząc swój napój i ignorując mój chichot.

- Ale podczas kanadyjskiego Święta Dziękczynienia nie widziałyśmy tu żadnych indyków ani dekoracji.

- Ludzie raczej nie dekorują wtedy domów.

- Wieszają kukurydzę.

- No dobrze, kukurydzę.

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

- Chodzi mi o to, że ludzie nie ekscytują się Świętem Dziękczynienia tak jak Bożym Narodzeniem. Nie ma całorocznych sklepów związanych ze Świętem Dziękczynienia. Ludzie nie zaczynają przygotowań do Święta Dziękczynienia w lipcu, a właśnie już w lipcu robią zakupy i rozpoczynają przygotowania do Bożego Narodzenia. Koło parafialne mojej matki robiło ozdoby choinkowe przez cały rok. A we wrześniu urządziło targi. Boże Narodzenie jest ważniejszym świętem, ponieważ to narodziny Dzieciątka Jezus.

Kiedy powiedziała: „Narodziny Dzieciątka Jezus”, przestraszyłam się, że przepaść między nami jest zbyt duża, by kiedykolwiek przerzucić nad nią most, i wbiłam wzrok w ogień. Nie rozumiem ludzi, którzy chcą, aby wszystko toczyło się wokół Dzieciątka Jezus. Czy twoja rodzina jest dla ciebie mniej ważna niż Dzieciątko Jezus? Jestem pewna, że Ono nie podziękowałoby ci za takie podejście. O ile wiem, miało swoje własne rodzinne tradycje i nie sądzę, żeby zaliczało do nich Boże Narodzenie. Moi rodzice nie chodzili do kościoła, więc nie wiem, czy wierzyli w Jezusa, czy nie. To nie był gorący temat w naszym domu, co z pewnością sprawiłoby Jocelyn w zdumienie.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem moja matka piekła specjalne migdałowe ciasteczka i dzielnie się powstrzymywała, w zgodzie z duchem świąt, przed zjedzeniem wszystkich. Ojciec co rok nalegał na zakup żywego drzewka, żeby później posadzić je z powrotem w lesie i odwiedzać latem, chociaż za każdym razem, gdy wracaliśmy sprawdzić, co u niego słyhać, okazywało się, że jest martwe. Matka błagała wtedy ojca, by ratował Ziemię w inny sposób i zamiast prawdziwej choinki kupował sztuczną. Ale i tak zawsze mieliśmy prawdziwą. Kłótnia o nią stała się jedną z naszych radosnych tradycji. Wieszaliśmy filcowe skarpety, które ozdobiliśmy razem, kiedy chodziłam do przedszkola, matka upierała się, żeby opowiadać mi przypowieści ze wszystkich tradycji: żydowskiej i afrykańskiej, tybetańskiej, buddyjskiej i hinduskiej, ja zaś czekałam cierpliwie na część dotyczącą Świętego Mikołaja. Boże Narodzenie było moim świętem, a święta była w nim właśnie moja rodzina, więc kiedy Jocelyn powiedziała: „Narodziny Dzieciątka Jezus”, chciałam ją udusić. To było drobnomieszczańskie. Jakby należała do elitarnego klubu, którego członkowie mają dostęp do informacji ukrytej przed niewtajemniczonymi. Jakby cokolwiek było pewne. I jakby pewność była jakąkolwiek cnotą. Sądziłam, że już zrozumiała: nigdy nie możesz być niczego pewnym.

Dzieciątko Jezus dorosło i doprowadziło do swojej śmierci. Moi rodzice tak samo. Rodzice Jocelyn również. Nie było już Bożego Narodzenia. Ale nic nie powiedziałam. Zamiast tego wstałam i poszłam spać. Idąc do pokoju, zobaczyłam jeszcze, że Humdinger

podchodzi do Jocelyn i proponuje jej miętówkę.

## JOCELYN

Dni i noce stawały się coraz ciemniejsze i coraz bardziej mokre, ale to nie odstraszało Meline.

- Jesteś wariatką - stwierdziłam, kiedy, jak w zegarku, pojawiła się znowu przy moim łóżku o drugiej nad ranem.

- Dobra, dobra, zawsze tak mówisz. Wstawaj - powiedziała ze zniecierpliwieniem. Ona też nie była w najlepszej formie o drugiej nad ranem, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

Westchnęłam. Nie było sensu dyskutować. To jak kłótnia z huraganem.

- Mój płaszcz jest wciąż wilgotny - oznajmiłam, kiedy dotarliśmy do sieni. - A moje buty nadal są mokre w środku. Nigdy nie wysychają.

- To co ty wyprawiasz? Przechadzasz się w strumieniach?

- Twoje buty też są mokre - zauważyłam, ale ona, ignorując mnie, już je zakładała. O tej godzinie przestawiała się z determinacją na tryb „poszukiwania” i niemalże oczekiwałam, że nic nie widząc ani nie czując, w końcu zacznie odbijać się od drzew.

Wyjście z domu zawsze było szokiem. Lodowata wilgoć uderzała w nas od razu po otwarciu drzwi i czułam wielką pokusę, żeby pędem wrócić do wygrzanego łóżka.

W lesie zalegały połacie mgły. Czasami widziałyśmy lśniące na czerwono oczy zwierząt: jeleni, szopów, wiewiórek. Za każdym razem, gdy padało na nie światło latarki, krzyczałam. O tej porze umiałam sobie wyobrazić jedynie niedźwiedzie i kuguary, a może nawet, choć ukrywałam tę myśl, wilkołaki. Zostawałyśmy na dworze, dopóki ciemność nie zaczynała się rozrzedzać. Wtedy dawałyśmy za wygraną i wracałyśmy do domu.

- Mówię ci - powiedziałam pewnej nocy o trzeciej. Dla odmiany, wyjątkowo nie padało, ale mgła przywarła do moich włosów w postaci małych łezek, tak samo nieprzyjemnych jak deszcz. - Już dłużej nie dam rady. Czuję, że pleśnieję.

- Nonsens, to najlepsza rzecz dla twojej cery. Nigdy się nie zestarzejesz.

Pomyślałam o niestarzeniu się i przeszył mnie dreszcz grozy. Ja chciałam dorosnąć. Nie mogłam doczekać się chwili, kiedy stąd odejdę. Wszystko było lepsze niż to. Ale dokąd właściwie bym poszła? Nagle poczułam się jak jeleń w blasku reflektorów.

Weszłyśmy w las. Byłam gotowa na kolejny długi, bezowocny marsz, ale tym razem światło latarki wylapało coś czerwonego i błyszczącego. Myśląc, że to ślepia jakiegoś zwierzęcia, chciałam uciec, ale Meline złapała mnie za ramię i pociągnęła w krzaki. Leżała w

nich okropnie zardzewiała lotka.

- Myślę, że wciąż nadaje się do użytku. - Przykucnęła, próbując odsunąć gałęzie, podczas gdy ja trzymałam nieruchomo latarkę. - Ma dużo pęknięć i dziur, ale powinniśmy dać radę je załatać. Sprawdźmy, czy możemy zaciągnąć ją do stodoły.

Chwyciliśmy razem i zdołaliśmy wydobyć lotkę z zarośli. Ja pokaleczyłam sobie palec, a Meline uderzyła się w nogę, rozdierając spodnie w dwóch miejscach, ale mimo wszystko przeciągnęliśmy część samolotu przez łąkę.

- To znaczy, że opowiadanie stryja jest prawdziwe! - zawołała podekscytowana Meline. Po jej brodzie spływała strużka śliny. Czyżby zaczęła toczyć pianę z ust? Spodziewałam się, że kiedyś do tego dojdzie. - Musi być więcej części. Zbudujemy samolot, Jocelyn.

- Nie damy rady pociągnąć kadłuba ani kokpitu - powiedziałam, dysząc, sapiąc i próbując nie pokaleczyć jeszcze bardziej dłoni. Matka zawsze powtarzała, że damę poznaje się po dłoniach. Jej ręce były szorstkie od pracy, ale każdego wieczoru wylewała na nie całe galony balsamu Jergens i używała specjalnej szpatułki, żeby pozbyć się skórek. - Albo całego skrzydła.

- Właśnie dlatego potrzebujemy wózka. Pamiętaj, że mówiłam ci to już na samym początku. - Meline trzęsła się z podniecenia, ale ja nie czułam różnicy. Patrzyłam na lotkę i próbowałam sobie wyobrazić, co czuje moja kuzynka. To była część samolotu, nic więcej. - Powiedziałam wtedy, że jeśli znajdziemy części, będziemy musiały jakoś przetransportować te większe. Cieszę się, że akurat ten kawałek znalazłyśmy jako pierwszy. Czy nie byłoby frustrujące, gdybyśmy musiały zostawić go w krzakach?

- To tylko jedna część - stwierdziłam, znów próbując zarazić się entuzjazmem Meline, ale na próżno.

- No dalej, stodoła nie jest tak daleko - rzekła zachęcająco.

- Mam nadzieję, że nikt nas nie zobaczy. U Humdingera często pali się światło. On... grasuje.

- Cóż, teraz nigdzie nie pali się światło. Widzę stąd dom. Jest w nim ciemno.

Meline usiadła na chwilę, żeby odpocząć. Dyszała.

- Chodźmy - powiedziałam, nagle zmęczona całym przedsięwzięciem. Było mi wszystko jedno, czy znajdziemy więcej części. - Im prędzej dotrzemy do stodoły, tym prędzej będziemy mogli wrócić do łóżek.

Meline podniosła się chwiejnie.

- O co chodzi? - spytałam.

- Po prostu zakręciło mi się w głowie, zresztą nieważne - odparta.

Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że to nie strużka śliny spływa jej po brodzie. Meline ciekło z nosa. Musiała się przeziębic.

Po tym jak zostawiłyśmy lotkę w stodole i pokuśtykałyśmy do domu, Meline zrzuciła zabłocone ubrania w przedsiionku i poszła bez słowa do łóżka. Westchnęłam i pozbierałam ubrania, a potem ukryłam za zamrażarką, jak zawsze. Przez resztę nocy słyszałam kaszel dobiegający z pokoju Meline.

- Mówiłam, że dostaniemy zapalenia płuc - powiedziałam do siebie, zasypiając. - Matka nie byłaby zachwycona.

Znów o niej śniłam i był to wciąż ten sam sen: wychodziła z wraku pociągu. Wszędzie leżały zwęglone i zakrwawione ciała, a ludzie płakali i krzyczeli, ale matka była cała i zdrowa, bez choćby zadrapania. Miała na sobie swoją ulubioną suknię wieczorową z delikatnego szyfonu w kolorze piasku. Nie chciała jej kupić, bo była droga i niepraktyczna, więc dostała ją ode mnie i ojca pod choinkę. Matka kochała ten kolor. Ojciec mówił, że to odcień moich włosów i że kiedy matka wiruje w tej sukni w tańcu, wygląda to jak moje włosy rozwiane na wietrze. Matka śmiała się i mówiła: „Nie bądź taki mądraliński”, ale odtąd to była jej ulubiona suknia.

W moim śnie wyglądała pięknie, emanował z niej spokój, sunęła ku mnie, uśmiechając się łagodnie. Ale wtedy wpadałam w kolejny sen, w którym matka była martwa i pogrzebana, a potem, co za koszmar, gdy szłam powiedzieć o tym ojcu, okazywało się, że on również nie żyje. Byłam sama, widziałam jego grób i mówiłam: „Matkę przynajmniej mogłam jeszcze raz zobaczyć. Dlaczego nie mogę zobaczyć ojca? Dlaczego?”. Ta myśl ciążyła mi niczym głaz, niewzruszony, niezmienny. Nieświadomość była taka okrutna. Dlaczego raniła mnie w najgorszy możliwy sposób? Czemu śniłam o takich rzeczach? Ogrodziłam serce wysokim murem. Za dnia nic nie czułam, lecz gdy tylko znów widziałam matkę, moje serce otwierało się bez namysłu i przepelniały je radość oraz miłość, a potem to znów się działo, jak w prawdziwym życiu, i było tak samo przerażające, a ja dygotałam, wstrząśnięta.

Nie chciałam już zasypiać. Ale byłam taka zmęczona... Meline dobijała mnie swoją energią. Naciskała, żebym się ruszała. Wciąż pytała, co innego mam do roboty. Jak mogę być zmęczona, przecież nigdy nic nie robię. Nie wiedziała, jak trudno mi w sobie znaleźć jakąś część nadającą się do życia. Wolałam spać w ciągu dnia i czuwać w nocy, żeby uniknąć koszmarnego snu. Nie było już dla mnie miejsca. Nie wiedziałam, co robić - umiałam tylko być uprzejma. Moja matka mawiała, że niezależnie od wszystkiego dama zawsze jest

uprzejma.

Rano Meline bez przerwy kasłała. Odkąd zaczęłyśmy kłaść się i wstawać tak późno, same sobie robiłyśmy śniadania. Stryj poinstruował panią Mendelbaum, żeby zostawiała dla nas jedzenie - dobry, ciepły angielski bufet, prawdopodobnie taki, o jakim czytał w powieściach - ale po paru tygodniach wystawiania półmisków o godzinie siódmej i wyrzucania nietkniętych jaj, grzanek, bekonu, fasoli i owoców o dziesiątej pani Mendelbaum miała dość:

- Marnotrafstwo! Fszystko, co fidzę, to marnotrafstwo! ME KEN BRECHNIZawołała.

I przestała zostawiać nam śniadanie. Nie dbałyśmy o to. Nie chciałyśmy wystawnego bufetu. Lubiłam piec sobie grzanki sama i myślę, że Meline również. Tak właśnie robiłam w domu, a wszystko, co się z nim wiązało, choćby drobiazg, podnosiło na duchu. Ogrom posiadłości wuja Martena, oficjalność posiłków przy długim stole były zbyt dużą zmianą. A więc jadałam śniadania we własnej sypialni, a Meline siadała w jednym z żurawinowozielonych foteli przed kominkiem. Czasami, gdy stałam przy opiekaczu, przychodziła kotka i ocierała się o moje kostki. Ciepłe mruczenie i miękkie ciało dodawały otuchy.

Rano po znalezieniu lotki Meline siedziała w fotelu przed kominkiem, jedząc płatki Cheerios. Kotka krążyła wokół jej nóg. Meline bez przerwy kasłała i pluła płatkami. Sprzątała po sobie, ale obserwując ją z progu kuchni, gdzie czekałam na grzanki, poczułam skurcz w żołądku. Czy nie może powstrzymać się od plucia?

- Obrzydliwość - powiedziałam, kiedy Meline kaszlnęła i bryznęła mlekiem na kafelki przed kominkiem, a kot je zliział.

- Chyba się przeziębila - rzekł Humdinger, który wszedł do kuchni bezszelestnie jak duch. - Robię śniadanie dla pani Mendelbaum i zabieram je na górę. Ma grypę - dodał przepaszająco, widząc, że mnie przestraszył.

- Myślę, że Meline również - odparłam nieśmiało. Nie rozmawiałam wcześniej z Humdingerem. Dryfował po domu niczym jakaś cicha obecność, nigdy się nie zatrzymując. Nie miałam nawet jak podziękować mu za miętówkę.

- Powinna iść do łóżka - stwierdził Humdinger, zerkając z troską na Meline, która znów zaczęła kaszeć. - Nie należy lekceważyć grypy.

- Oczywiście, że nie - zgodziłam się. Pamiętałam historie, które opowiadała mi matka, o setkach ludzi umierających podczas epidemii grypy.

- Miałem ciotkę, która zmarła na grypę - rzekł Humdinger, czytając w moich myślach.  
- Naturalnie była bardzo stara i osłabiona.

- To straszne - powiedziałam odruchowo, ale jednocześnie pomyślałam: „Czy nie nasłuchaliśmy się już dosyć o śmierci? Dlaczego wszyscy wciąż muszą o niej mówić?”.

Uczciwość kazała przyznać, że może tak mi się tylko wydaje, bo to ja bez przerwy myślę o śmierci, ale nie byłam w nastroju do uczciwości. Nadal czułam gniew z powodu snu. Miałam wrażenie, że wszechświat obserwuje mnie niechętnym okiem i bezustannie sprawia kłopoty. Byłam wściekła na wszechświat i jego zło, podłe triki. Nie do takiego życia zostałam wychowana. Jeżeli prowadzisz je w rzetelny, nieskomplikowany sposób, wszechświat powinien zostawić cię w spokoju. A przynajmniej przez pewien czas nie sprawiać kłopotów. Mam zaledwie szesnaście lat. Co takiego zrobiłam, żeby zasłużyć na karę? Nic. To niesprawiedliwe.

- Cóż - rzekł Humdinger, umieszczając na tacy talerz z muffinami oraz jajka na miękko, które przygotował dla pani Mendelbaum. - Powinnaś powiedzieć Meline, żeby się położyła. Niech weźmie sobie książkę i spory kubek herbaty. I niech zostanie w łóżku. - I z tymi słowami błyskawicznie opuścił kuchnię. wyspa

Przytaknęłam sceptycznie, bo znałam plany Meline na cały dzień. Nie było w nich miejsca na herbatę.

Wzięłam grzanekę i gorącą czekoladę. Byłam już prawie w drzwiach sypialni, kiedy Meline krzyknęła:

- Pospiesz się i ubieraj!

- Pani Mendelbaum jest przeziębiona - powiedziałam. - A ciotka Humdingera zmarła na gripę.

- Cóż, naprawdę mam nadzieję, że pani Mendelbaum nie umrze. Ja nie potrafię gotować, a ty?

- Ja też nie.

- Humdinger wygląda na takiego, co potrafi.

- Nie możesz być aż tak bezduszna - oświadczyłam, zanim zdążyłam sobie przypomnieć, że to właśnie ja pretendowałam do miana bezdusznej.

- Bezdusznosc nie ma z tym nic wspólnego. Nawet nie znam pani Mendelbaum. To ty porównałaś ją do jakiejś zmarłej ciotki Humdingera. Po prostu stawiam czoło faktom. Jeśli ona umrze, ktoś inny będzie musiał gotować, przynajmniej dopóki nie zatrudnimy nowej kucharki. Pospiesz się i jedz.

Popatrzyłam na Meline pustym wzrokiem. Była nieczuła czy podła? Naprawdę mogła rozmawiać o czyjejś śmierci tak nonszalancko? Nie sądzę, żebym kiedykolwiek mogła ją zrozumieć. Wydawało się, że dba tylko o samolot.



- Myślę, że nie powinnaś dzisiaj wychodzić. Leje jak z cebra. W ogóle nie spałyśmy, a ty kaszlesz.

- Kogo to obchodzi?

- Jeśli zamierzasz lekceważyć swoje zdrowie, upewnij się, że zostawiłaś dla mnie szczegółowe instrukcje, na wypadek gdyby coś ci się stało, bo ja nie wiem, jak poskładać części samolotu.

I kto teraz był nieczuły? Ona jednak zignorowała prowokację.

- Mówię ci, to bułka z masłem, gdy już załapiesz, o co chodzi - powiedziała. - Naprawdę, do większości rzeczy, które robią dorośli, nie trzeba być geniuszem. W przeciwnym razie oni również nie mogliby ich robić. To tylko kwestia przeszkolenia. Ale właśnie z tym ludzie mają problem. Właśnie na tym etapie zdarza im się utknąć. Po prostu zakładają, że sobie nie poradzą. Mówią: mam tylko szesnaście lat, będę musiała poczekać do magicznej granicy dwudziestu pięciu, zanim zbuduję samolot. Ale to oczywiście nonsens. Twój mózg nie staje się mądrzejszy w ciągu tych dziewięciu lat. Mogłabyś zbudować samolot jako dziewięciolatka, gdyby tylko ktoś pokazał ci jak. I gdybyś tylko uwierzyła, że podołasz. Zresztą to jednak dobrze, że ludzie myślą w ten sposób - że szesnastolatki nie mogą budować samolotów - ponieważ nikt nigdy nie zgadnie, co robimy. I zostawią nas sobie samym.

- Tak, sobie samym - powtórzyłam, zastanawiając się, czy mogę być jeszcze bardziej sama.

## MELINE

- Ubieraj się - warknęłam ponownie na Jocelyn. Jej oczy powędrowały gdzieś daleko i wyglądała, jakby zmierzała prosto do innego wymiaru. Kiedy to robiła, wściekałam się, bo przerażała mnie myśl, że mogłaby gdzieś odplłynąć na zawsze, niezauważona przez nikogo poza mną. A więc warczałam, żeby ją powstrzymać.

Włożyła kilka warstw koszul i swetrów, ponieważ wełniany płaszcz wciąż ociekał wodą po powrocie z poprzedniej wyprawy.

- Co weźmiemy zamiast płaszczy? - spytała, gdy zeszła po schodach, podobna do paskudnego śniegowego bałwana. - Będziemy ściągać te warstwy po kolei, kiedy się przemoczą? Sam ich ciężar przygwoździ nas do ziemi.

- Weźmy to - powiedziałam, zdejmując z wieszaka dwie kurtki przeciwdeszczowe. - Nikt nie zauważy, że zniknęły.

- Nie możemy - zaprotestowała Jocelyn ze zgrozą w głosie.

- Nie są nasze.

- Są za to całkowicie suche - odparłam. - Przecież nie chcesz dostać zapalenia płuc, prawda?

Poszliśmy przez łąkę. Jocelyn poruszała się jak krab, co jakiś czas podbiegając i oglądając się, w obawie, jak sędzę, że właściciel kurtki może nas zobaczyć. Zwolniła dopiero wtedy, gdy skryliśmy się w lesie. Przesuwałyśmy kłody drewna i przeszukiwałyśmy kopce, aż byliśmy wyczerpane i rozdrażnione, i przemoczone do suchej nitki. Położyłam się na ziemi pod jakimiś drzewami i patrzyłam na szare chmury. W pewnym sensie lubiłam czuć się bardzo zmęczona. Tak było łatwiej spędzać kolejne dni.

- Wstawaj - powiedziała Jocelyn. - Nie możesz leżeć w tym brudzie. Niszczysz czyjąś kurtkę.

- Wypierze się... - zaczęłam, a potem sapnęłam z wrażenia, wskazując w górę. Nigdy nie pomyślałyśmy o tym, by zadrzeć głowy, spojrzeć w labirynt gałęzi. A właśnie tam, zaklinowany w koronie drzewa, znajdował się dziób samolotu. Znow miałyśmy szczęście.

Jocelyn też sapnęła i pobiegła do domu. Podążyłam za nią. Zanim dotarłam na miejsce i ukryłam mokre rzeczy za zamrażarką, zdążyła się już przebrać.

- Co cię ugryzło? - spytałam, padając na fotel.

- Nie wiem - wyszeptła, siadając przy kominku ze spuszczoneymi oczami. - Wytrąciło mnie to z równowagi... Zaklinowany przez te wszystkie lata. Sposób, w jaki utkwił na drzewie... Po prostu był jakby bardziej rozbity niż tamten pierwszy samolot... A potem pomyślałam, że prawdopodobnie zginął w nim jakiś pilot. Na czubku drzewa... Wydało mi się to groteskowe. O wiele bardziej groteskowe niż zgon na ziemi... Wydało mi się to bardziej... śmiertelne.

Poszłam na górę wziąć kąpiel. Cudze reakcje bywają nieprzewidywalne.

Ze szczytu schodów zobaczyłam, jak Humdinger zakrada się w stronę kominka i proponuje Jocelyn miętówkę.

## **MARTEN KNOCKERS**

-0000... WIĘCEJ OZDÓB W KOLORZE ŚLIWKOWYM! - wykrzyknąłem, zacierając ręce w radosnym oczekiwaniu na rozpakowanie wielkiego, zamokłego pudła, które Humdinger przyniósł do gabinetu. - Przy okazji, Humdinger, nie widziałeś mojej kurtki przeciwdeszczowej?

- Ma pan tylko jedną?

- Hmm, tak. Raczej nie potrzebuję dwóch. Albo nie potrzebowałem, dopóki ta nie zaczęła znikać. Nie wiem, co poradzić na znikające rzeczy.

- Może powinien pan mieć zapasową.
- Może wszyscy powinniśmy. Ile kurtek przeciwdeszczowych mają dziewczynki?
- Sądzę, że chodzą w zimowych płaszczach.
- Tak?
- Wełnianych.
- Dziwny wybór. Żadnych kurtek przeciwdeszczowych?
- Nigdy nie widziałem, żeby je nosiły. Przynajmniej nie własne.

- W takim razie zamówię kilka sztuk każdemu z nas. Ile? Po trzy na osobę? Jeżeli rzeczy nadal będą znikają, trzy to chyba bezpieczna liczba. Albo lepiej cztery. I przypuszczam, że po cztery również dla pana i dla pani Mendelbaum. Nie chcę, żeby chodził pan po dywanach przemoczony do suchej nitki.

- Dziękuję, ale mam kurtkę przeciwdeszczową i podejrzewam, że nie będę potrzebował innej, gdy dziewczynki otrzymają swoje.

Co on, na Boga, miał na myśli? Wysoce tajemniczy jegomość.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, ale proszę przypilnować dostawy Sama, dobrze?

- Oczywiście, jasnie panie.

- Ehem, cóż... - To chyba nie był właściwy moment, żeby prosić Humdingera, aby nie nazywał mnie więcej jasnie panem. Nie irytował mnie aż tak bardzo, jak pani Mendelbaum. Nie znosiłem, kiedy nazywano mnie jasnie panem, ale nie chciałem wprawiać Humdingera w zakłopotanie. Pani Mendelbaum nie można było wprawić w zakłopotanie.

- Zobaczyłem, jak helikopter zrzuca pudło i dzięki temu byłem w stanie je uratować, zanim doszczętnie zamokło bądź zostało stratowane przez byka. Ale jest już prawie pora kolacji, może wolałby pan poczekać?

- Nie, wcale nie, i tak wszyscy jemy za dużo - powiedziałem z nagłym przyplływem natchnienia. - Robię się tłusty.

Odkąd zarzuciłem dietę złożoną z hot dogów i makaronu z serem, wyrósł mi pokaźny brzuch. Okazało się, że zróżnicowane posiłki pobudzają apetyt. To mnie zaskoczyło. Chociaż nadal jadłem w roztargnieniu, jedzenie chyba rzeczywiście sprawiało mi teraz większą przyjemność. Zauważyłem, że w południe zakradam się na dół po przekąski i poluję na ostatnie kawałki mostka cielęcego oraz każdego z ciast. Prawdopodobnie spuchnę jak balon i będą musieli wtaczać mnie na konferencje. No ale przesyłka! Kolejna świąteczna przesyłka! Nie mogłem być szczęśliwszy. Naprawdę nie mogłem! Przeczesałem palcami dwa rzędy kręconych włosów sterczące po obu stronach mojej łysej makówki, po czym odsuwałem na

bok papiery i pokazałem Humdingerowi, gdzie ma postawić pudło. Co to mogło być? Bez wątpienia coś cudownego.

## MELINE

Pudła przychodziły regularnie i Humdinger wnosil je do srodka. Konczyliśmy właśnie kolację, kiedy nadeszły kurtki przeciwdeszczowe. Jocelyn grzecznie odložyla swój nóż i widelec, a ja znów zaczęłam kasłać. Od paru dni nie miałam ochoty na jedzenie. Jocelyn próbowała zagonić mnie do łózka, ale powiedziałam jej, że powinnyśmy sćiągnąć dziób samolotu z drzewa i ukryć go w stodole, nim pozwolę sobie na chorobę. Powinnyśmy mieć co najmniej dwie części do samolotu, zanim zrobimy przerwę. Byłoby lepiej zdobyć trzy, a dwie to naprawdę minimum.

- Co? Nie możesz sobie pozwolić na chorobę? Ty po prostu jesteś chora - stwierdziła Jocelyn, kiedy dopadł mnie atak kaszlu i złapałam się za zębra.

Nie powiedziałam jeszcze nikomu, że czuję w nich ostry ból, ponieważ za bardzo mnie to przerażało, a wyznanie prawdy uczyniłoby ją jeszcze prawdziwszą i jeszcze bardziej przerażającą.

Humdinger jak zwykle zawahał się przed położeniem zabłoconego pudła na stole. Sądzę, że odkąd zajął się i praniem, i dostawami, spędzał mnóstwo czasu na czyszczeniu obrusów. Była to jedna z rzeczy, o których wuj Marten nigdy by nie pomyślał.

- Koniec z ceregielami, proszę je postawić - zażądał stryj. Potem otworzył pudło swoim nożem do steków i zaczął wyciągać jedną kurtkę przeciwdeszczową po drugiej. Rzucił po cztery Jocelyn i mnie. Popatrzyłyśmy na siebie, zadając sobie to samo pytanie. Jak dużo oni wiedzą?

- Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zaniósł tacę pani Mendelbaum? - spytał Humdinger, który dotąd obserwował naszą reakcję na kurtki przeciwdeszczowe.

- Mendelbaum? Ach, tak, tak, tak, tak. Ale jeśli pani Mendelbaum leży chora w łózku, kto przygotował kolację?

- Ja - odparł Humdinger. - Mam nadzieję, że jedzenia nie było za mało.

- Cóż, nikt nie umiera z głodu, prawda? Tak, to naprawdę bardzo miłe. Niezwykła rzecz, mężczyzna, który umie gotować. I odnajdywać pudła! Ze świecą szukać kogoś, kto potrafi obie te rzeczy. Och, pewnie są tacy, co poradziliby sobie z tą pierwszą. Albo z drugą. Ale z obiema? Jakie są na to szanse? Gdybym to ja zajmował się kolacjami, wszyscy jedlibyśmy makaron z serem. Cóż, wcześniej naprawdę zajmowałem się kolacjami i naprawdę jedlibyśmy makaron z serem. Ale przenigdy nie byłbym w stanie przygotować niczego tak

skomplikowanego jak ten deser, który najwyraźniej bardzo smakuje dziewczynkom. Co to właściwie jest? I jak się panu udało zrobić taki wierzch?

- To crème brûlée - odparła Jocelyn, usiłując nie marszczyć brwi, a tylko ja zauważyłam, że krzywi się przy tym z wysiłku, próbując ściągnąć je na dół, tam, gdzie ich miejsce. - Humdinger przykłada rodzaj palnika, coś przypominającego lutownicę, do polewy.

- Trzeba mieć mnóstwo wyobraźni - rzekł stryj. - Ja osobiście nigdy bym nie pomyślał o tym, żeby celowo dotknąć powierzchni deseru lutownicą. Że powstanie w ten sposób coś miłego. Mógłbym, naturalnie, zrobić to przypadkowo. Oczywiście wiele odkryć zostało dokonanych przypadkiem. Chociaż doprawdy trudno wyobrazić sobie szczęśliwy przypadek, w którym udział mają deser oraz lutownica. Więc robić to celowo, podejrzewając, że wyjdzie z tego jakaś dobra rzecz, kierując się przeczuciem... Cóż, wydaje mi się, że potrzeba tu pewnego geniuszu.

- W zasadzie skorzystałem z przepisu - wyjaśnił Humdinger.

- Jasne. Cóż, ale to nadal bardzo dobry pomysł - wymamrotał stryj Marten, odpływając myślami, z łyżką crème brûlée w ustach.

Zaczął przeglądać resztę zawartości pudła, a Humdinger tymczasem się wymknął.

- Jak on może mówić: „Niezwykła rzecz, mężczyzna, który umie gotować”? - szepnęła Jocelyn, ale moja głowa opadła na stół i stała się nagle bardzo ciężka. Byłam rozpalona i śpiąca już podczas kolacji, ale teraz, zabawne, poczułam się znacznie gorzej. - Nie może być aż tak pozbawiony poczucia rzeczywistości.

Chciałam powiedzieć coś sarkastycznego o stryju i skomentować jego ignorancję w kwestii mężczyzn, którzy umieją gotować, ale nie mogłam nic wymyślić. Zamiast tego, ku własnemu zdumieniu, oświadczyłam:

- Myślę, że mam w głowie kamienie.

Nie sądzę, by ktokolwiek mnie usłyszał. Byłam za daleko, na końcu stołu. Zastanawiałam się, czy będę tak leżała do końca życia. Cóż, była to nęcąca perspektywa.

- Np tak, tak, z wami dwiema chyba już wszystko załatwione. Co powiecie na to, żebym po prostu zabrał swoje skarby? -1 stryj zgarnął pozostałe rzeczy, które przybyły w pudle z kurtkami przeciwdeszczowymi, a potem wyszedł, mamrocząc coś pod nosem.

- Na dworze... ciemno. Chodź... my... - Trudno mi było mówić z ustami przyciśniętymi do blatu pod ciężarem głowy. Zauważyłam nagle, że pod moim prawym policzkiem powstaje niewielka kałuża śliny. Trochę mnie to łaskotało, ale było też dziwnie przyjemne.

- Jest za wcześnie, a poza tym ty nie możesz wyjść. To nie jest małe przeziębienie. -

Jocelyn wstała i położyła rękę na moim czole. - Masz gorączkę - stwierdziła oskarżycielsko.

Ani trochę nie brzmiała jak Florence Nightingale.

- Oczywiście - potwierdziłam. Byłam bardzo śpiąca, ale musiałam jej wyjaśnić. Niemądra Jocelyn. Nie umie poskładać kawałków. - To dlatego jest mi gorąco. Ale nie martw się, ślina mnie studzi. Ciało to niesamowita rzecz. Kiedy robi się za gorąco, wysyła ślinę.

- Cóż, nie możesz wyjść na dwór z gorączką - rzekła Jocelyn. Podeszła, odsunęła krzesło obok mnie i usiadła.

Rozważa sytuację? Sztywniara. Moja głowa ciągle przyklejona do stołu. Poprosić o pomoc? Ona chyba nie jest w odpowiednim nastroju...

- Właśnie, że mogę - wybełkotałam.

Okaz hart ducha. Zawsze zwarta w obliczu... W obliczu czego? W obliczu śliny... Nie mogę pozwolić Jocelyn na żadne świetne pomysły. To nie ten typ. Jakie pomysły może mieć Jocelyn? Fe...

- Powiem... - oznajmiła Jocelyn.

Chyba już pójdę. Tak sędzę. Pa, Jocelyn. Reszty nie słyszę.

- Nie... - wołam za nią słabo.

Zresztą komu ma powiedzieć? Nasi rodzice nie żyją. Nie ma z kim pogadać. Wyślę, że umrę. To znaczy myślę, że umrę. Dołączę do grupy. Jocelyn da sobie radę. Chcę przezwyciężyć ją jakoś brzydko. Niczego nie wyślę. Nie wymyślę. Nie mogę. Zawsze jedząc kanapki z serem o godzinie czwartej, o właśnie. Kanapkożerczyni... Najlepsze, co potrafię. Spróbuj nie być dla siebie ostra. Chora. Nagle chora... Och. Nie zauważyłam, że to nadchodzi. Spróbuj nie być dla siebie za ostra. Chora. Ach tak, już to mówiłam. Mówiłam czy myślałam? Wysłałam. Nieważne. Drzemka dobrze mi robi.

## JOCELYN

Nie znalazłam nikogo w kuchni, więc pobiegłam na górę. Nie miałam zamiaru mówić stryjowi. On po prostu nie jest praktyczny. A pani Mendelbaum leżała chora w łóżku i nie widziałyśmy jej od wielu dni. Nie mogłaby pomóc. Chciałam powiedzieć Humdingerowi. Chciałam się rozplakać i powiedzieć Humdingerowi, i nie miało to dla mnie sensu. Wyglądał jak trup, miał stopy jak kajaki, skradał się i krążył, proponując miętówki zupełnie nie w porę, i był Kanadyjczykiem, a jednak, spośród wszystkich tutaj, wydawał się jedyną osobą, po której mogłam oczekiwać racjonalnego działania, więc pomaszerowałam do jego pokoju, gdzie czytał gazetę i jadł kolację, i powiedziałam:

- Humdinger, myślę, że coś złego dzieje się z Meline. Ma gorączkę. Myślę, że może

potrzebować leków. I doktora. Jest naprawdę rozpalona!

A potem, ku mojemu wielkiemu zażenowaniu, wybuchłam płaczem i nie mogłam przestać.

Humdinger nie tracił czasu. Wstał od stołu z serwetą wciąż tkwiącą za kołnierzykiem, zszedł na dół do jadalni i znalazł

Meline, która jakoś odkleiła policzek od blatu i leżała zemdlna na podłodze. Wyglądała spokojnie i błogo. Podążyłam w ślad za Humdingerem, który zaniósł ją na górę, położył na łóżku, a potem odszukał stryja.

- Jedna z dziewczynek potrzebuje lekarza - oświadczył bez pukania i uprzejmego wstępu.

- Która? - spytał z roztargnieniem stryj.

- Meline.

- Cóż, musimy jakiegoś sprowadzić. Wie pan, gdzie jest książka telefoniczna i numer do serwisu helikoptera? Tu... zobaczmy... Sam... - Napisał imię Sama oraz numer na karteczce samoprzylepnej i wręczył Humdingerowi wraz z radiotelefonem. Lokaj skinął głową. - Proszę zadzwonić do szpitala w Vancouver i powiedzieć, żeby doktor przyjechał z lekarstwami. Co pana zdaniem jej dolega?

- Ma kaszel i gorączkę.

- Więc prawdopodobnie antybiotyki. Proszę powiedzieć, żeby przywieźli antybiotyki i tylenol. I wszystko inne, czego nie mamy. Proszę też wspomnieć, że zrobimy dużą darowiznę dla szpitala. Czy co tam zechcą. Mamy gdzieś może rosół? Niedawno czytałem, że nie są to jedynie babcine wymysły. To naprawdę działa.

- Mamy kurę w zamrażarce. Zrobię trochę rosółu.

- Jest pan niezwykłym stworzeniem, Humdinger. Lutownice i rosoly. Cóż, proszę już iść. I niech mi pan da znać, gdy sprawa się wyjaśni. Jestem pewien, że to nic poważnego. Ludzie, zawsze dostają okropnej gorączki, a potem się okazuje, że to nic poważnego. Ale jak, na miłość boską, mogła coś złapać na wyspie? Nikt tutaj nie mieszka. Oczywiście pani Mendelbaum się udało. Bardzo zaradna kobieta.

Wkrótce na pogrążoną w ciemności wyspę została zrzucona lekarka. Gdy zwisiała na spuszczonej z helikoptera drabince, Humdinger wybiegł na dwór.

- Proszę mnie postawić na ziemi! - wrzasnęła do Sama i pogroziła mu pięścią, zanim lokaj przytrzymał końce sznurków, żeby mogła zejść. - To istne szaleństwo - powiedziała do niego. - Gdzie jest chora dziewczynka?

- Proszę wejść do środka - rzekł lokaj i zaprowadził ją natychmiast do Meline.

## MELINE

Słyszałam, jak wchodzi jacyś ludzie, a kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam kobiecą twarz, która pochylała się nade mną z troską, uznałam, że to matka, i powiedziałam: „ARSZK!”, sądząc, że wszystkie moje nadzieje się spełniły i rodzice wcale nie zginęli. Gdy jednak kobieta odskoczyła, zrozumiałam, że 12 to nie jest moja matka, i doszłam do wniosku, iż mam ogromne szczęście, że mieszkam na wyspie, gdzie jest mniej okazji, by widzieć matkę w każdej obcej osobie. Potem zdałam sobie sprawę, że „arszk” nic nie znaczy. Chociaż myślałam już trochę jaśniej, wciąż było mi na przemian zimno i gorąco.

- Jestem doktor Houseman - przedstawiła się kobieta.

Zamknęłam oczy, a ona zaczęła opukiwać mnie metodycznie i badać stetoskopem. Nadal starałam się znaleźć sposób, w jaki można by połączyć dziób jednego samolotu z lotką drugiego. Ciągłe wyświetlało mi się to przed oczami jak kreskówka - części samolotów składały się same, tworząc nowe i dziwaczne maszyny.

- Meline, słyszysz mnie? - spytała doktor Houseman głośniejszym głosem, niż było to konieczne, a jednak, dziwna sprawa, jej głos dochodził z głębi jakiegoś tunelu.

Skinęłam głową.

- Nie mam pewności bez rentgena klatki piersiowej, ale wygląda na to, że dostałaś zapalenia płuc.

Otworzyłam oczy i po prostu na nią popatrzyłam. Zaczęłam się zastanawiać, czy można zapaść na tę chorobę od ciągłego słuchania ostrzeżeń. Doktor Houseman odwróciła się do Humdingera.

- Proszę pozwolić mi ją zabrać do szpitala.

W tym momencie usiadłam na łóżku i zawołałam:

- Nie! ŻADNEGO szpitala!

- Już dobrze, dobrze - rzekła lekarka, a potem znów zwróciła się do Humdingera. -  
Więc jej rodzice...?

- Nie żyją - oznajmiła Jocelyn, która czaiła się w drzwiach.

- Straciła oboje kilka miesięcy temu.

- Przykro mi - powiedziała doktor Houseman.

- Moi również zginęli - dodała Jocelyn, co według mnie stanowiło nieistotną informację, mającą zwrócić na nią uwagę.

- Przykro mi - powtórzyła kobieta i po raz kolejny odezwała się do Humdingera: -  
Cóż, słyszałam już gorsze płuca, ale słyszałam też lepsze. Jeżeli nie pójdzie do szpitala, chcę,



żeby pan ją obserwował, nie pozwalał jej opuszczać łóżka i podawał dużo płynów. Proszę też dopilnować, by brała wszystkie antybiotyki, które jej zostawię, a jeśli gorączka jednak podskoczy, pan natychmiast przywiezie ją do szpitala.

- Dobrze - odparł Humdinger. - Coś jeszcze? s wyspa

- To bardzo dziwne miejsce do mieszkania... - stwierdziła doktor Houseman, rozglądając się po mojej sypialni z łóżem z baldachimem i wysokim sufitem o sklepieniu rzeźbionym w drewnie. Potrafiłam zrozumieć, o co jej chodzi. - Wie pan, że wojskowe siły powietrzne rozbiły tu kiedyś samoloty? Wybuchła wtedy afera. Jakiś kapitan, czy ktoś w tym rodzaju, oszalał i zaczął wysyłać młodych ludzi na śmierć bez żadnego powodu.

- Eskadra Podniebnych Szkieletów - oznajmiłam.

- Ona nie bredzi. Tak to właśnie nazwali - wtrąciła Jocelyn.

- Ciii - rzekła doktor Houseman, rozważając sytuację.

Zapadła cisza, więc otworzyłam oczy, myśląc, że lekarka już sobie poszła, ale ona nadal tu była. Miała wielki nos, który przypominał dziób, i zniszczoną twarz, ciemne oczy z wyraźnymi zmarszczkami w kąciakach, prawdopodobnie od mrużenia ich, kiedy zaglądała ludziom w rany. Emanował z niej stanowczy spokój - spokój kogoś, kto nauczył się opanowania po spędzeniu całego życia na przejmowaniu się rzeczami, które musiał oglądać. W jej włosach znajdowały się gdzieś tam szare kosmyki, jakby jakieś dziecko zrobiło je pędzlem. Nie była piękna. Nie jestem nawet pewna, czy była ładna, ale miała w sobie coś, co mogło się podobać. Wyglądała jak ktoś, kogo nigdy nie musiałbyś ratować. Była szczupła i wydawała się silna, jakby przywykła do dźwigania swoich rzeczy. Chyba należała do tych poważnych ludzi, którzy widzą przed sobą cel, właśnie on sprawia, że stają się bardzo znużeni już w wieku średnim. Wyglądała, jakby zawsze była jedyną zasadniczą osobą w pokoju pełnym ludzi traktujących życie z przymrużeniem oka. Jakby wiedziała, że jest inna, obca i że wiąże się z tym samotność, i że nie tego pragnęła.

- Byłoby o wiele prościej, gdybyśmy mogli wybrać sobie charakter przed urodzeniem. Żebyśmy nie musieli tkwić przy takim, który nas unieszczęśliwia - powiedziałam, podsumowując na głos swoje rozważania.

Wszyscy popatrzyli na mnie z troską i nagle zaczęło do mnie docierać, jak to jest być stryjem Martenem.

- Tak sądzisz? - spytałam, a potem znów zasnęłam.

Leżałam przykuta do łóżka, w najgorszym stadium choroby, nie mogąc czytać, rozmawiać ani kierować ruchem. Nie byłam w stanie zrobić czegokolwiek poza zjedzeniem kilku łyżek zupy, którą przynosił mi Humdinger. Rozsierzona pani Mendelbaum deptała mu

po piętach.

- Mówiłam panu, proszę przestać robić zupę za moimi plecami, azes pnim. Wielki truposz gojsze nie umie, nie umie zrobić prawdziwego rosółu. Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Aj waj, proszę dać mi kurczaka, dać mi trochę szmale, dać mi cebulę i zejść mi z drogi, wy wszyscy - zarządzała, wbiegając za nim do mojej sypialni, w podomce, z włosami rozwianymi w sześciu kierunkach naraz. Jej stopy w skarpetach ślizgały się po podłodze, w jednej ręce trzymała nóż, a w drugiej - kurczaka. Ale Humdinger po prostu brał z powrotem nóż i kurczaka, sugerując, żeby poszła do łóżka. Sugerowanie ludziom, żeby szli do łóżka, stawało się jego specjalnością. Pani Mendelbaum nadal była bardzo chora, a doktor Houseman zaleciła jej leżenie i przyjmowanie tylenolu. Potem Humdinger przyrządził zupełnie rozsądny rosół z towarzyszeniem gniewnych przekleństw mamrotanych przez panią Mendelbaum z piętra.

Pewnego razu zeszła na dół, zajrzała do garnka z zupą i wrzasnęła:

- CO?! BEZ KOPRU?! Co to za farkukt zupa? Nie możesz mieć rosółu bez kopru!

Podwinęła rękawy i chciała wylać zupę do zlewu, ale była zbyt słaba i upuściła garnek. Zeszłam wtedy po butelkę wody i patrzyłam z przerażeniem, jak tłusta zupa płynie po całej kuchni, zalewa podłogę i rozbryzguje się o ściany. Pani Mendelbaum krzyknęła, a Humdinger odsunął ją od wartkiego strumienia wrzącej cieczy i upewniwszy się, że nie została poparzona, odprowadził do łóżka, obiecując, że przyrządzi zupę ściśle według jej instrukcji. Wszystko to obserwowałam z niejaką fascynacją, przypominając sobie, jak przed natarciem pani Mendelbaum Humdinger dopiero co skończył sprzątać kuchnię. Nie powiedział nic z rzeczy, które ja miałabym chęć powiedzieć na jego miejscu. Kiedy wrócił na dół i zaczął zbierać zupę mopem, spytałam:

- Naprawdę sądzi pan, że nie ma rosółu bez kopru? Kto by to zauważył?

Próbowałam być współczująca i w pewnym sensie przeprosić za zachowanie pani Mendelbaum, bo uznałam, że ktoś w tym domu powinien stanąć w jego obronie, ale on powiedział:

- To nie ma znaczenia. Pani Mendelbaum nie jest szczęśliwa i my zrobimy tak, jak będzie dla niej dobrze.

## **MARTEN KNOCKERS**

Kto by pomyślał, że tak trudno utrzymać chorych ludzi w swoich pokojach? Rozwahałem tę kwestię, patrząc, jak pani Mendelbaum, wrzeszcząc na cały głos, daje wskazówki dotyczące robienia rosółu. Wciąż spędzałem zbyt dużo czasu online ze swoją

kartą kredytową, przechodząc od strony do strony, w poszukiwaniu ozdób świątecznych w kolorze głębokiej śliwki i złota, serwetek i poduszek, i osłon na podstawę choinki, i obrusów. Zwłaszcza obrusów, ponieważ Humdinger, który zawsze miał doskonałe spostrzeżenia i dzielił się nimi w stosownym czasie, zasugerował, że kilka zapasowych to dobry pomysł, na wypadek gdyby ktoś coś rozlał na naszą nową aksamitną serwetę. Nie przyszłoby to do głowy komuś takiemu jak ja, komuś, kto nigdy nie robił prania. Dawniej, przed pojawieniem się pani Mendelbaum, po prostu nosiłem koszule tak długo, dopóki sam nie zaczynałem czuć ich zapachu, a potem je wyrzucałem. Zawsze kupowałem tanie, bo nie chciałem zostać oskarżony o wybujały konsumpcjonizm, mimo że były to moje własne pieniądze, z którymi mogę robić, co mi się podoba.

Jako że Humdinger zachęcił mnie do zakupu drugiego obrusu, zamówiłem jeszcze trzy oraz wielkie złote anioły z długimi blond włosami i małe złote wianuszki do zawieszenia na wszystkich drzwiach. Te anioły sprawiły mi większą przyjemność niż wszystko inne: reprezentowały coś szczególnego (gdybym tylko mógł sobie uświadomić co)... pewną miękkość kojarzoną z cnotą, nie ogień i siarkę, lecz coś odżywczego... Nie mam żadnego religijnego przygotowania ani nie studiowałem tego tematu, ale wydaje mi się, że katolicy trafili w sedno. I ci wszyscy Włosi ze swoimi renesansowymi Madonnami... Podoba mi się pomysł wieszania na ścianach kobiecej postaci, która błogosławiłaby dom na czas świąt. A potem, pod koniec Bożego Narodzenia, pakowania jej do pudła i zanoszenia na strych. Myślę, że kobiety są lepsze w błogosławieniu domu niż mężczyźni. A może wcale nie. Humdinger jest dobry w sprawianiu, by wszystko toczyło się gładko. Z pewnością lepszy od pani Mendelbaum. To, czego nam trzeba, to powiew spokojnej wiary i pewna pogoda ducha. Trudno uwierzyć, że ktoś może być pogodny przez dłuższy czas, nie mówiąc już o tym, że przez cały czas. Dla mnie to wysoce ulotny stan. Kupiłem błyszczące złote kryształki, żeby zawiesić je u rokokowych żyrandoli i na wiktoriańskich lampach. Dzięki moim zakupom cały dom zaczął lśnić złocistym światłem. Wypełniłem wnętrze barwami głębokiej śliwki i ciemnej zieleni sosnowego lasu. Światło tonęło w aksamitach i odbijało się od połyskujących ozdób. I każdej nocy widziałem, że Jocelyn wychodzi z domu z latarką w ręce. Zostawiała całe to światło, które stworzyłem, i szła w ciemny, lejący się z nieba deszcz. To było naprawdę bardzo dziwne zachowanie.

Pewnego wieczoru podczas kolacji chciała dowiedzieć się czegoś o zwierzętach żyjących na wyspie.

- Cóż - rzekłem, wysilając mózg, ponieważ nie było to coś, na co zwracałem uwagę. - Jelenie i szopy, oczywiście. Hmmm, co jeszcze? Ach! - powiedziałem, zagłębiając nóż w

doskonale wysmażony stek, który postawił przede mną Humdinger.

- Byki! Albo raczej: byk!

Przypomniałem sobie, jak Humdinger wspomniał, że ocalił świąteczne pudło przed bykiem. Były to osobliwe słowa. Czy on naprawdę powiedział, że mamy byka? Musiał się pomylić. Musiał widzieć sporą wiewiórkę.

Prawda była taka, że w owych dniach spędzałem dużo więcej czasu na świątecznych zakupach niż na pracy nad ujemną gęstością, chociaż udawałem, że jest inaczej. Sposób, w jaki zawłaszczył mnie internet, objawiał się tym, że rozważałem przez kilka sekund nieskończoność wszechświata, a potem dzwoniłem do jakiejś firmy sprzedającej sople z kryształu do zawieszania na choince. Następnie próbowałem utrzymać w umyśle obie te sprawy podczas rozmowy ze sprzedawcą, co znacznie wydłużało składanie zamówienia, ponieważ sprzedawca musiał wyeliminować z niego fizykę, która tymczasem wkradła się do danych potrzebnych do realizacji zakupu. Bardzo rzadko trafiałem na sprzedawcę, który potrafił sensownie rozmawiać na temat fizyki. Gdybym tylko przyznał przed sobą, że zamawianie ozdób to większa frajda niż studia nad ujemną gęstością, sprzedawcy i ja być może uniknęlibyśmy mnóstwa komplikacji. Ale nie, wchodziłem do internetu co dziesięć minut. I miałem coraz więcej problemów z ujemną gęstością. Nie rozumiałem jej, więc to zagadnienie zaczęło się robić trochę nudne. W końcu zdecydowałem, że problem nie polega na tym, że nie rozumiem ujemnej gęstości, ale że nie rozumiem, co pisali o niej inni ludzie. Potem dokonałem fundamentalnego odkrycia: oni wszyscy są w absolutnym błędzie, a ja mam absolutną rację. To ustalenie, jak się okazało, było dla mnie bardzo korzystne. Oooo, ale przy okazji ujemnej gęstości, mówiłem do siebie, ciekawe, czy Neiman Marcus ma jakieś śliwkowe albo złote akcesoria w katalogu internetowym? I znów problem ujemnej gęstości schodził na dalszy plan. Teraz natomiast mój umysł przewędrował od byka, którego rzekomo widział Humdinger, do zestawu uroczych śliwkowych pufów oraz podnóżka, który mógłby zastąpić mój obecny skórzany. Ten w kolorze śliwki był pikowany.

- A ja tak kocham pikowania - oznajmiłem.

- Chciałabym mieć psa - powiedziała Jocelyn. - Podobno byki boją się psów.

- Nie psy. Pikowania - powtórzyłem.

- Właśnie, że psy - rzekła z naciskiem Jocelyn. - Wiesz, greyhound, bloodhound albo basset.

- Nie trzymaj się tak niewolniczo psów - poradziłem.

Lecz najwidoczniej Jocelyn oznajmiła Humdingerowi, że ja powiedziałem, że ona może mieć psa, i lokaj polecił Samowi wziąć szczeniaka ze schroniska Towarzystwa Opieki

nad Zwierzętami. Kiedy kilka dni później z helikoptera została spuszczone na pasach klatka, a ja już o niczym nie pamiętałem, zdumiałem się. Czy to jakiś pies przybywa na wyspę? Kolejne stworzenie? Mój Boże, dlaczego nie postawią tu od razu całego osiedla? Przysięgam na Boga, że jeśli tak dalej pójdzie, będę musiał się przeprowadzić.

Potem zastawiłem drzwi pokoju komodą, a jeszcze później >2 zgłodniałem i nie mogłem wyjść, bo nie potrafiłem znaleźć drzwi, a nie pamiętałem, że teraz zasłania je komoda. Wówczas pomyślałem, że moje drzwi po prostu, w niewytłumaczalny sposób, zniknęły.

- Co się dzieje - jęknąłem żałośnie - z drzwiami w tym domu?

Przez całą noc musiałem jeść krakersy. To dobrze, że trzymam krakersy przy łóżku, powiedziałem do siebie pocieszająco. A potem za nic w świecie nie potrafiłem sobie przypomnieć, dlaczego trzymam tu krakersy. Rzeczy w moim otoczeniu generalnie zaczęły dziwnie się zachowywać. Bardzo dziwnie. Chętnie zwinąłbym się w kłębek obok kotki, ale ona odkryła, że jej tradycyjna droga do wyjścia nie jest już dostępna, i wymaszerowała przez okno jakiś czas temu. Księżyc w pełni oświetlał łąkę. Wyjrzałem w roztargnieniu na dwór, poszukując śladów byka, o którego wciąż zapomniałem spytać Humdingera.

Zobaczyłem na zewnątrz Jocelyn z latarką i szczeniakiem.

- Znów na dworze o tej godzinie? No tak, oni mają drzwi w pokojach - rzekłem rozgoryczony i zasnąłem, wyczerpany swoimi daremnymi wysiłkami.

## JOCELYN

- Ten szczenięcy plan nie zadziała - powiedziałam głośno, idąc przez łąkę ze szczeniakiem, który skakał i szarpał się na smyczy. - Potrzebuję psa. Ciekawe, ile potrwa, zanim szceniak zmieni się w psa? Prawdopodobnie zbyt długo. Dlaczego Humdinger dat mi szczeniaka? Prosiłam o psa.

Mówiłam gorączkowo, co robię zawsze, kiedy się boję. Gdy otworzyłam oczy w wagonie - wagonie, który leżał na boku, podczas gdy na zewnątrz szalał pożar - zawołałam matkę. Nikt nie odpowiedział, więc ruszyłam pustym korytarzem... W pewnym momencie zaczęłam mówić do siebie, bełkocząc jak katarynka: nie podoba mi się to wszyscy ludzie zniknęli a powinni tu być ludzie dlaczego nikt nie przychodzi i mnie nie zabiera co to za straszny pożar za oknem prawdopodobnie nie stało im się nic bardzo złego. Potem zobaczyłam pierwsze strzępy ciał i przez długi czas nic już nie mówiłam. Teraz znów przebywałam w ciemności, mówiąc do siebie, i zastanawiałam się, czy tak już będzie zawsze.

Nigdy nie lubiłam wychodzić o tej porze, zwłaszcza sama. Ale Meline nie podniosła

głowy ani nawet się nie obudziła, kiedy zajrzałam do jej sypialni, żeby zerknąć na nią z niepokojem. Miałam nadzieję, że jeśli porozmawiamy, ona zacznie błagać, żebym poczekała do chwili, aż poczuje się na tyle dobrze, by do mnie dołączyć, ale że od trzech dni było z nią bardzo źle, rozumiałam, że muszę polegać na sobie. Tak naprawdę nigdy nie wierzyłam, że znajdziemy wszystkie potrzebne części. Nie wierzyłam też, że Meline rzeczywiście będzie potrafiła zbudować samolot, lecz potrzebowałam odrobiny nadziei i tego, żeby ktoś mnie w niej utwierdzał. Kiedy zachorowała, straciłam jedyne oparcie. Musiałam sama zacząć wierzyć. I nie byłam pewna, czy potrafię. Przede wszystkim nie rozumiałam, po co w ogóle budować samolot. Dziś w nocy, w ciemności, to wszystko wydawało się po prostu szalone. Szczeniak w niczym nie pomagał. To on miał bronić mnie, a jednak cały czas się zamartwiałam, czy nie pożre go byk. Czy byki pożerają małe zwierzęta?

- Pójdę łąką, oddalę się od domu, a potem co? - powiedziałam głośno. Stryj może nie wierzył w byka, ale Humdinger był bardziej godny zaufania, gdy chodziło... cóż, w zasadzie o wszystko. - Nigdy nie znajdę części samolotowych. Ale z drugiej strony, jeżeli nie będę ich szukała, co zrobię z czasem? Będę samotnie krążyć po domu, bijąc się z myślami. Będę skazana na sny.

Szczeniak potężnie szarpnął smyczą. Wyrwał mi ją z ręki i uciekł.

- Och nie! Czy on za czymś goni? Czy szczeniak byłby na tyle głupi, żeby gonić za bykiem? Prawdopodobnie tak. Jeszcze wyspa to! Teraz nie będę w stanie wrócić, dopóki nie znajdę szczeniaka... Nie mogę zostawić szczeniaka na deszczu... A szczeniaka będzie trudniej znaleźć niż części samolotu, bo szczeniak nie odbija światła. Nawet nie nadałam mu jeszcze imienia... Czy przybiegnie, jeśli zawołam: „Szczeniaku!”? Dlaczego miałby przybiec? To nie ja go karmię. Ucieknie i zostanie przebity rogami. A w ogóle dlaczego byki muszą przebijać wszystko rogami? Co to za życie: urodzić się po to, żeby z ochotą prychać i brać wszystko na rogi? Nic dziwnego, że ludzie nie przepadają za bykami. Jeśli o mnie chodzi, same są sobie winne.

Szłam dalej w strugach deszczu, wytężając słuch.

-I teraz nie będę wiedziała, czy odgłos, który słyszę, to byk w krzakach, czy szczeniak. Nie mogę uciekać od szmerów, na wypadek gdyby to jednak był szczeniak... Właśnie dlatego nigdy nie powinno się brać pod opiekę małych, bezbronych zwierząt... Tak naprawdę myślałam o dużym i wrednym dobermanie. Ale dlaczego w ogóle uważałam, że chcę psa obronnego? Co dobrego mógłby zdziałać taki pies w razie niebezpieczeństwa? Zaszczekać byka na śmierć? Jednak nawet pies obronny ma więcej sensu od szczeniaka. Humdinger bardzo źle to wymyślił. Wrócę i wygarnę mu wszystko właśnie teraz, tyle że

jestem cała mokra i...

Rozpląkałam się. Nagle latarka wychwyciła jakiś błysk w krzakach. Czy to oczy byka, które się we mnie wpatrują? Oczy byka, oczy byka... Uciekałam przez bruzdy, moje stopy więzły w rozpadlinach, spadałam z pagórków i wdrapywałam się z powrotem. Oczy byka, bycze oko... Bycze oko?... Gdzie ja je widziałam? Ach tak, na zajęciach z łucznictwa. Bardzo trudno jest trafić do tarczy. Ustawiają je na belach siana. Bele siana zamokłyby na tym deszczu. To dobrze, że w Saskatchewanie nie pada tak mocno jak tutaj, ale ja już nigdy nie będę mieszkała w Saskatchewanie. Nie pomyślałam o tym wcześniej. Nigdy nie wrócę do domu.

Zatrzymałam się, jakby ta myśl uruchomiła hamulce w moich nogach, i stałam z otwartymi ustami w samym środku ulewy, a po policzkach spływały mi łzy. Nigdy nie wrócę do domu. Nie ma żadnego domu. Znów zaczęłam biec, uciekając przed tą myślą, ale moja stopa uwięzła w jakiejś dziurze, potknęłam się i uszło ze mnie całe powietrze. Na szczęście przez kilka chwil mogłam myśleć tylko o łapaniu oddechu. Gdy go odzyskałam i nic nie wypadło galopem z ciemności, by przebić mnie rogami, zdałam sobie sprawę, że to nie oczy byka widziałam. To był metal. Uciekałam przez całe pole od rzeczy, której szukałam.

## MELINE

Następnego ranka Jocelyn zapukała do moich drzwi. Ucieszyła się, że nie śpię. Wciągnęła do pokoju coś, co było przykryte starą podartą szmatą.

- Popatrz - powiedziała z dumą.

Usiadłam na łóżku, podekscytowana.

- Nie mogę uwierzyć, że znalazłaś coś samodzielnie.

- Oczywiście. - W głosie Jocelyn słychać było irytację.

- Cóż, nie powinnaś zabierać tego do środka, gdzie każdy może coś zauważyć... Nie mogło zostać w stodole?

- Uznałam, że będziesz chciała wiedzieć, co to jest. A ja nie umiem tego opisać. - I zdjęła szmatę.

- Och... - powiedziałam. Ujrzałam fragment usterzenia poziomego, ale tak pogięty, że praktycznie nie do rozpoznania.

- Cóż, to usterzenie. Weź je do stodoły, a później zobaczymy, jak je wyprostować.

- Zrobię to w nocy. Teraz chcę się położyć.

- Byłaś na dworze przez całą noc? - zapytałam, ponieważ, szczerze mówiąc, nie pasowało mi to do Jocelyn. W jej stylu było raczej wyjście na dziesięć minut, stwierdzenie, że

jest zbyt mokro, i powrót na gorącą czekoladę oraz ciastka.

- Znalazłam to prawie od razu. Resztę nocy spędziłam na szukaniu cholernego szczeniaka.

- Co? Wolno nam mówić „cholerny”, jeśli nie możemy mówić „gówno”?

Popatrzyła na mnie dotknięta, ale ja byłam zbyt chora, żeby się przejmować. Nie chciałam nowych przyjaciół. Nie chciałam nowych początków.

## MARTEN KNOCKERS

Przeszedłem obok Jocelyn, która jak zwykle przypominała podtopionego szczura. Nic dziwnego, skoro wychodzi na deszcz o tej porze... Zerknęła na mnie z czymś w rodzaju pogardy, bo rozlałem herbatę. Próbowałem iść korytarzem z pełną filiżanką, jednocześnie czytając książkę. Po drodze, w regularnych odstępach, wychlapywałem herbatę, a potem się zatrzymywałem, żeby wytrzeć ją rogiem szlafroka. Najwyraźniej jednak Jocelyn nie należy do dziewcząt, które potrafią docenić różnorodność zastosowań intymnej mody męskiej. Kupiłem sobie szlafrok z aksamitu, w kolorze głębokiej śliwki, i parę bamboszy i stwierdziłem, że wyglądam bardzo dystyngowanie i wiktoriańsko. Praktycznie sam byłem świąteczną ozdobą! Za każdym razem, gdy ścierałem krople herbaty, zadawałem sobie pytanie, co znaczą te wszystkie rysy. Podłoga była cała poorana, jakby ktoś po niej coś ciągnął. Ale dlaczego miałby to robić? To na pewno ta Mendelbaum. Ach, właśnie, muszę dać jej moją listę świątecznych przysmaków do przygotowania.

- Loz mich cu ru. Proszę sobie iść. Jestem zajęta chorowaniem - powiedziała, gdy zapukałem do drzwi i wszedłem.

- Co to jest, na Boga?

Piła radośnie z butelki coś w rodzaju pasty do butów.

- Moja przyjaciółka Sophie przysyła mi sześć butelek swojej mikstury na kaszel. Sekretna receptura ze sztetlu. Więc ona myśli, że będę kasłać do końca życia? Ale twierdzi, że wszystkie kobiety w sztetlu trzymają to na półkach. Na wszelki wypadek. Na odwagę. Na czas porodu. Na co komu taka odwaga?

- Naprawdę, nie piłbym tego na pani miejscu, pani Mendelbaum. Nigdy nie wiadomo, co jest w takich ziołowych mieszankach.

- Więc powinnam zakasłać się na dobre? Proszę sobie iść, jestem chora.

- Tak, wiem, że jest pani chora, pani Mendelbaum, ale nie zamierza pani chorować w tygodniu przed Bożym Narodzeniem, prawda? Wtedy, kiedy powinna pani gotować.

- A skąd mam wiedzieć? - spytała pani Mendelbaum. - Teraz jestem chora. Później -



kto to może powiedzieć? Czy myśli pan, że ja chcę tej choroby? Kto chciałby czegoś podobnego?

- Ojej... - odparłem. Nigdy nie było wiadomo, co doprowadzi ją do wybuchu. - Nie zamierzam pani kłopotać, ale przecież nie ma pani nic przeciwko gotowaniu, kiedy jest pani chora, prawda? Kupiłem gęś.

- Gęś. Chce pan, żebym ugotowała gęś?

- Cóż, surowa nie jest dobra, jak sądzę... wyspa

- Skąd mam wiedzieć, czy nie będę zbyt chora, żeby ugotować gęś, kiedy przyjdzie na to czas?

- Cóż, myślę, że nie może być pani wiecznie chora, prawda?

- Aza a jor af mir, panie Sforne Gacie.

Naprawdę nienawidziłem, kiedy nazywała mnie panem Sforne Gacie. Uważam, że jeśli ktoś płaci za obijanie się, leżenie i bycie chorym, to przynajmniej można by go nie wyzywać.

- Cóż, mogłaby pani... Hmm... Mogłaby pani WYZDROWIEĆ! Właśnie to mogłaby pani zrobić, pani Mendelbaum. Ludzie zdrowieją. Zdrowieją cały czas. Naprawdę zdrowieją. Albo mogłaby pani gotować mimo choroby. Przypuszczam, że to także ludzie muszą robić. Zwłaszcza jeśli mieszkają samotnie. W przeciwnym razie wszyscy by umarli, prawda?

- Co? Gotować mimo choroby? Jeść posiłki ugotowane przez chorą osobę? I to w Boże Narodzenie? I kto potrafi gotować gęsi? Może jakąś kurę i trochę latkes...

- Nawet nie wiem, co to jest - powiedziałem szybko. - W każdym razie przygotowałem bardzo dokładną listę potraw odpowiednich na Boże Narodzenie. Oczywiście kwestię gęsi już omówiliśmy... - Rozmowa o jadłospisie sprawiła, że poczułem się niczym pan na włościach, a nie człowiek całkowicie pozbawiony kontroli nad swoim domem. - A więc. Nadzienie z kasztanów, słodkie ziemniaki, dressing migdałowy z brukselką, pudding śliwkowy, ciasto biszkoptowe i bûche de Noël. Nie upieram się szczególnie przy dressingu migdałowym z brukselką. Może ją pani zastąpić czymkolwiek. Na przykład miętą.

Zostawiłem trochę przestrzeni dla pani wyobraźni, pani Mendelbaum, jeśli sprawi to pani przyjemność...

- Dlaczego brukselka miałaby mi sprawić przyjemność? Leżeć na bezludnej wyspie z kimś, kto ssałby moje palce u stóp, to sprawiłoby mi przyjemność.

- Proszę, pani Mendelbaum... Spróbujmy się skupić na jadłospisie.

- Te gwiazdki filmowe z ich śliczniutkim pedikiurem, one mogą leżeć na plaży z kimś, kto ssie ich palce u stóp. Czy to jest życie?

- Proszę - powtórzyłem. Najwyraźniej pani Mendelbaum odmawiała nie tylko gotowania, ale także nawet rozmawiania na ten temat.

- Moja przyjaciółka Sophie przysłała mi czasopisma o filmach. Żeby mnie rozerwać, kiedy jestem chora. Humdinger mi je przynosi. Idź do szpitala, Zisel, ona mnie błaga.

- Nie myśli nas pani zostawić, prawda, pani Mendelbaum?

- spytałem zaniepokojony. - Przed ugotowaniem świątecznej kolacji?

- A o co chodzi z tym... jak mu tam... buszem Noego? Przyrzadzić busz? Chce pan, żebym ugotowała drzewa? Co to za dziwny gojsze rytuał? - wychrypiała pani Mendelbaum, zatykając uszy rękoma. Wydawało się, że mówi bardziej do siebie niż do mnie. - Te walce znów grają w moich uszach... Och, proszę sobie iść... Znów słyszę walce wiedeńskie. Ach, idź, idź... Kabaret forsztelung w mojej głowie. Idź!

- Biedna kobieta majaczy - powiedziałem, wychodząc i zamykając drzwi. Potem, po chwili namysłu, wsunąłem przez szczelinę jadalospis. Będzie go mogła przestudiować. r#

### **PAWI MENDELBAUM**

Czy ja popadam w szaleństwo? Myślę, że zdrowieję, gorączka spadła, zostało tylko trochę kaszlu, ale zaczęłam go widzieć, mojego Anzela, mojego gelibt, i kawiarnię w Wiedniu, gdzie się spotkaliśmy. Nie chodzi o to, że wyobrażam sobie takie rzeczy, że widzę je w pamięci. Nie, moja sypialnia zmienia się w kawiarnię i oto siedzę tu, młoda, elegancka, w mojej nowej czarnej sukience i czarnych pończochach ozdobionych szlaczkiem. Och, takich pończoch nie miałam już nigdy później... Wiedeń to był, pełen intryg... Co za miejsce... Jak przejrzały owoc... Pachnie rzeczami, których jest zbyt wiele, na wyciągnięcie ręki... Stół pełen owoców, co się psują, bo ci, którym wolno je wziąć, mają więcej, niż pozwala apetyt. Wiedeń przeraża moją matkę, wiem, ale ja jestem młoda, jestem świadoma. I nie wygląda na to, żeby cokolwiek groziło młodemu, takim jak ja.

I kiedy znów widzę kawiarnię, tak wyraźnie, zaczynam myśleć po niemiecku, czego nie robiłam od bardzo wielu lat. To było jak jazda na łyżwach po cienkim lodzie - pójście samej do kawiarni, takiej z kawą i papierosami. Mówili, że nie wolno, że mogłabym zniknąć i nikt na policji nie zawracałby sobie nawet głowy. Jak zabawa na środku ruchliwej ulicy, tak to było. Po tym jak matka powiedziała, że ci nie wolno. Właśnie dlatego było to takie ekscytujące. Ale znowu nie aż tak bardzo, bo nie byłam dość ładna, by zwracano na mnie uwagę, i nie miałam odwagi malować się tak, by się wyróżnić, i moja fryzura była zupełnie bez sensu. Włosy zwisały mi wzdłuż pleców i nawet jeśli unosiłam je do góry, nie nabierały kształtu wymyślnej, modnej trwałej. Zdradzały, że dopiero co wyrwałam się z domu mamy,

ale tak naprawdę nie jestem jeszcze kobietą, nie jestem interesująca ani nawet całkiem ładna. Po prostu młoda i niewinna, co przyciągało pewnych typów, ale zawsze potrafiłam ich rozpoznać - zawsze zbliżali się tak, jakby czarne chmury ich zamiarów pulsowały niczym serce bijące tuż pod powierzchnią... Tak, oni gnili od środka i szybko się ich pozbywałam.

Może powinnam była trzymać się z daleka od kawiarni, ale tylko tam mogłam odetchnąć. Nasz dom pękał w szwach od sióstr, braci i innych krewnych, uciekających z miejsc, w których Żydów traktowano jeszcze gorzej. Czasem tak bardzo źle, jak opowiadali nowo przybyli, że nie wiedzieliśmy, czy wierzyć w ich historie. Nad wszystkim roztaczała się aura, ulotna jak dym, złych rzeczy, które mogą się nam przydarzyć. Ja byłam młoda i pełna nadziei i nie chciałam słuchać o tych złych rzeczach, więc kiedy miałam już dosyć, wkładałam swoje najlepsze ubranie i szłam, i siadałam w kawiarni, jakbym mogła znaleźć tam prawdę o własnym szczęśliwym losie. Wiedziałam, że wszędzie dzieją się okropne rzeczy, nie tylko z Żydami, nawet tu, w pokoju na zapleczu kawiarni. Nikt nie usiłował tego ukrywać przed niewinną dziewczyną. Nie, oni uważali, że gdybym nie chciała oglądać podobnych rzeczy, trzymałabym się z daleka od wiedeńskich kawiarni. I było tak, jakby ci, którzy nie muszą się martwić o swój los, wypuścili nagle własne potwory - mogłeś niemal zobaczyć, czym się staną - te straszne warczące głowy, które wzywały im z piersi... Czy wszyscy tacy jesteśmy? Gdyby ojciec nie musiał się w kółko martwić, czy i on znalazłby w sobie potwora? A ja? Gdybyśmy mogli mieć władzę nad innymi ludźmi, czybyśmy z tego korzystali? Czemu nie? Jaka byłaby wtedy różnica między nami a nimi?

Wszędzie panowała albo zębna rezygnacja tych, na których żerowano, albo dziwna ekstaza złowrogich postaci rosnących w siłę. I to szaleństwo, które się rodziło, gdy ludzie próbowali zakazanych owoców, i gdy coraz więcej obcych pukało do drzwi mojej matki z opowieściami o popełnianych gdzie indziej okrucieństwach.

Każdy czuł, jak rośnie napięcie. Nadchodziły złe rzeczy. „Wszystko, co nam zostało, to zycflajsz” - zwykła mawiać zmartwiona matka. Cierpliwość, która może wytrzymać siedzenie w jednym miejscu. Ale ja byłam bardzo młoda i wolałam brzydotę drapieżców niż smutek w domu. Byłam nim zmęczona, wszyscy mówili o ucieczce, ale nikt nie wyjeżdżał. Dlaczego więc nie wyjść i się nie zabawić? I za każdym razem, gdy szłam do kawiarni, coraz więcej mężczyzn patrzyło na mnie - teraz, kiedy zrobili się mniej wybredni. Co mogłam im dać? Zauważyłam, że wzbudzam ciekawość już przez samo przychodzenie, przez samotne przesiadywanie. Wszystko wywoływało zaciekawienie, łechtało tych mężczyzn, przykuwało uwagę, przynajmniej na krótki czas. Nie patrzyliby tak chyba, gdyby - jak przepowiadał mój wuj - nam, Żydom, miały się przydarzyć złe rzeczy. Wtedy mężczyźni w ogóle by mnie nie

widzieli. Wtedy przeszłabym od bycia niewidzianą do niebycia w ogóle, a ja jestem młoda, jeszcze nie zaistniałam i jeśli mam nie istnieć w przyszłości, będę istnieć teraz. Nie będę siedzieć w domu jak mysz pod miotłą.

Pewnego ciemnego wieczoru w listopadzie, zanim świąteczne światła znów rozjaśniły ulice, gdy właśnie dopiłam resztkę kawy z kruchej filiżanki z chińskiej porcelany i zgasiłam papierosa, do kawiarni wszedł mężczyzna. Był niski i schludny, i piękny, z jasnymi oczami, zatrzymał się, żeby zapytać o drogę, ale wtedy mnie zobaczył, więc zamówił kawę i usiadł przy barze, pijąc ją i patrząc na mnie nieśmiało - nigdy wcześniej nie widziałam takich oczu - aż skinęłam na kelnera i również zamówiłam kolejną filiżankę, chociaż miałam już wychodzić.

I wtedy zrobiłam coś, czego dama nie powinna robić - podeszłam śmiało do baru i zaprosiłam tego mężczyznę do swojego stolika.

- Kuzynie! Ty tutaj?! - zwróciłam się do niego, bo kelner zerkał na nas ciekawie. Nigdy dotąd nie byłam tak zuchwała.

- Ach, pamiętasz mnie, swojego kuzyna Anzela, a myślałam, że nie - odparł, niosąc swoją kawę do mojego stolika i podsuwając mi krzesło.

- Tak, ale czy ty pamiętasz swoją kuzynkę Zisel? - spytałam.

- Oczywiście! I pamiętam, jak bardzo lubisz ciasto - rzekł Anzel i zamówił dla nas po kawałku, pozbywając się ciekawskiego kelnera.

A w dalszej części wieczoru pojawił się niewielki zespół i zanim zaczął grać sprośne kawałki, na zewnątrz, ku ulicznemu światłom, wyplłynął dźwięk walców, przyciągając coraz więcej ludzi, aż kawiarnia stała się tłoczna, ale my tego nie widzieliśmy, mój Anzel i ja. Ani tamtej nocy, ani nigdy, dopóki byliśmy razem. A świat odchodził niepostrzeżenie, kawałek po kawałku. Anzel zabrał mnie z Wiednia do Kanady, bo on także wiedział, że zaczną się dziać złe rzeczy i że wkrótce wyjazd będzie trudniejszy, o ile nie niemożliwy. On nie był jak reszta mojej rodziny. Nie chciał po prostu przeczekać. Matka błagała, żebym została z rodziną, aż będą pewni, może wcale nie będzie tak źle, może ludzie przesadzają, ale Anzel był pewien, a ja byłam pewna Anzela. A ponieważ moja rodzina nie chciała z nami jechać, Anzel i ja wyjechaliśmy bez nich i wciąż myślałam, że to ja byłam tą, co nie miała ochoty słuchać ostrzeżeń, ale i tą, co wyjechała, a reszta, która nie mówiła o niczym innym, została. Muszę jednak przyznać, że myślałam o nich niewiele od wyjazdu. Dla mnie całym światem był teraz Anzel.

Wreszcie usłyszałam o swojej rodzinie, całe lata po przyjeździe do Kanady. Wcześniej nigdy ani słowa, zbyt wielu ludzi zmieniło miejsce pobytu, zaginęło, zmarło, nikt tak

naprawdę nie wiedział. Lepiej było czekać, aż wiadomości same dotrą do ciebie, lepiej było nie tracić czasu na myślenie: zbyt dużo możliwości i zbyt strasznych. Przyjaciółka dalekiej kuzynki powiedziała mi ostatecznie, że oni wszyscy zginęli, wszyscy z mojego rodzinnego domu, którzy czekali zbyt długo, zginęli w obozach, przeważnie nawet nie tych samych, ale różnych, daleko od siebie, rozdzieleni. Niektórzy członkowie rodziny, sądziła ta przyjaciółka, skończyli razem, ale nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Słyszała tylko pogłoski, że niektórzy byli razem. Sama też znalazła się w obozie, ale bez rodziny. Tak lepiej, uważała ta kobieta. Tęskniła za bliskimi twarzami, ale szybko się przekonała, że lepiej nie widzieć, jak te twarze znikają. Czuła się samotna, tak, ale lepiej myśleć o bliskich z nadzieją, tak sądziła. A może wcale nie? Może bycie obok dodawałoby otuchy? Och, cóż, bez wątpienia, Zisel, tak czy inaczej, oni wszyscy zginęli. To wiedziała na pewno. Ludzie dzielili się wiadomościami. To było wszystko, co mogli teraz zrobić. Czy to pomagało, czy tylko zarażało rozpaczą? Może oni byli ponad rozpaczą. Czy jest taka granica, po której przekroczeniu wznosisz się ponad rozpacz? Przyjaciółka kuzynki nie wiedziała. Ale ja nie mogłam się nad tym zastanawiać. Zostawiłam rodzinę wiele lat temu, na więcej niż jeden sposobów, i stworzyłam życie z Anzelem. Przyjaciółka kuzynki była zazdrosna, kiedy zobaczyła, jak mało mnie to dotknęło. Powiedziała, że to prawdziwe szczęście tak niewiele się przejmować. Ich zol azoj wisn fun cores. I sobie poszła.

Nawet po tym, jak otrzymałam tę wiadomość, byłam zbyt zajęta, żeby o nich myśleć - o moich martwych rodzicach, o moich martwych braciach i siostrach. Miałam dzieci, jedno po drugim, takie błogosławieństwo, i żyliśmy razem przez wiele lat pod kloszem, bezpieczni w Kanadzie. Takie miało być moje życie już zawsze. Nie przyszło mi nigdy do głowy, że to również przeminie. Nie było nazistów, ale nadal była śmierć. Nie tylko naziści rozdzielają rodziny. Anzel umarł pierwszy, potem moich czterech chłopców, jeden po drugim, rak, wypadek samochodowy zabrał dwóch i wreszcie mój Menachem, mój kadiszeł. Tak jakby wszystko, co nastąpiło od tamtej nocy w kawiarni do ich śmierci, było długim i szczęśliwym snem. Snem, w którym świat jest dobry. Co robiłam ze swoim czasem w dniach ze snu? Karmiłam rodzinę. Wtedy nie wydawało się to wiele, jednak teraz wiem, że było najważniejsze. Zupy, kreplach i knejdlach. Każda rzecz, jakiej nauczyła mnie matka. Sposób łączenia składników, żeby ciasto miodowe było zwarte i lekkie. Wszystkie przepisy, aby żyć tak, jak zostałam nauczona. A jednak wiedziałam, że tą, którą się stałam, byłam nie dzięki przepisom, ale za sprawą Anzela i naszych chłopców. Lecz teraz nie ma nikogo, kto by powiedział: „Ach, tylko Zisel robi taki lekki miodowiec”. Anzel mówił to tak, jakbym tylko ja istniała dla niego na świecie, tak samo jak dla mnie istniał tylko on. Nikt więcej nie wiedział,

co ja robię, a tym bardziej, że tylko ja robię to właściwie, ja jedna. Byłam, kim byłam, bo Anzel na mnie patrzył. Nieprawda, że byłam wspaniała i on mnie taką znalazł. Byłam wspaniała, bo on mnie taką widział. on. Nikt więcej nie wiedział, co ja robię, a tym bardziej, że tylko ja robię to właściwie, ja jedna. Byłam, kim byłam, bo Anzel na mnie patrzył. Nieprawda, że byłam wspaniała i on mnie taką znalazł. Byłam wspaniała, bo on mnie taką widział.

## MARTEN KNOCKERS

- CO TO JEST, jakiś rodzaj szczura? - spytałem Humdingera, bo wyspa była pełna szczurów i teraz wydawało się, że jeden z nich, przemoczony, siedzi na dywanie.

- Nie, to jest pies - odparł cierpliwie Humdinger.

- Co on tutaj robi? - zapytałem w zdumieniu. Pies do tego wszystkiego! Czy my zakładamy minizoo?

- Powiedział pan Jocelyn, że może mieć psa.

- Powiedziałem? Ja powiedziałem? Też coś! Przecież nawet nie jest Boże Narodzenie...

- Nie sądzę, żeby psa należało traktować jak prezent...

- Prezenty! Wie pan, Humdinger, tak się skupiłem na świątecznych ozdobach i akcesoriach, że zupełnie zapomniałem, że ludzie dostają na Boże Narodzenie prezenty. To otwiera przed nami całkiem nowe możliwości, prawda? To znaczy, nigdy nie miałem nikogo, komu mógłbym kupić prezent. Rany boskie, a co na przykład pan chciałby dostać?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Ale musi pan! Musi pan powiedzieć! Ja nie mam pojęcia, czego może pragnąć na Boże Narodzenie wysoki mężczyzna w średnim wieku. Lubi pan krawaty? Nie, pan nosi ten dziwaczny rodzaj kołnierzyka, prawda? Kołnierzyk lokaja, jak sądzę... Nie wiedziałem, że jest coś takiego. Sądzę zatem, że lokaje nie potrzebują krawatów.

- Moim zdaniem krawat to bardzo sympatyczny pomysł na prezent.

- Tak, tak, tak, sądzę, że tak właśnie jest. Ale ja sam go nie chcę. Proszę natychmiast usunąć krawaty z mojej listy, Humdinger. Tak, dobrze, a co z czekoladą? Kobiety ją uwielbiają. Słyszałem, że lokaje także lubią jeść. Większość z nich jest raczej przy kości, czyli po prostu gruba. A z moich obserwacji wynika, że grubi ludzie kochają czekoladę.

- Wielu ludzi kocha czekoladę, to prawda.

- Wie pan, rozmowa z panem jest jak muzyczny duet, Humdinger, kiedy powtarza pan albo parafrazuje główny motyw każdej stancy. Czuję, że powinniśmy przenieść tę

konwersację na grunt muzyki. Czy pan śpiewa, Humdinger?

- Niestety nie.

- Szkoda. Cóż, przypuszczam, że nie ma pan słabości do słodczy, co, Humdinger?

Porządna słabość do słodczy. Załącznik do wielu lokajów.

- Nie powiedziałbym, że słodczy to załącznik do mnie, nie.

- A więc może trochę orzechów makadamii? Ludzie zazwyczaj mają smak na słodkie albo na słone. Stara, dobra czekolada albo orzechy - taki jest wybór, moim zdaniem. Wie pan, przeglądam te świąteczne katalogi z prezentami i najwyraźniej sprzedają tam okropnie dużo orzechów makadamii. Drogich. Nietypowych. Egzotycznych. Z Hawajów. Ale jeśli chodzi o mnie, Humdinger, to Hawaje nie kojarzą mi się z Bożym Narodzeniem. Lei i luau, dziewczyny tańczące hula nie oddają ducha Bożego Narodzenia. To, czego potrzeba, to śnieg i renifer, i jemiola, i mnóstwo, naprawdę mnóstwo ozdób w kolorze śliwkowym. Właśnie tego się pragnie. Tego i Jezusa albo dwóch w stajence.

- Zazwyczaj uważa się, że jeden wystarcza.

- Tak, ale my mamy pieniądze. Sporo. Nie ma potrzeby ograniczać się do tego, co wystarcza, skoro można być rozrzutnym. Będziemy mieli dwóch. W ten sposób nikt nie będzie musiał o nich walczyć. Czy kiedykolwiek widział pan ludzi walczących o Dzieciątka Jezus?

- Nie mogę powiedzieć, że bym widział. - Humdinger zaczął przewracać oczami, ale zaraz przestał. Muszę przyznać, że byłem zdumiony. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby przewracał oczami. To było do niego wysoce niepodobne.

- Och tak, to istny rozlew krwi, zapewniam pana. Patrzę teraz przez długi tunel prowadzący do mojego dzieciństwa.

- Było wiele walk o Dzieciątka Jezus w pańskiej młodości, jak rozumiem? - spytał grzecznie Humdinger.

- Cóż, tak, to się zdarza w najlepszej rodzinie - odparłem.

- Krwawe historie. Moi bracia i ja wykradaliśmy je na zmianę, ukrywaliśmy w mydelniczkach i tego rodzaju miejscach. Doprowadzało to matkę do szału. W ten sposób, widzi pan, jeśli ktoś zapragnie je ukraść, będziemy mieli zapasowe do szopki. W każdym razie jeden Jezus to najwyraźniej za mało. Pozbyli się go dość szybko, czyż nie? Oczywiście i tak trzeba być szalonym, żeby zgłosić się na ochotnika do podobnej pracy, prawda? Mówię serio. Baranek Boży, ha! Kotlety. Oto, co robią z barankiem. Czy był pan kiedyś na wsi w porze, gdy przychodzą na świat owieczki, Humdinger? Te wspaniałe jagniątko biegające po polu, cud wiosny, odrodzone życie... No niestety, nie wysyłają ich potem na wakacje z biurem

podróży Club Med. Takie smutne, a jednak takie smaczne - to powinno być motto ludzkości. Nie uważam się za religijnego człowieka, Humdinger, ale każdy zna tę historię, wierzy pan w nią czy nie. Całe tamto zamieszanie z przybijaniem ludzi do krzyży. Oczywiście Rzymianie robili to bez przerwy. Stała rozrywka weekendowa, jak chodzenie do kina. Wie pan, myślę, że byłby z tego dobry artykuł - o rzeczach, które robią ludzie, żeby rozerwać się w weekend. Oczywiście mam na myśli ujęcie zagadnienia w szerszym kontekście. Weekend rozumiany metaforycznie, tak...

Wyciągnąłem notes i ołówek, żeby naszkicować konspekt tekstu, gramoląc się po schodach. Będę teraz zajęty całymi tygodniami. Kiedy prowadzę badania i piszę nowy artykuł, rzadko z kimkolwiek rozmawiam. Ale za każdym razem, gdy Humdinger przechodził koło szopki, najwyraźniej usuwał drugie Dzieciątko Jezus. Sądzę, że nie żartował, kiedy mówił, że Jedno w zupełności wystarczy. Ja je dokładałem. Zamówiłem Ich całkiem sporo. Świadomość, że zastępczy Jezus jest zawsze pod ręką, nappełniała mnie niewyobrażalnym szczęściem. A gdy odkrywałem, że któregoś brakuje, zdobywałem potwierdzenie tego, co już podejrzewałem: że ludzka natura jest, jaka jest, zawsze ktoś kradnie Dzieciątka Jezus. Aczkolwiek nie mogę winić bliźnich za chęć posiadania własnego Dzieciątka. Prawdopodobnie wszyscy trzymają je w swoich łazienkach, w mydelniczkach. Dzięki Bogu, możemy sobie pozwolić, by każdy miał własne. Ale ten Humdinger to dziwny typ. Widziałem, jak wziął już trzy albo cztery. Zachłanny człowiek. Nikt nie potrzebuje czterech Dzieciątek Jezus, prawda? No cóż, trzeba pozwolić lokajom na ich fanaberie. Dziwacy. Dziwny zawód wybrali. Mam nadzieję, że spodobają mu się jego krawaty.

### **MELINE**

Dopiero na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem stryj Marten, Jocelyn i ja zdołaliśmy zebrać się razem na kolacji. Spadła mi temperatura i znowu jadałam posiłki regularnie. Zauważyłam, że szczeniak chodzi krok w krok za Humdingerem, dając sobie spokój ze mną, bo zawsze spałam, kiedy myszkował w moim pokoju, i z Jocelyn, która przesypiała dnie, a nocą przetrząsała wyspę i po pierwszej wyprawie ze szczeniakiem nie chciała go więcej zabierać w obawie, że się zgubi. Znalazła drugą lotkę i część kadłuba i była bardzo zajęta. Pani Mendelbaum miała dziwnie szklisty wzrok, kiedy ją widywaliśmy, co nie zdarzało się zbyt często. Nie jestem pewna, czy w ogóle zauważyła, że mamy szczeniaka. Ale Humdinger karmił go i wypuszczał na dwór, a potem wpuszczał z powrotem. Najwyraźniej był jedyną osobą, która słyszała jego przenikliwe piski i potrafiła je interpretować. Uczył szczeniaka, by nie załatwiał się w domu, i sprzątał po nim. Wiedział, kiedy jest głodny albo



spragniony, kiedy potrzebuje wyjść na zewnątrz albo kiedy trzeba mu otworzyć drzwi, żeby wrócił do domu. I wreszcie, ponieważ chyba nikt inny o tym nie pomyślał, nadał mu imię.

- Lotka! - usłyszeliśmy, jak woła podczas kolacji. Najpierw sądziłam, że zauważył, jak Jocelyn niesie część samolotu, ale potem sobie uświadomiłam, że przecież ona siedzi ze mną przy stole. Następnie pomyślałam, że może zostawiła coś niefrasobliwie na widoku. Kiedy zrozumiałam, że Lotka to imię, poczułam dreszcz grozy.

- On wie - szepnęłam kuzynce do ucha.

Humdinger był w kuchni. Przygotowywał tacę dla pani Mendelbaum i dopieszczał deser. Dziś były to profiterolki. Jego wypieki zbliżały się do doskonałości. Zauważyłam, że korzysta z wielu książek kucharskich.

- Lotka! - zawołał ponownie. - Kolacja!

Spojrzałam ostro na Jocelyn, żeby sprawdzić, czy do niej dotarło. Dotarło, a jej zazwyczaj wyblakła twarz stała się jeszcze bardziej wyblakła. Usłyszałyśmy, jak szczeniak wpada do środka, i popatrzyłyśmy po sobie. Bardzo się bałyśmy, że jakiś dorosły odkryje, co robimy. Kiedy Humdinger wszedł z naszymi profiterolkami, stryj Marten go zagadnął:

- Słyszę, że nazwał pan szczeniaka Lotką?

- To część samolotu - odparł Humdinger.

- Wiem, co to jest - uciął stryj Marten z surowością tak u niego niezwykłą, że wszyscy zamarliśmy. Odchrząknął i zmarszczył brwi, dodając: - Tak, cóż, wezmę kawę i ciastka na górę. Proszę ustawić wszystko na tacy i zanieść do gabinetu.

Również nie w jego stylu było rozkazywanie komukolwiek, nawet służbie. Robił to tak rzadko, że nigdy nie myślałyśmy wyspa o Humdingerze ani o pani Mendelbaum jak o służących - byli raczej niczym dziwni krewni, którym zdarzyło się wpaść, zostać i organizować nasze życie. Humdinger jednak spokojnie umieścił na odpowiedniej tacy koronkowe podstawki pod naczynia, sztucce, serwetkę, śmietankę, cukier, dzbanek z kawą, filiżankę i paterę z profiterolkami ze srebrną pokrywą. Miałam nadzieję, że stryj doceni wysiłek, który podjął Humdinger, kiedy rozkazano mu zamilknąć i zachowywać się jak lokaj. Moim zdaniem był doskonałym lokajem, podobnie jak kucharzem, gosposią i pielęgniarką.

Kiedy wyszli z pokoju, odwróciłam się do Jocelyn i powtórzyłam:

- On wie.

- Kogo masz na myśli? Humdingera czy stryja? - zapytała Jocelyn, ku mojemu zdumieniu jedząc bez umiaru. Czy wszyscy oszaleli, odkąd się rozchorowałam?

- Humdingera. Ale co to za sprawa ze stryjem? Co tu się w ogóle dzieje?

- Stryj powiedział, że widział, jak wychodzę w nocy, i że powinnam uważać na byka.

Ze zdaniem Humdingera gdzieś tutaj kręci się byk. Potem mnie spytał, co chcę dostać na Gwiazdkę, i ponieważ nic nie przychodziło mi do głowy, powiedziałam, że lutownicę.

- Och, świetnie! Sama nie wymyśliłabym tego lepiej.

- Tak, cóż... - rzekła Jocelyn, próbując zachować zgryźliwy wyraz twarzy. Była ewidentnie zadowolona z pochwały. - Nie potrafiłam opisać części, których bez wątpienia potrzebujemy, ani tych wszystkich narzędzi. Ale pomyślałam, że zechcesz przygotować własną listę prezentów pod choinkę.

- Myślę, że przede wszystkim potrzebujemy wózka.

- Tak, powinnam była mu powiedzieć, że chcę wózek - stwierdziła Jocelyn.

Posmutniała i znów zaczęła wyglądać depresyjnie.

- Ale teraz istotne jest, żebyśmy się zastanowiły, dlaczego Humdinger nazwał szczeniaka Lotką. Bo przecież nie jest to pierwsze lepsze słowo, którego po prostu każdy używa. On musi wiedzieć, że znalazłyśmy lotkę i schowałyśmy w stodole. Musiał słyszeć, jak rozmawiamy. Nic w tym dziwnego - zawsze czai się gdzieś jak kot, nie robi żadnego hałasu, skrada się...

- Jeżeli chciał wiedzieć, co robimy z tymi wszystkimi częściami do samolotu, dlaczego po prostu nie zapytał?

- Bo on wie, co z nimi robimy, i chce, żebyśmy wiedziały, że wie.

- Skąd może wiedzieć?

- Nie mam pojęcia, ale on jest dziwny. Proponowanie miętówek i te sprawy.

- Ja lubię miętówki.

- Hmm - powiedziałam z dezaprobatą, bo nie mogłam wymyślić powodu, dla którego Humdinger nie miałby proponować Jocelyn miętówek, a ona nie miałaby ich lubić. Ale coś było na rzeczy. Dlaczego nie proponował miętówek mnie? Może ona jest z nim w zмовie? Tylko po co?

- W każdym razie, Jocelyn, nic nie mów stryjowi ani Humdingerowi. Choć nie przypuszczam, że stryj się dowiedział o naszych częściach samolotowych, bo możesz sobie wyobrazić, by potrafił utrzymać cokolwiek w tajemnicy? Ale ciągle nie wiemy o nich dwóch masy rzeczy...

- A oni o nas. Nie wspominając już o pani Mendelbaum. Czy mówiłam ci, że raz spotkałam ją w drodze do łazienki, jak sobie nuciła i dziwacznie stąpała, jakby tańczyła z mężczyzną?

- To musiał być widok!

- Owszem. Zresztą nie wiem... To takie pokręcone... Wszystko stało się takie

pokręcone, odkąd zachorowałam...

- Nic nie jest bardziej pokręcone niż wcześniej. Po prostu przez jakiś czas nie miałaś mnie, żeby ci wszystko wyjaśniała.

Jocelyn popatrzyła, jakbym była szalona, i poszła do łóżka, a ja znów zostałam sama z ponurą świadomością, że nie odgrywam już żadnej roli w niczym życiu.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem Jocelyn zaczęła kasłać. Choć właściwie nie był to kaszel, raczej coś w rodzaju odgłosów wydawanych przez szczeniaka, gdy żebrał o uwagę. Podczas posiłków trzymał się kuchni, subtelnie hałasując - skowycząc i warcząc jednocześnie, w sumie brzmiąc tak, jakby niezbyt skutecznie próbował odchrząknąć.

- Och, na miłość boską! - grzmiał stryj Marten. - Czy ktoś może nakarmić tego kundla? HUMDINGER!

- Został nakarmiony - odpowiadał Humdinger, wślizgując się do pokoju z parą mis wypełnionych warzywami. Zawsze przyrządzał co najmniej trzy rodzaje warzyw do każdego posiłku, naiwnie wierząc, że je pochłoniemy.

- No dobrze, czemu więc tak hałasuje?

- Wszystkie psy to robią. Chcą, żeby je karmić przez cały czas.

- Chyba nie wtedy, kiedy nie są głodne - sprostował stryj Marten. - Moje badania wykazały, że pies, jak większość ssaków wychowanych na łonie natury, nie nabywa neurotycznego stosunku do jedzenia właściwego człowiekowi.

- Racja - odparł Humdinger.

- Mój stosunek do jedzenia nie jest neurotyczny - zaprotestowałam. - Chociaż miałam kiedyś w szkole koleżankę, Mariannę, która jadła wszystko, co było w zasięgu wzroku. I inną, która nic nie jadła.

- W ogóle? - spytał stryj.

- W ogóle.

- Niemożliwe. Umarłaby.

- No właśnie. Tak się w końcu stało. Była coraz chudsza, a potem umarła. A potem, jak przypuszczam, zrobiła się jeszcze chudsza.

- Bzdury.

- Nie, naprawdę.

- Musiało być ci bardzo przykro.

- Niespecjalnie. Nie znałam jej dobrze. Po prostu wpadałyśmy na siebie na korytarzu. Ale jej rodzice byli bardzo smutni. I jej przyjaciele. Poszłam na pogrzeb. Cóż, wielu ludzi poszło.

Nawet ci, którzy ledwo ją kojarzyli. I wielu ludzi płakato. Oczywiście łatwo jest płakać na pogrzebach. Ja też płakałam. Nie dlatego, że znałam ją dobrze albo że było mi bardzo przykro. Po prostu dlatego, że wszyscy płakali.

- To podłe - powiedziała Jocelyn.

Nie rozumiałam, co jest podłe. Czasami obiecuję sobie nigdy więcej nie być szczerą.

Potem wszyscy przy stole zamilkli i pomyślałam, że są żałośnie głupi, skoro mają mi za złe, że tak myślałam o śmierci, zanim przydarzyła się naszej rodzinie, oraz to, że odgrzebałam tę sprawę. Ale kiedy rozejrzałam się wokół, zrozumiałam, że popadam w paranoję. Stryj przestał zwracać na cokolwiek uwagę, z powrotem schował nos w książce i zaczął robić notatki, a Jocelyn, która najwyraźniej nigdy nie myślała dłużej niż dwie sekundy o tym, co mówię, przeszła do następnego tematu i zażądała, żebym wyrecytowała jej części samochodu. Tym, jak możecie sobie wyobrazić, trochę mnie zaskoczyła.

- Powiedziałaś, że twój ojciec nauczył cię wszystkich części maszyn, których używałaś. Tak więc rozumiem, że skoro w przyszłym roku zamierzałaś zdawać egzamin na prawo jazdy, on spędził ostatni rok, ucząc cię, jak zbudować samochód.

Wyskoczyć do mnie nagle z czymś takim - to było naprawdę przebiegłe. Nie miałam czasu, żeby wymyślić odpowiedź. Gdybym jakoś nie wybrnęła, mogłaby przyjąć, że nie wiem również, jak zbudować samolot. Chociaż podziwiałam jej spryt, zdenerwowało mnie, że nawet nasz projekt nie może być oparty na zaufaniu. Przysunęłam swoje krzesło i wyszeptałam:

- Nie mogę uwierzyć, że sprawdzasz, co potrafię, po tym jak spędziłaś te wszystkie noce na deszczu. Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu i szukałaś części do samolotu podczas ulewy, skoro nigdy mi nie wierzyłaś? Nikomu nie ufasz? W nic nie wierzysz?

- A więc?

Westchnęłam.

- Cóż, zobaczymy, jest gaźnik i blok cylindrów, głowica i zawór w układzie napędowym, pompa olejowa, tłok, korbowód, sworznie i pierścienie, uszczelki i podkładki, popychacze, kolektor dolotowy, dźwigienki zaworowe...

- W porządku - rzekła szeptem Jocelyn. - Po prostu nie chciałam, żeby się okazało, że spędzam noce na deszczu, wlokąc części samolotu do stodoły na darmo.

Tym razem to ja nie odpowiedziałam. Wstałam od stołu i poszłam do łóżka. Może i czułam się lepiej, ale nadal byłam bardzo chora.

**JOCELYN**

Mój kaszel stawał się coraz bardziej uciążliwy, aż musiałam przyznać, że mimo wielkiej siły ducha, dzięki której powinnam uniknąć wirusów, na jakie zapadają Amerykanie i Kanadyjczycy, naprawdę zmogła mnie grypa, zupełnie jak Meline i panią Mendelbaum. Było mi coraz trudniej wstawać w środku nocy i coraz zimniej, gdy wychodziłam, a po powrocie odnosiłam wrażenie, że już nigdy nie zdołam się rozgrzać. Pewnego dnia, kiedy powlokłam się do pokoju kuzynki, żeby jej powiedzieć o ukośnej metalowej części, którą znalazłam, i Meline kazała mi ją narysować, i oznajmiła, że znalazłam listwę, przewróciłam się na łóżko. Było takie ciepłe i miękkie... Nic dziwnego, że spędzała w nim tyle czasu. Przyszło mi nagle do głowy, że może po prostu zostanę tu i odpocznę.

Meline nie ruszyła się z miejsca. Nadal studiowała mój rysunek. Stwierdziła tylko trzeźwo:

- Jocelyn, masz gorączkę. Zauważyłam to, gdy tylko weszłaś do pokoju. Twoje oczy są zbyt błyszczące. Masz czerwone policzki i wyglądasz na rozpaloną.

- Jak to jest: wyglądać na rozpaloną? - spytałam. Odczuwałam senność i ciepło, zupełnie jak nie ja. Właściwie nie czułam się źle, byłabym nawet całkiem zadowolona, gdybym tylko nadal mogła leżeć w bardzo ciepłym i miękkim miejscu z chłodną poduszką pod głową i już nigdy nie musiała się ruszać.

- Masz iść do łóżka - powiedziała energicznie Meline. - Prawdopodobnie skończy się na tym, że Humdinger sprowadzi lekarza także dla ciebie. Na szczęście ja już zdrowieję i mogę cię zastąpić w poszukiwaniu części do samolotu.

Moja głowa opadła i wylądowała na nodze Meline, która lekko mnie odepchnęła. Wtedy osunęłam się z łóżka na podłogę i znieruchomiałam.

- Ojej - wymamrotała Meline i zaczęła mnie ciągnąć przez korytarz, gdzie na szczęście znalazł nas Humdinger. Gdy zaniósł mnie do łóżka, okazało się, że mam czterdzieści stopni. Doktor Houseman znów przyjechała i powiedziała, że to grypa, ale bez powikłań w postaci zapalenia płuc. Chyba długo rozmawiała z Humdingerem na korytarzu, ale mogę się mylić, bo czas nagle zaczął płynąć inaczej. Meline zniknęła, a ja mimo stanu zamglenia typowego dla gorączki coś zrozumiałam. Ona będzie z całych sił się bronić przed współczuciem dla mnie, dla każdego z nas. Współczucie to zjeżdźalnia prowadząca do przyjaźni. Unikaj wszelkich zjeżdźalni. Unikaj wszystkiego. A potem miałam długie, chore sny o zabawach na dworze i bujawkach, i huśtawkach, i zjeżdźalniach, na które nie chciałam się wdrapywać.

**MELINE**

Jocelyn była mało przytomna. Od czasu do czasu sprawdzałam, czy jest gotowa wyjść na dwór, na deszcz, ale wyglądała na irytująco hors de combat.

W ogóle nic już do niej nie docierało, jak mi się poskarżyła, poza dźwiękami dreptania i chrobotania, które wydają myszy. Ogromne myszy. Najczęściej był to stryj Marten szykujący się do Bożego Narodzenia oraz Humdinger wykonujący świąteczne rozkazy. Poza tym toczyło się normalne życie, ludzie wchodzili i wychodzili, brali przekąski i takie tam i nawet pani Mendelbaum wymykała się na korytarz, żeby rzucić okiem na Jocelyn. Chyba miała do niej słabość. Prawdopodobnie uważała ją za bratnią duszę, ponieważ obie były takie sztywne, humorzaste i trudne w kontaktach. Mówiła, że chce zobaczyć, co z nią, bo nie ufa mężczyznom. Co mężczyźni wiedzą o chorobie? Phi! I kazała Humdingerowi przyrządzać niezliczone talerze rosółu, który, jak wierzyła, jest lekarstwem na wszystko, mimo że Jocelyn nie jadła niczego poza galaretką i lizakami.

Stryj Marten został poinformowany przez Humdingera, że Jocelyn jest chora i że prosiła o lizaki, więc w chaotyczny, typowy dla siebie sposób zaczął wydzwaniać do sklepów spożywczych i zamawiać całe ich kartony. Pilot Sam posłusznie je zrzucał byle gdzie, jak zwykle z pijacką nonszalancją. Część wylądowała w błocie i potem natykaliśmy się na te pudła, a raczej na lepka, zamokłą mieszaninę patyczków i papierków.

- To interesujące, prawda? - zwróciłam się raz do Humdingera, kiedy wyszliśmy na ich poszukiwanie. - Karton rozpuszczonych lizaków może zniknąć, a opakowania pozostają nienaruszone.

- Jak dusza, kiedy opuszcza ciało - rzekł Humdinger.

Myślę, że on ma wytrawne poczucie humoru, które przez większość czasu ukrywa. Nigdy też nie traktuje nikogo bez szacunku, nigdy nikomu nie zaprzecza. Ja nie mogłabym tak żyć. Ten rodzaj cierpliwości łączy się z opanowaniem, a odkąd mieszkam na wyspie, jestem w nieustannym ruchu. Nie znajduje się części samolotów, będąc cierpliwym i opanowanym.

Stryj Marten na całe tygodnie popadł w bożonarodzeniowe szaleństwo. Był jak elf w szlafroku człapiący od pokoju do pokoju. Zaopatrzył się również w długą jedwabną szlafmycę, aksamitny szlafrok i miękkie bambosze, dzięki czemu wyglądał jak Scrooge. Chociaż, oczywiście, był przeciwieństwem Scrooge'a. Przestał wysyłać Humdingera po paczki i zaczął sam przeszukiwać teren. Siedziałam przy kominku, Jocelyn leżała w swojej sypialni, a z głębi korytarza dobiegały ciche, lecz wyraźne pojękiwania pani Mendelbaum. Obserwowałam, jak niewielka, garbata postać stryja przemieszcza się metodycznie tam i z powrotem, rozwieszając girlandy, otwierając mokre kartony pełne świec i owoców, i

cukierków w kształcie wstążek, i porto, i szkła, i bielizny pościelowej, i dywaników.

- Oooo, paćcie, paćcie! - pisał, gdy rozpakował pudło, w którym przybyły specjalne talerze na Boże Narodzenie, ze złotymi obwódkami i malutkimi choinkami. A że chodził, nie tyle stąpając, ile raczej szurając, aby utrzymać na nogach bambosze, wyglądał jak jakiś dziwny, wielki, drepczący gryzoń. Czasami narzucał wełniany szal i płaszcz i szurał po 190 dworze - trzymał jedną parę bamboszy tylko do tego celu. Po powrocie zrzucił je, a Humdinger szybko wkładał kapcie do suszarki, żeby wyschły, na wypadek gdyby stryj Marten zapragnął w ciągu najbliższych minut znów się wypuścić po pudła. Jego wyjścia i powroty były spontaniczne, impulsywne i niemożliwe do przewidzenia. Przypominał małe dziecko, które ma w łóżeczku nowe zabawki, a obok niego pełno cukierków - w obliczu takich pokus nie był w stanie usiedzieć długo w jednym miejscu. Część rzeczy, które rozpakowywał, natychmiast zabierał z naszego widoku, jakbym dbała o to, czy zobaczę moje prezenty przed Gwiazdką. Pewnego dnia przyszedł czas na choinkę.

- Moi drodzy - ogłosił podczas kolacji, podnosząc uroczyście kieliszek porto i nie zauważając, że przy stole jestem tylko ja. Owo „moi drodzy” nie tyle było wyrazem czułości, ile stanowiło werbalny dodatek do wizerunku szczodrego, wiktoriańskiego dżentelmena, który przyjął na święta. - Moi drodzy, nadszedł czas na choinkę. Proponuję, żebyśmy wyposażyli się w siekiery, piły oraz inne niezbędne narzędzia i dokonali wypadu na strome wzniesienie urwiska, tego zalesionego pięknymi i młodziutkimi jedlicami, a następnie wycięli sobie drzewko. Ekspedycja choinkowa jest najważniejszą tradycją w północnoamerykańskich rodzinach.

Byłam pewna, że przeczytał to w jakimś artykule.

- Cóż - powiedziałam, krojąc mięso na kawałeczki i nie spiesząc się z moim oświadczeniem, aby miało choć małą szansę do niego dotrzeć. - Pani Mendelbaum jest przykuta do łóżka, Jocelyn nadal gorączkuje i ja też jeszcze do siebie nie doszłam, ale przypuszczam, że mogłabym się zawlec na urwisko i przytaszczyć drzewko, o ile byłoby bardzo małe.

- Och, nie możemy mieć małego drzewka świątecznego - rzekł stryj, który ze Scrooge'a zmienił się w Doktora Seussa. - Pamiętaj o tym wielkim wózku, który chciałaś dostać. Musimy mieć na niego miejsce pod choinką, prawda?

Na prośbę stryja dałam mu swoją listę świątecznych prezentów. Jeśli uważał za dziwne, że widnieją na niej wyłącznie narzędzia, ciężki sprzęt oraz wielki wózek, dotąd nie dał nic po sobie poznać. Ja natomiast zamierzałam ignorować wszelkie aluzje, póki nie zapyta wprost, po co mi te rzeczy.

- Poza tym będziemy mieli Humdingera. Humdinger, dając głowę, może przytaszczyć wszystko.

Tak więc następnego dnia, opatuleni i objuczeni, ruszyliśmy we trójkę przez łąkę i dalej, na strome wzgórze, ku Urwisku Bożonarodzeniowych Drzewek. Humdinger i ja próbowaliśmy wskazywać mniejsze choinki, łatwiejsze do przetransportowania, które rosły u stóp urwiska, ale stryj Marten wydawał się nastawiony na naprawdę ogromne drzewa, wysokości czternastu stóp, na samym szczycie, i nie potrafiliśmy go od tego odwieść.

- Zrozumcie, mam po prostu całe kartony ozdób, przybywają tu od miesiąca. Oczywiście wiele z nich, cóż, większość z nich się potłukła, gdy została zrzucona z helikoptera. Można by pomyśleć, że będą pakowali je lepiej, prawda? - Kiedy nie odpowiedzieliśmy - ja, ponieważ nie mogłam złapać tchu, a Humdinger, ponieważ wygłaszał wyłącznie grzeczne i miłe uwagi, co narzucało mu pewne ograniczenia - stryj po prostu mówił dalej. - W dzisiejszych czasach...

Znów ani słowa zachęty z naszej strony. Teren był stromy i błotnisty, a jeżeli większość ozdób się potłukła, naprawdę nie miało sensu spędzanie całego ranka na taszczeniu do domu ogromnego, ciężkiego, kłującego i żalosego choinkowego potwora.

- Mam na myśli nowoczesną technologię. Opakowania bąbelkowe i te rzeczy.

W dalszym ciągu milczeliśmy, najwidoczniej ku rozczarowaniu stryja Martena, który sam nie poświęcał uwagi innym, ale czuł się dotknięty, gdy inni ignorowali jego.

- Tak, wiem, nie przypuszczają, że kartony będą zrzucane z helikoptera. Nie biorą tego pod uwagę. Ale czy to naprawdę coś dużo gorszego niż tłuczenie rzeczy po ciężarówkach, pociągach i samolotach? - Cisza. - Nie sądzę. - Cisza. - Naprawdę nie sądzę. Ostrożnie, bo się potkniesz o kadłub samolotu.

Jak w transie brnęłam przez błoto pod górę i zrozumiałam dopiero po kilku sekundach. Obejrzałam się i spojrzałam w dół. Rzeczywiście, nagle zobaczyłam fragment kadłuba wystający spod powalonych drzew, na skraju ścieżki. Potem spostrzegłam, że Humdinger również się zatrzymał, wpatrzony we mnie wpatrującą się w kadłub. Spojrzałam na niego z irytacją i popędziłam na szczyt wzgórza, żeby dogonić stryja, który wreszcie znalazł choinkę swoich marzeń. Stał naprzeciwko niej z rozpostartymi ramionami, jakby chciał ją uściskać.

- Świetnie, zetnijmy to drzewo i zabierajmy się stąd - powiedziałam, chwytając siekiere, lecz Humdinger wyjął ją delikatnie, acz stanowczo z moich rąk i zaczął rąbać sam. Moim zdaniem był naprawdę okropnie nachalny.

Tamtego wieczoru ścięliśmy i przytaszczyliśmy do domu śmiesznie wielką choinkę, a



potem nie byliśmy w stanie przepchać jej przez drzwi, aż Humdinger zdjął je z zawiasów, wpuszczając do środka zimne powietrze. Podczas kolacji musiałam wytrzymać niekończące się rozważania stryja na temat węgierskich bombek z lat trzydziestych, które najwidoczniej postanowił kolekcjonować, to znaczy wydawać tysiące dolarów na to, by zostały zrzucone z helikoptera i rozbite. Potem ulokowałam się bezpiecznie w moim fotelu w kolorze żurawiny przy kominku, z książką i szklanką soku żurawinowego (wszystkie napoje w lodówce były teraz czerwone albo zielone: aktualnie piliśmy limonkowy KoolAid i żurawinę), a stryj krążył dokoła z kartonami pełnymi różnych rzeczy, mamrocząc do siebie i rozpakowując ozdoby, i przygotowując wszystko na przyjęcie, które organizował z okazji przycinania choinki, włącznie z gorącą czekoladą i ajerkoniakiem, i ciasteczkami, i ciastem owocowym, choć nikt nie był głodny po obfitej kolacji. I wtedy właśnie Humdinger podszedł do mojego krzesła, a ja pomyślałam: wreszcie, bo on zawsze skradał się tak za plecami Jocelyn, żeby zaproponować jej miętówkę. Wreszcie proponuje miętówkę mnie. Nie mogłam się doczekać, by powiedzieć o tym Jocelyn, ale on niczego mi nie zaproponował, tylko oznajmił:

- Pozwoliłem sobie uprać i wysuszyć wszystkie mokre ubrania znajdujące się za zamrażarką.

Chciał złapać mnie na przynętę? Próbował mi powiedzieć, że wie, co zamierzamy zrobić z częściami samolotów? Nie mogłam wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi, a on tymczasem już umknął.

„Gdzie moja miętówka?” - pomyślałam.

Akcja przycinania drzewka nie była chyba imprezą, jakiej stryj się spodziewał. Humdinger zmywał naczynia i nosił chorym tace na górę. Stryj spadał z drabiny w gałęzie. Był cały podrapany i pokryty żywicą i z trudem powstrzymywał się od przekleństw - choć puszczały mu nerwy, tak że w rezultacie wykrzykiwał rzeczy typu „psiak!” - przez szacunek dla mnie, jak przypuszczam, mimo że ja spędziłam dość czasu z ojcem oraz jego przyjaciółmi pilotami i mechanikami, aby uodpornić się na brzydkie wyrazy. Wreszcie, doprowadzona do ostateczności, poszłam na górę do pokoju Jocelyn, zostawiając Humdingera i stryja z zaledwie siedemdziesięcioma czy osiemdziesięcioma bombkami do zawieszenia i coś około pięćdziesięcioma do zbiccia. Usiadłam na łóżku śpiącej kuzynki i powiedziałam:

- Na Urwisku Bożonarodzeniowych Drzewek jest kadłub samolotu. A przynajmniej jego część.

Oczywiście pytanie brzmiało, jak wiele wywęszył Humdinger.

- Nie potrafię wyjaśnić, skąd miałby wiedzieć, co planujemy. Przecież nikt nie może się spodziewać, że dwie dziewczyny zbudują samolot i po prostu odlecą. To byłoby

absurdalne założenie - oznajmiłam.

Przyniosłam miskę orzechów do pokoju kuzynki. Siedziałam na brzegu jej łóżka, zgniatając je i jedząc. Jocelyn, w stanie podobnym do śpiączki, nic z tego nie słyszała, ale było mi wszystko jedno. W rzeczywistości nawet to wołałam.

Nie prowadziłam dziennika, toteż przewietrzenie myśli, wygadanie się przed uspioną Jocelyn przynosiło mi bezbrzeżną ulgę. Przyłapałam się nawet na tym, że pragnę, aby kuzynka, jeśli już musi wyzdrowieć, zapadała regularnie w stany przypominające śpiączkę. W takich okolicznościach można mówić do drugiej osoby bez męczącej konieczności odwzajemniania się uwagą.

- W każdym razie lepiej szybko się pozbieraj. Nadchodzi Boże Narodzenie i najwyraźniej stryj ma duże oczekiwania. Myślę, że może przywiązać cię do krzesła w pozycji wyprostowanej, jeżeli nie dasz rady usiedzieć samodzielnie.

## JOCELYN

Byłam świadoma, że nadchodzi Boże Narodzenie, ale miałam nadzieję, że mi je odpuszczą. Czułam się coraz gorzej. Wiedziałam, że moje włosy są brudne. Zwiślały w długich, tłustych strąkach, ale nie miałam siły ich umyć. Nie mogłam znieść myśli o zimnie w wannie albo pod prysznicem, nim ciało przywyknie do zmiany temperatury. Było wystarczająco źle, kiedy musiałam wyjść z łóżka i skorzystać z toalety - moje stopy dotykały podłogi, zużywałam masę energii na włożenie szlafroka i przejście korytarzem. A gdy kasłałam, czułam, że moje płuca zaraz się zapadną, zwiną i zgasną. I myślałam, że to byłoby najlepsze rozwiązanie...

Pewnego razu, o trzeciej nad ranem, kiedy okropnie kasłałam i rozpaczliwie próbowałam odpędzić wspomnienia o matce opiekującej się mną, gdy chorowałam w przeszłości, pomyślałam, że teraz nie ma już zupełnie nikogo, kto przyszedłby się omnie zatroszczyć. Nikogo, kto naprawdę by się przejmował. A w sytuacji, gdy nikt się tobą nie przejmuje, skąd brać siłę, żeby przejmować się samemu? Czy takie przejmowanie się ma w ogóle sens? Prawdopodobnie nasza siła w dużej mierze wyspa pochodzi od ludzi, którzy nas kochają. A ja wiedziałam, że nikt mnie tu nie kocha. Niewykluczone, że lubi, ale nic więcej. Opuściłam rozpaloną głowę na chłodną poduszkę i postanowiłam odejść w milczeniu, kiedy nagle usłyszałam pukanie do drzwi.

Drgnęłam, usiadłam prosto i wstrzymałam oddech. Kto to mógł być? Nie Meline. Meline nigdy nie puka. Zupełnie jakby matka usłyszała moje myśli. Czy mogłaby tak po prostu do mnie przyjść? Przez te wszystkie miesiące miałam nadzieję, że znajdzie sposób. Że

pokona samą śmierć, gdy będę jej potrzebować. Ale czy duchy robią hałas? Cóż, teoretycznie... w końcu istnieją 198 poltergeisty.

- Och, proszę, proszę... - wychrypiałam błagalnie, wkładając w to zaproszenie całą bolesną nadzieję, jaka mi jeszcze została, ale to nie moja matka weszła przez drzwi i po raz kolejny poczułam, że wszechświat perfidnie mnie oszukał. To była pani Mendelbaum.

Miała na sobie czarny szlafrok. Kto kupuje czarne szlafroki? Czerń jest kolorem pogrzebu, a pogrzeb i strój kąpielowy do siebie nie pasują. To wydawało się dziwne i niestosowne, zwłaszcza dla kogoś takiego jak pani Mendelbaum, którą człowiek spodziewałby się zobaczyć raczej w czymś landrynkowo-różowym. Tak trudno było się zmagać z utratą pociechy i nadziei, a teraz musiałam jeszcze stawić czoło niestosowności i dziwactwu... Nie można być pewnym nikogo, nawet domownika. Okazuje się, że nie jest taki, jak myślałam. Zmienia się, korzystając z twojej nieuwagi. Osłabiona opadłam na poduszki i zaczęłam gapić się w sufit.

- Złyszałam dzie! - oznajmiła pani Mendelbaum. - Gazłałaś ogropnie.

- Wiem. Przepraszam - odparłam, w rzeczywistości marząc, by zostawiła mnie w spokoju.

Ale pani Mendelbaum podeszła do mnie powoli. Jej drobne, artretyczne kroczki i czarny szlafrok sprawiły, że wyglądało to na rodzaj dziwnego religijnego obrzędu.

- Brzyniozłam dzi trochę zwojego legarstfa.

- Och - powiedziałam. - Dziękuję, ale to tylko grypa. Nie biorę niczego poza tylenolem.

- Tak, wiem, mejdele - rzekła pani Mendelbaum. - Oj, ci dogdorzy, oj, ci meszczyźni. Nie masz nigogo, gdo by się odziebie zatrozdzył, prawda? Es iz a szand far di kinder. Gdyby tu była tfoja matka, dałaby dzi to legarstfo. Matka wie. Jest na gaszel. Zaśniesz. Nie poprafi dzi się, jeśli spać nie będziesz...

- No nie wiem - powiedziałam wymijająco. Nie chciałam być nieuprzejma i nie miałam siły na dyskusję, ale nie mogłam tak po prostu połknąć czegoś, co wciskała mi ta stara kobieta. A jednak ona w to wierzyła. Lekarstwo wyglądało jak gęsty czarny atrament. Meline ma rację, brak mi zaufania. Ale niby dlaczego miałyby być inaczej?

- Sama to biorę. Czy nie czuję się lepiej? A fięc, jak to mófią, działanie sprafdzone f lektyce.

- W praktyce - poprawiłam odruchowo. - Może pani zostawić to na stoliku. Bardzo dziękuję...

- Nie, dam dzi deraz. Jedna dafka deraz. Jedna f nocy, jeśli będziesz jej poczebowała.

Ale tylko jeśli będziesz poczebowała tylko f nocy. Nie zostało mi wiele, a to sprawi, że usniesz. Dostałam sześć budelek, ale ja sama też poczebuję. Moja przyjaciółka Sophie, ona zna to ze sztetlu. Polskie lekarstwo.

Nie byłam w stanie myśleć. Zresztą co za różnica? W najgorszym wypadku ta mikstura mnie zabije. Może moja matka sprowadziła tę dziwną kobietę... Może miałam zostać zabita tu, w środku nocy, przez panią Mendelbaum, żeby mogła dołączyć do matki... Wzięłam więc łyżeczkę czarnego gluta, a ona wytarła potem tę łyżeczkę w swój szlafrok. W oszołomieniu przemknęło mi przez myśl, że może od tego stał się czarny. Ile razy pani Mendelbaum brata to lekarstwo, a następnie wycierała w niego łyżeczkę?

- Topsze, topsze. Teraz odpoczyfaj. Zaśnij, mój mały aniołku. Kiedyś miałam sfoje fłasne aniołki...

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że zaczęłam płakać, bo zrozumiałam, że pani Mendelbaum nie daje lekarstwa mnie. Daje je swoim własnym dzieciom, jakby ten akt miłości mógł ją przenieść do utraconego czasu. To swoje dzieci chciała wyleczyć i przywrócić do życia...

Postawiła butelkę z syropem na moim stoliku nocnym i wyszła. Przez moment wpatrywałam się w ścianę. A potem... Co takiego zaczęłam czuć? Mokłą ziemię... Przegrzane, zawiesiste powietrze, pełne życia, gęste mgły dżungli... W głębi duszy miałam świadomość, że nie jest to po prostu efekt gorączki. To była jakaś narkotyczna wizja wyzwolona przez miksturę na kaszel. Czułam się jednocześnie ociężała senna i zupełnie wybudzona. Słyszałam, jak wielkie, ciężkie liście palm ocierają się o okna, a kota pociągu turkoczą niczym wielkie kopyta galopujące po starych szlakach... Turkoczące tutaj przez dżunglę, turkocząco turkoczące tutaj...

- Och nie - wymamrotałam, bo nagle zrozumiałam, co się za chwilę wydarzy. Potem to poczułam, rękę matki na moim ramieniu. Poglądziła je i powiedziała:

- To już nie potrwa długo, Jocelyn, kochanie, zaraz będziemy na miejscu.

Westchnęłam i wtuliłam się w miękkie ciało matki, i poczułam lekki zapach jej talku i ulotną, pudrową woń jej dezodorantu. Usadawiłam się wygodnie i odwróciłam lekko głowę, żeby popatrzeć przez okno na dżunglę. Od czasu do czasu pojawiała się polana i widziałam wioskę lub ognisko, kobiety, które robiły pranie, opierając stopy o kamienie w korycie rzeki, z kolanami rozstawionymi nieco szerzej niż stopy, w doskonałej równowadze, pochylone. Tłukły i wykręcały, tłukły i wykręcały ubrania, pokorne i niespieszne w swojej pracy. Taki był rytm ich życia, podczas gdy moje życie i przyszłość pędziły w dół po torach.

## MELINE

Następnego ranka weszłam do sypialni Jocelyn bardzo z siebie zadowolona.

- Obudź się - powiedziałam. Miała matowe włosy, a część kosmyków przywarła do jej ust, sklejona zaschniętą śliną oraz jakąś czarną substancją. Jocelyn wyglądała, jakby ktoś wyciągnął ją prosto z bagna.

- Ccco? Jestem chora. Idź sobbbie - wyjąkała.

- Nie będziesz chciała, żebym sobie poszła, kiedy usłyszysz, co znalazłam.

- Będę, słowo honoru, idź sobbbie - rzekła Jocelyn, zaciskając powieki, jakby w ten sposób chciała mnie odpędzić.

- Och, przestań i OBUDŹ SIĘ! - warknęłam. - Nie jesteś aż tak chora. Nie jesteś nawet tak chora, jak chora byłam ja. Powtarzam ci, co powiedziała lekarka.

- Gorączka - powiedziała Jocelyn. - Grypa.

- Jocelyn, UWAŻAJ! Znalazłam... KOK... PIT!

Jeśli w ogóle przejmowała się naszym planem, taka wiadomość musiała napęłnić ją entuzjazmem.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła Jocelyn. - Nic a nic.

Tym razem nakryła głowę poduszką, nie reagując nawet na moje szturchnięcia.

- No dobra. Nie ma z ciebie żadnego pożytku, gdy jesteś chora, Jocelyn. Mówię ci. Naprawdę, żadnego pożytku!

Zbiegłam po schodach i zaczęłam chodzić tam i z powrotem.

Teraz, kiedy czułam się lepiej, nie wiedziałam, co z sobą począć. Gdyby Jocelyn była zdrowa, mogłybyśmy zacząć składać części samolotu, ale sama nie umiałam tego zrobić. Albo mogłybyśmy spróbować zaciągnąć kokpit do stodoły... Być może potrzebowałybyśmy wózka. Nie mogłam uwierzyć, że zaszłyśmy tak daleko, a Jocelyn po prostu leży z gorączką, udając, że o nic nie dba. Kokpit to takie ważne znalezisko! Przypuszczam, że zdołałabym się do niego wślizgnąć i sprawdzić stan przyrządów. Z pewnością stryj się pomylił w kwestii pozbawienia samolotów wszystkich instrumentów nawigacyjnych... Przecież on nie ma pojęcia o samolotach, a cała ta historia to tylko przypuszczenia. Nie mogłam się doczekać, żeby zajrzeć do środka, ale powstrzymywała mnie obawa, że wszystko się poprzewraca i jeszcze bardziej uszkodzi. Chciałam zabezpieczyć części, zanim tam wejdę. Na razie kokpit był zaklinowany pod paskudnym kątem między pniami drzew.

Wreszcie postanowiłam sporządzić spis rzeczy, które mogłabym teraz robić - które przynajmniej dałyby mi złudzenie, że jestem zajęta. Siedziałam na krześle przy kominku,

kiedy przemknął za mną Humdinger. Bardziej go poczułam, niż zobaczyłam. Z pewnością go nie usłyszałam. Czekałam w napięciu, ale nie. Żadnej miętówki. Podejrzywałam, że dzieje się tak, bo w odróżnieniu od Jocelyn nie mam w sobie uroku bezpańskiego stworzenia. Zdążyłam zaobserwować, że śliczne dziewczyny zawsze dostają wszystko, łącznie z sympatią i, jak się wydaje, także miętówkami, i że jeśli jesteś brzydka, wciąż musisz udowodniać, że nie idzie to w parze z brzydką osobowością, tak więc trzeba w sobie rozwinąć ujmujące usposobienie i zainteresowanie innymi ludźmi. Ale ja już dawno temu uznałam, że szkoda zachodu. Nie będę się wdzięczyć do każdego idioty.

W kolejny szary dzień wyciągnęłam spis rzeczy do zrobienia. Nie pamiętałam, że to bożonarodzeniowy poranek, aż usłyszałam dzwony... Ponieważ nie mieliśmy na wyspie żadnych kościołów, ubrałam się i zaczęłam przeszukiwać dom. Dźwięk zdawał się dobiegać z gabinetu stryja. Popchnęłam uchylone drzwi. To był jakiś program, który stryj zainstalował w swoim komputerze.

- Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry! - zawołał jowialnie, pędząc korytarzem, w swoich bożonarodzeniowych bamboszach z haftem w kształcie ostrokrzewu. Westchnęłam i przewróciłam oczami. Świątowanie bez wątplenia już się rozpoczęło. To będzie długi dzień. - Słyszałaś dzwony?! Cudownie, cudownie! Czy kosztowałaś już dań z bożonarodzeniowego bufetu? Nie? Znajduje się w hallu jadalnym, oczywiście.

Najwyraźniej w tym krótkim czasie, którego dzwony z Notre Dame potrzebowały, żeby obudzić cały dom, nasza jadalnia zmieniła się w hall jadalny...

- Bekon, jajka, szynka, rostbef, żadnych gęsi, naturalnie. Nie możesz dostać gęsi, bo będzie na kolację.

- No nie wiem, bardzo liczyłam na gęś na śniadanie - rzekłam.

- Ho, ho, ho! Nie ma to jak odrobina bożonarodzeniowego humoru... - wspaniałomyślnie odparł stryj. - Teraz muszę dokończyć wypychanie skarpet. Chcę, żeby każdy miał swoją skarpetę przy kominku... Przy kominku... Obudź psa i kota, dla nich też jest mnóstwo prezentów.

Miałam wizję osaczenia zwierząt, szczeniaka i kotki, prowadzących własny, niezależny tryb życia, i przygwożdżenia ich do podłogi przed kominkiem. Poranek zapowiadał się interesująco. Winszowałam sobie w duchu, że mam już dość siły, aby to wszystko znieść.

Na palcach zesłam na dół. Potem, kiedy siedziałam samotnie w pogrążonym w półmroku hallu jadalnym z talerzem bekonu i jajkami, spokojnie obserwując kurz tańczący w wątlmym strumieniu światła, podczas gdy deszcz walił jak zwykle w dach, na dół zszedł stryj

Marten, odświętnie ubrany. Zrozumiałam, że nie będzie mi dane snuć się w piżamie w jego bożonarodzeniowym scenariuszu. Nic nie powiedział, ale już wcześniej zamówił suknię z zielonego aksamitu, którą wczoraj Humdinger położył na moim łóżku. Powlokłam się z powrotem wyspa na górę. Suknia mniej więcej pasowała, bo miała jakiś średniowieczny krój - długa prawie do ziemi i szeroka na jard w talii.

Kiedy znów zeszłam do jadalni, stryj spytał:

- A gdzie są pozostali? To przecież Boże Narodzenie!

Humdinger stał obok niego przed kominkiem, obaj popijali coś gorącego ze srebrnych czarek. Świątecznym strojem Humdingera był smoking, ale nadal z tym dziwnym kołnierzykiem lokaja. Humdinger był jak zawsze opanowany, a stryj drżał z ekscytacji.

Poszliśmy po Jocelyn i zakłopotaną panią Mendelbaum.

- To nie moje święto, bał tojre! Loz mich cu ru. Jestem Żydówką - protestowała bezskutecznie. Nie wiem, co powiedział Humdinger, żeby przekonać ją do zejścia, ale pojawiła się, jakby skruszona, w czymś, co, jak sędzę, było jej najlepszą sukienką - paskudnej kreacji w ogromne pomarańczowe kwiaty. Stryj Marten popatrzył na ten strój z konsternacją. Na pewno gorzko żałował, że nie podarował jej bożonarodzeniowej sukni. Gryzła się z całą tą zielenią i czerwienią w odcieniu żurawiny. Ale zawsze jest następny rok! Jocelyn wciąż miała trzydzieści dziewięć stopni, więc Humdinger zniósł ją na dół w piżamie, zawiniętą w koc.

- Nie w sukni? Żadnej świątecznej ozdoby? - spytał stryj Marten.

- Żadnej - odparł stanowczo Humdinger.

- Jest pan pewien? - upewnił się stryj, po czym spojrzał na rozpalone policzki Jocelyn i westchnął z rezygnacją. - No dobrze, w porządku. Szkoda. To byt naprawdę ładny czerwony aksamit. Ale nieważne. Zresztą może będzie bardziej pasował do Meline. Tak, naprawdę uważam, że z tych dwóch czerwona suknia jest ładniejsza. Meline, może chciałabyś czerwoną suknię?

- Nie sędzę, żeby suknia przeznaczona dla mnie była na nią dobra - rzekła Jocelyn, udowadniając, że nawet na progu śmierci może ferować wyroki.

- Jeśli jest w tym samym stylu, co moja, będzie pasowała na każdego. To jak obrus z rękawami - powiedziałam, siadając z plaśnięciem na jednym z obecnie już pięciu foteli przy kominku. Stryj Marten najwidoczniej nie mógł się powstrzymać od kupowania foteli, a Humdinger musiał wnieść te ostatnie całkiem niedawno. Nadal były wilgotne po zrzuceniu z helikoptera.

-1 zwierzaki! - zawołał stryj Marten, klaszcząc, a potem zacierając ręce. - Gdzie jest tych dwoje... Zaraz, jak one się nazywają?

- Lotka i Kicia - rzekł Humdinger, który wiedział to jako jedyny. Nawet ja nie miałam pojęcia, jak nazywa się kotka.

- Kicia? Hmm, nie nazwałbym tak kotki - stwierdził stryj.

- Nie rozważa pan przypadkiem nowego imienia? Może coś z Szekspira? Pomyślmy razem o jakimś dobrym imieniu. Wszystkie koty powinny mieć imiona z Szekspira, jeśli w ogóle muszą się nazywać. Ale skoro rozważamy już tę kwestię: po co kotom imiona? Nie przychodzą, kiedy je wołasz. Jednak jeśli naprawdę zachodzi taka konieczność, dlaczego nie Porcja? Twoja kolej - oznajmił, zwracając się do mnie.

- Julia - powiedziałam.

Następnie stryj Marten wywołał do odpowiedzi Jocelyn.

- Romeo - oznajmiła.

- Ależ to jest kotka, kochanie - rzekł stryj.

Zazwyczaj nie używał zwrotów pełnych czułości, jednak bądź co bądź było Boże Narodzenie.

- A zatem Piastunka - odparła i wzdrygnęła się, jakby dla lepszego efektu.

- Piastunka? - spyaliśmy wszyscy jednocześnie.

- Czy nie było Piastunki w tej sztuce? Przykro mi, ale to jedyna sztuka, jaką znam, i naprawdę proszę: czy nie moglibyście zostawić mnie w spokoju?

Powiedziała to wszystko na jednym oddechu, a my zgodnie odwróciliśmy wzrok. Czy ktoś tu wspominał o dziwactwach?

- No cóż, teraz pani, pani Mendelbaum.

- Kto tam się zna na Szekspirze? Me ken brechn, nie będę wymyślała imienia dla pańskiego farkukt kota - odparła pani Mendelbaum i zjadła herbatnika.

Żadne z nas nie próbowało protestować. Jednak było jasne, że stryj Marten nie zwolni jej ze świętowania Bożego Narodzenia ani z żadnej ceremonii nadawania imion, jaka mogła jeszcze mieć miejsce.

- Rozumiem. Humdinger? - spytał stryj.

- Kicia - rzekł Humdinger i w ten sposób zakończył grę.

Pogratulowałam mu w duchu.

- Cóż, może lepiej zajmijmy się skarpetami. Tak, skarpetami! Humdinger, pomóż mi, stary chłopie.

Lokaj podążył za stryjem do łazienki na trzecim piętrze, gdzie ten, jak powiedział nam później z błyskiem w oku, wypełnione podarunkami skarpety ukrył w koszu na brudną bieliznę. Przynieśli je i zaprezentowali jedną po drugiej z namaszczeniem. Widziałam, że stryj



jest dumny. Miał nawet jedną skarpetę dla siebie, którą na jego polecenie wypchał upominkami Humdinger po opanowaniu sztuki korzystania z komputera i internetu. Ku mojemu zaskoczeniu Humdinger nigdy wcześniej ich nie używał. Zamówił różne rzeczy według własnego uznania, wybierając to, co mogłoby się spodobać pracodawcy. Oczywiście stryj za wszystko zapłacił.

- Wyciskacz do czosnku, bardzo rozsądny wybór, jaśnie panie - rzekł Humdinger, wyciągając prezenty ze swojej skarpety. Żadne z nas nie znało protokołu. Czy mieliśmy rozpakowywać skarpety kolejno, wydając okrzyki zachwytu nad cudzymi prezentami? Gdy tak siedzieliśmy, bawiąc się rzeczami leżącymi na wierzchu i patrząc na innych kątem oka, żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy zbyt podnieceni albo zbyt niechętni, stryj Marten rozwiązał dylemat, przedzierając się przez zawartość swojej skarpety w zastraszającym tempie, nie komentując niczego i ciskając za siebie prezenty, które ułożyły się w wielki stos. Wydawał przy tym wstrzemięźliwe „ummmm” oraz „ach”, aż wreszcie zawołał:

- Wszystko w porządku! Przejdźmy do gier!

Potem zauważył, że inni jeszcze nie rozpakowali skarpet, i z niecierpliwością dał znak, żebyśmy się za to zabrali, bo tracimy czas.

Przejrzałam zawartość swojej skarpety. Było w niej mnóstwo nieprzydatnych rzeczy, zdumiewająco skomponowanych, jak gdyby stryj zamówił towary z różnych katalogów, nie zwracając uwagi na to, co i komu ofiarowuje. Pani Mendelbaum dostała lokówkę, shakera do koktajli, grę Zgadnij, kto jest mordercą oraz (mogłam jej tylko współczuć) raczej nieprzydatny zapas gumy do żucia.

Jocelyn bezceremonialnie wytrząsnęła skarpetę, tak że zawartość, całkowicie przez nią zignorowana, po prostu wypadła na podłogę. Dostała, z tego, co mogłam zobaczyć, ciężarówkę-zabawkę, kilka paczek cukierków udających papierosy oraz pieczęć - nie zdołałam odczytać, z jakim napisem, ale prawdopodobnie była to nazwa Zingle Company. Tak więc gdyby kiedykolwiek potrzebowała papeterii z logo Zingle, była przygotowana. Skarpeta Humdingera najwyraźniej zawierała wyłącznie krawaty oraz, oczywiście, praktyczny wyciskacz do czosnku. W mojej znalazł się flet, zestaw gumowych piłeczek, których przeznaczenie było dla mnie niejasne, trochę naklejek na bagaże i kilka paczek herbaty. Zaproponowałam pani Mendelbaum herbatę, ale stryj wrzasnął:

- Żadnej WYMIANY!

Pani Mendelbaum powiedziała, że i tak nie chce herbaty, i zgrnęła swoje rzeczy, które moim zdaniem były jej zupełnie niepotrzebne. Ułożyła je w stosik na kolanach i przywarła do prezentów zaborczo, obrzucając nas przy tym gniewnym spojrzeniem, jakby

mówiła: „Tylko spróbujcie mi je zabrać!”

- Co to za gry? - spytałam podejrzliwie.

- Bożonarodzeniowe - odparł stryj, znów klaszcząc. Z początku wydawało się, że jego klaskanie to szczególnie drażniący tik świąteczny, ale potem zauważyłam, że zapala ono i gasi lampki na choince. Stryj zainstalował jakieś specjalne urządzenie i najwyraźniej nie mógł przestać się nim bawić.

Tak więc Humdinger posłusznie rozdał nam papier i długopisy i zostaliśmy zmuszeni do szarad i łamigłówek. Nagrodami były rzeczy z cudzych skarpet. Kiedy ktoś wygrywał, stryj po prostu brał jakiś przedmiot spośród prezentów i wręczał zwycięzcy. Za pierwszym razem, gdy usiłował zabrać coś pani Mendelbaum, popatrzyła na niego w taki sposób, że więcej nie próbował. A kiedy wyczerpaliśmy wszystkie pomysły na kalambury, stryj zaczął przesuwać nasze fotele i ogłosił, że będziemy grać w komórki do wynajęcia. Właśnie wtedy Humdinger oznajmił, że podano lunch.

- Och nie, nie teraz, lunch na pewno może poczekać! - zaproponował stryj, ale słowa „flan jest temperamentny” stanowiły jedyną satysfakcję, jaką otrzymał od Humdingera. Lokaj tak błyskawicznie posprzątał po śniadaniu, jak tylko pozwalał mu na to smoking.

Była dopiero dziesiąta rano, lecz nikt się nie dziwił. Usiedliśmy przy stole, nawet Humdinger i pani Mendelbaum. Jocelyn, ze swoją żelazną dyscypliną, jakoś zdołała utrzymać wyprostowaną postawę przez cały świąteczny posiłek, który składał się, zgodnie z jadłospisem ułożonym przez stryja, z sałatki z selera, jakiegoś flanu oraz zielonej galaretki uformowanej na kształt wieńca z eksplodującymi cukierkami cynamonowymi oraz rozetkami ze zmrożonej bitej śmietany w spreju.

- Kobięce pisma online są źródłem masy przepisów - oznajmił radośnie stryj. - Trochę sałatki z selera? - zapytał Jocelyn, która zadrżała mimowolnie.

Zapadła cisza, gdy spojrzeliśmy na wiktuały znajdujące się na naszych talerzach. Każde z nas, poza panią Mendelbaum, musiało myśleć o świętach Bożego Narodzenia z przeszłości.

- Lekki lunch - rzekł stryj.

Przez cały obiad czytał książkę o życiu Einsteina (jeden ze skarpetowych prezentów od Humdingera) i tylko z rzadka odrywał od niej wzrok. Potem Jocelyn zaczęła błagać, żeby pozwolono jej iść na górę i uciąć sobie drzemkę, a Humdinger przypomniał, że ona nadal jest chora, podobnie jak pani Mendelbaum, i że być może wszyscy powinniśmy zrobić sobie przerwę w świętowaniu, aby każdy mógł na nowo pozachwycać się zawartością swojej skarpety w zaciszu własnego pokoju.

- Znakomicie. Wyśmienita sugestia i bez wątpienia w duchu dzisiejszego dnia - stwierdził stryj i zgarniając swoje skarby, jako pierwszy ruszył na górę. Wszyscy wydaliśmy zgodne westchnienie ulgi i pomyślałam, że Jocelyn zaraz zemdleje, ale gdy Humdinger podszedł jej pomóc, z niechęcią machnęła ręką, żeby się odsunął. Poszła na górę, zostawiając nieprzejrzaną kupkę swoich prezentów przy kominku. Humdinger je pozbiierał i zaniósł do jej pokoju. Usłyszałam, jak Jocelyn coś mu odburkuje. W tych dniach zawsze była w kłótliwym nastroju, jak ktoś, kogo przedwcześnie wyrwano z głębokiego snu.

Dzwoneczek zaczął nas przywoływać o trzeciej po południu. Staraliśmy się ignorować ten dźwięk, ale stryj nie dawał za wygraną, wołając:

- Czas na PREZENTY!

„Och, Boże, daj mi siłę” - pomyślałam, wyobrażając sobie cierpienia, których doświadczyliśmy w związku ze skarpetami, tyle że zwielokrotnione. Potem przyszło mi do głowy, że w zasadzie dałyśmy mu listę, więc jeśli się jej trzymał, wśród prezentów są narzędzia, których będę potrzebowała do zbudowania samolotu, i niewykluczone, że zacznę pracę nawet tej nocy. Podekscytowana zbiegłam ze schodów.

- Ach, odrobina entuzjazmu na myśl o prezentach, znakomicie, znakomicie! - wykrzyknął stryj. Humdinger już był na dole. Stryj Marten znów zadzwonił kilkakrotnie, aż wreszcie musieliśmy powtórzyć nasze poranne działania. Humdinger udał się po panią Mendelbaum. Ja poszłam po Jocelyn, która mimo drzemki nadal była nie w sosie. wyspa

- Nie chcę iść na dół. Nie chcę spędzać Bożego Narodzenia. z obcymi ludźmi - oznajmiła.

Wyartykułowała to, co czuł każdy z nas, ale zirytowały mnie te myśli ubrane w słowa. Co takiego zyskała, wypowiadając je na głos?

- Chodź na dół. Im prędzej rozpakujesz swoje prezenty, tym prędzej będę mogła zacząć budować samolot - przypomniałam.

- Och, na litość boską... - jęknęła, ale pozwoliła się zaciągnąć do zarezerwowanego dla niej fotela. Usiadła z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, patrząc w ogień. Pani Mendelbaum, jak sądzę, strzeliła sobie małego drinka na osobności i wyglądała teraz na nieco wstawioną i nieco szurniętą. Kołysała się, jakby słyszała muzykę.

Humdinger rozdał prezenty. Otwieranie ich zajęło nam resztę popołudnia. Pani Mendelbaum z jakiegoś powodu otrzymała ogromną śpiewającą rybę przymocowaną do deski, co, jak powiedziała, potwierdziło jej najgorsze podejrzenia co do świąt obchodzonych przez gojów. Stryj odparł, że zamówił rybę z katalogu z nadwyżkami towarów.

- Takie mecyje - rzekła pani Mendelbaum, ale jak zwykle nikt nie zrozumiał, o czym

mówi. Ja dostałam wszystkie swoje narzędzia, a jako ostatnie Humdinger położył mi na kolanach długie, prostokątne pudełko. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co może mieć taki kształt, i zaczęłam się zastanawiać, czy stryj nie postanowił zaryzykować i dać mi czegoś, co sam wybrał.

Nie, to niemożliwe. Nie miał pojęcia, kim jestem ani co lubię. A jednak wydawał się ogromnie podekscytowany...

- Otwórz go, otwórz, najlepsze na koniec! - zawołał stryj z entuzjazmem, wstając z fotela i tańcząc wokół mnie. Szamotałam się ze wstążką. Stryj Marten osobiście zapakował prezenty, a w młodości najwidoczniej był skautem. Rozsupływanie węzłów trwało wieczności.

- I muszę powiedzieć, Meline, że byłem przeszcześnieśliwy, że ktoś pomyślał, by o to poprosić, bo nie potrafię sobie wyobrazić Bożego Narodzenia bez takiego prezentu. Oprócz wielkiej ciężarówki, oczywiście.

- Takiego, czyli? - spytałam, rozrywając papier. Nagle osłupiałam. W pudełku znajdowała się wielka lalka, trochę do mnie podobna, z okrągłymi jak jabłka policzkami, ulizanymi włosami bez wyrazu i równo obciętą grzywką. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Od lat nie bawiłam się lalkami. No ale nie było to dziwniejsze niż pieczęć z napisem Zingle Company.

Stryj Marten wstrzymał oddech w oczekiwaniu na moją odpowiedź, a potem, gdy nie mogłam wymyślić nic stosownego, wypalił:

- To lalka, o którą przecież ci chodziło, kiedy wspomniałaś owózku! Domyśliłem się, że na nic ci pusty wózek... Niepotrzebnie się krępowałaś... Mogłaś powiedzieć wprost... A zatem laleczka w sam raz do wózeczka!

Próbowałam się uśmiechnąć, ale wyszło mi to tak, jakbym rozciągała zamknięte usta w poprzek twarzy. Zobaczyłam, że

Humdinger zerka na mnie z rozbawieniem, którego - co nietypowe - nie jest w stanie ukryć.

- Dziękuję - wydukałam wreszcie.

- Teraz kolacja! - zarządził stryj, klaszcząc z podniecenia i kilkakrotnie nieświadomie zapalając oraz gasząc lampki na choince. To byty święta w stylu disco. Siedzieliśmy na krzesłach, a stryj częstował wszystkich ajerkoniakiem - mnie i Jocelyn bez rumu, a z rumem panią Mendelbaum, która, prawdę mówiąc, nie potrzebowała niczego więcej, żeby jej dzień stał się promienny i wesoły. Była już wystarczająco wesoła i promienna, kiedy zeszła na dół, ale ja nie miałam nastroju, żeby zwracać na to uwagę stryjowi.

Zapadał zmierzch, co powinno było nadać wnętrzą przytulny, jeszcze bardziej świąteczny charakter, bo Humdinger zapalił na korytarzach chyba z milion świec, ale nie - poczuliśmy się niczym w domu pogrzebowym. Smutek falował wokół naszych stóp jak letnia woda, wzbierająca na wysokość sześciu cali. Brodziliśmy w nim. Wszystko było wilgotne albo mokre. Ten smutek, wszechobecny, nie stanowił zagrożenia dla życia, po prostu lgnął do nóg, także nie mogliśmy się swobodnie poruszać. Powiedziałam o tym Jocelyn, która traktowała wszystko bardzo dosłownie.

- Właśnie, że sześć cali wody może stanowić zagrożenie dla życia - nauczyła mnie. - Do koła parafialnego mojej matki należała kobieta, która utonęła w strumieniu podczas suszy. Nie było w nim więcej niż sześć cali wody. A może mniej.

- Jak to możliwe? - powątpiewałam, pełna sceptycyzmu. - Przecież ta woda nie sięgnęłaby jej nawet do nosa. Wszystko, co musiałaby zrobić, żeby się uratować, to odwrócić głowę.

- W tym rzecz, że ona nie mogła odwrócić głowy. Tak powiedziała moja matka. Upadła wyjątkowo nieszczęśliwie i nie mogła się ruszyć.

Cóż, brzmiało to bardzo niewiarygodnie, ale nie miałam ochoty się kłócić. Wydawało mi się tylko, że jeśli ktoś tonie w sześciu calach wody, nie wykazuje się nadzwyczajnym męstwem.

Poszłam usiąść koto pani Mendelbaum przy kominku. Sączyła coś z matej butelki, którą miała w kieszeni. Cokolwiek pita, nie wyglądało to na likier. Zostawiało wokół jej ust czarną obwódkę.

- Nie możecie doczekać się gęsi, co? - rzekł stryj Marten z zachwytem. Na szczęście nie oczekiwał odpowiedzi. Włączył stereo, które sam sobie podarował. Spędził godzinę na jego strojeniu, podczas gdy reszta domowników siedziała ponuro i beczynnie. Wreszcie zagnał wszystkich do jadalni, z towarzyszeniem upiornych dźwięków jakiegoś chóru chłopięcego, który śpiewał kolędy w przestronnym, odbijającym echo kościele. Muzyka tylko podkreślała dramatyzm sytuacji. Myślę, że każdy z nas dałby wszystko, żeby po prostu móc iść w tym momencie spać. Nawet stryj Marten, choć najwyraźniej podchmielony ajerkoniakiem, wydawał się gasnąć.

- Cóż, cóż... - rzekł, kiedy już usiedliśmy. - Przypuszczam, że nadszedł czas, aby pokroić gęś. Chwileczkę, cukierki! Strzelające cukierki!

Wszyscy musieliśmy ciągnąć za końce tych dziwnych przysmaków, które wydawały dźwięki przypominające wybuchy, co przyprawiało panią Mendelbaum o rozstrój nerwowy. W środku każdego znajdowała się zabawka, kapelusik oraz dowcip lub zabawne

powiedzonko. Odczytaliśmy je i włożyliśmy nasze kapelusiki. Na szczęście nikt nie został wywołany do rozplływania się w zachwycie nad kolejnym bezużytecznym upominkiem. Potem stryj Marten sięgnął po swoje groźnie wyglądające akceso-218 ria do krojenia i trzymając w rękach nóż i widelec, w papierowej koronie na głowie, nakazał Humdingerowi wnieść gęś. Potrawa została przygotowana zgodnie z przepisem i stryj wbił w nią szpikulec, patrząc przez cały czas na ilustrację ze swojej nowej książki poświęconej krojeniu gęsi. Ja tymczasem myślałam o dzikich gęsiach, które przelatywały nad wyspą w październiku - wspaniałe klucze ptaków o długich szyjach, w kształcie litery V - i które wciąż gdzieś tu były, kąpały się w oceanie, jadły robaczki na łące - i zebrało mi się na mdłości. Miałam pewność, że chociaż bardzo się oddaliłam od wegetarianizmu, nie będę w stanie spróbować gęsi. Jediną osobą, która jadła ją ze smakiem, był Humdinger, autor dania. Pani Mendelbaum dłużyła w swoim talerzu, ale najwyraźniej była teraz odurzona, gdzieś poza umysłem, i wciąż prosiła o dodatki, na które potem patrzyła tak, jakby właśnie zapomniała, do czego służą, a następnie podawała je dalej, nietknięte. To zapewniło zajęcie nam wszystkim, a jej - do tego stopnia, że prawie nic nie zjadła. Jocelyn posłusznie nałożyła sobie jedzenie na talerz, ale piła tylko wodę i wreszcie usnęła na krześle - co zapewne nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło. Minęło sporo czasu, zanim ktokolwiek to zauważył. Wreszcie stryj przełknął pierwszy kęs i odłożył widelec.

- Więc to jest gęś? - spytał, jakby nie chciał wierzyć. - Cóż, jest po prostu okropna... Nic dziwnego, że większość ludzi woli indyka... Nic dziwnego, że nie ma popytu na gęsi w Boże Narodzenie... Bo kto przy zdrowych zmysłach chciałby je jeść? Ja osobiście nie mogę. Jest bardzo tłusta, prawda? Jest... tłusta.

Pomyślałam, że to moment przełomowy. Dotąd był w stanie ignorować fakt, że nikt nie jest w nastroju do świętowania, że mieszkanie razem nie czyni z nas wielkiej szczęśliwej rodziny, że kotka nie zamierza nosić swojej bożonarodzeniowej obróżki, a pies - swojego bożonarodzeniowego swetra. Skarpety są do dupy, prezenty są do dupy, a gęś smakuje obrzydliwie. Myślę, że właśnie zaczęło do niego docierać, że choć może kupić wszystkie bożonarodzeniowe gadzety świata, ludzie to nie gadzety. Humdigner zaniósł Jocelyn do łóżka. Pani Mendelbaum spytała, gdzie jest deser, a kiedy stryj rozglądał się nieprzytomnie za świątecznym puddingiem, ona znów zaczęła podawać dalej dodatki. Właśnie wtedy wstałam od stołu.

Poszłam do sypialni. Nie ich sprawa, jak spędzę resztę wieczoru. Nie miałam nawet energii, żeby pójść na poszukiwanie części samolotu. Leżałam na łóżku, próbując zdecydować, czy iść już spać, chociaż była dopiero szósta, kiedy usłyszałam pukanie. Nie

mogłam sobie wyobrazić, kto by to mógł być. Nikt nigdy nie przychodził do mojego pokoju - nikt, odkąd Jocelyn zachorowała. I nagle zobaczyłam Humdingera z miętówką.

Do sylwestra Jocelyn spadła gorączka. Doktor Houseman, która przyjeżdżała sprawdzać, jak się czujemy, nie musiała już tego robić, ale radiotelefon wciąż dzwonił. Zazwyczaj chciała mówić z Humdingerem.

- O czym rozmawiacie? - spytałam go raz podczas śniadania, ale został wezwany przez stryja, zanim miał szansę odpowiedzieć. Inicjowałam teraz od czasu do czasu małe pogawędki, bo w przeciwnym razie nie rozmawiałabym z nikim. Stryj, jakby zdemoralizowany bożonarodzeniowym fiaskiem i błędnymi wyliczeniami w kwestii tego, co miało nas uszczęśliwić, podczas kolacji znów chował nos w książce, a często w ogóle nie schodził na dół, przesyłając przez Humdingera przeprosiny i prosząc o tacę z jedzeniem.

Pewnego wieczoru, kiedy przyszedł do jadalni, próbowałam zacząć rozmowę na jakiś interesujący dla niego temat.

- Przeczytałam gdzieś, że ktoś przepowiedział koniec świata na rok 2010.

- Ludzie zawsze przepowiadają koniec świata - rzekł, nie odrywając wzroku od książki.

- Ale oni mają to wszystko na wykresach. Nie sądzisz, że świat skończy się powoli, a nie tak, jak przepowiadają, jednym wielkim wybuchem?

- Świat się nie skończy, Meline. Istnieje od wielu miliardów lat. Ludzkość to tylko chwila w jego egzystencji. Człowiek może wyginąć, ale będą inne formy życia. Najprawdopodobniej karaluchy.

- Karaluchy dożywają sędziwego wieku, prawda?

- Nie o to chodzi. Chodzi o to, że byty tu na miliardy lat przed człowiekiem i prawdopodobnie będą też przez miliardy lat po nim. Jeśli cokolwiek przetrwa, prawdopodobnie będą to karaluchy. Prawdopodobnie wszyscy powrócimy jako karaluchy. Lepiej naucz się czmychać.

Pani Mendelbaum najwyraźniej nie mogła dojść do siebie po walce z grypą i nie wychodziła z pokoju. Od czasu do czasu słyszałam odgłosy jej utrudzonych, odzianych w skarpety stóp, które poruszały się w rytmie walca. Smutny, makabryczny dźwięk. Kotka nigdy nie była dobrą towarzyszką dla nikogo poza stryjem. Szczeniak trzymał się Humdingera albo samotnie buszował po wyspie. Wracał tylko na kolację lub na drzemkę przy kominku. Humdinger, jak powiedziałam, odbywał wiele rozmów z doktor Houseman. Ja natomiast sporo czytałam, szukałam części samolotowych i wreszcie zdobyłam się na wyznanie, o co chodziło z wózkiem. Poszłam na górę. Nie chciałam, żeby Humdinger

usłyszał rozmowę. Stryj siedział zgarbiony nad biurkiem.

- Widzisz... - zaczęłam. - Miałam na myśli nie lalkę do wózka, tylko wózek, którym można by przewozić różne rzeczy. Taką niewielką płaską platformę na kołach. Taczki.

- Rozumiem, rozumiem - rzekł szybko, powstrzymując się od komentarzy. Było oczywiste, że wciąż odczuwa zażenowanie w związku z Bożym Narodzeniem i nie chce niczego nam narzucać. - Cóż, w takim razie niech Humdinger ci taki zamówi. Potrafi już korzystać z internetu. Podłączyłem go na dole, więc nie powinno być problemu.

- Wolałabym, żeby o tym nie wiedział - odparłam.

- Dlaczego? - spytał stryj Marten, zsuwając okulary w kształcie półksiężyców na czubek nosa i patrząc ostro.

- Po prostu wolałabym, żeby nie wiedział. On... grasuje - wyjaśniłam.

- Rozumiem. Jedna z waszych gier, bez wątplenia. Cóż, nieważne. Zamówię ci ten wózek, tylko proszę, nie przeszkadzaj mi teraz. Jestem nadzwyczaj zajęty kwasem solnym i tytanem.

- Dzięki - powiedziałam. Poczułam się dziwnie, jakby uszło ze mnie całe powietrze. Oto ja unikałam stryja, a kiedy wreszcie poszłam go zobaczyć, przekonałam się, że on jeszcze bardziej unika mnie. A chciałam mu powiedzieć, że w Boże Narodzenie robił, co mógł. To nie jego wina, że wyszła katastrofa. To niczyja wina. Jak mogło być inaczej, skoro każdy z nas tęskni za swoim starym życiem i skoro tak mało wiemy o sobie nawzajem. Ale powiedzieć mu o tym oznaczałoby uczynić pierwszy od śmierci rodziców krok ku nawiązaniu kontaktu z drugą osobą. Nawet to uczucie litości, pragnienie, by poczuł się lepiej, było zdradliwe. To śliska zjeżdżalnia prowadząca prosto do stworzenia więzi, a ja nie mogłam zaczynać wszystkiego od początku. Więc nie powiedziałam ani słowa.

Wózek został zrzucony w następnym tygodniu. Wiedziałam, że stryj dotrzymuje obietnic, zatem miałam oczy i uszy szeroko otwarte. Za każdym razem, gdy słyszałam helikopter, pędziłam na dwór, aby znaleźć przesyłkę przed Humdingerem. Nazbierałam wówczas całe mnóstwo spóźnionych bożonarodzeniowych akcesoriów oraz artykułów spożywczych, aż wreszcie, zapakowany w wielką skrzynię, zjawił się wózek. Miałam ciężką przeprawę z rozpakowaniem prezentu, ale potem z łatwością zaprowadziłam go do stodoły. Następnej nocy zdołałam ściągnąć z korony drzewa i umieścić na wózku kokpit, uszkadzając go tylko lekko z jednej strony. Przewiozłam zdobytą część do stodoły, a potem poszłam odwiedzić Jocelyn.

- Cóż, udało mi się - powiedziałam, siadając na brzegu łóżka. Wpatrywała się szklistym wzrokiem w jakieś czasopismo, najwyraźniej niezainteresowana tym, co mi się



udało, a co nie. - Wózek. Dostałam prawdziwy wózek, rozpakowałam go, zdobyłam kokpit i zawiozłam do stodoły! Ale nie było łatwo, Jocelyn. Wiesz, że nie jestem mięczakiem, ale teraz spadła ci gorączka i naprawdę musisz się skupić na zdrowieniu, bo wkrótce będę potrzebowała pomocy. Nie mogę sama składać części. Ktoś, na przykład, musi trzymać końce kawałków, kiedy będę je lutowała albo skręcała. Byłoby idealnie, gdybyśmy miały całą brygadę mechaników, ale cóż. Dwie osoby wystarczą.

- Dlaczego nie poprosisz Humdingera? - spytała Jocelyn dziwnym, nieprzytomnym głosem, którego teraz zawsze używała.

- Dlaczego nie poproszę HUMDINGERA?! - ryknęłam. - Co się z tobą dzieje? - Nagle spostrzegłam prawie pustą butelkę z czarnym syropem na kaszel. Jeszcze tydzień temu była pełna. Podniosłam ją i zapytałam:

- Jak dużo tego wypijaś przez ostatnie dni?

- Nic - odparła, nagle siadając i wrywając mi butelkę z rąk.

- Jocelyn, już prawie nie kaszlesz. Czy w ogóle powinnaś to pić? Co mówi doktor Houseman?

- Powiedziała, że to dla mnie dobre. Mam brać tego dużo - rzekła Jocelyn, odstawiając butelkę na stolik, ale czujnie nie cofając palców.

- Nie powiedziałaś jej, prawda? Skąd to masz? Od Humdingera?

Nagle ujrzałam w nim uosobienie zła. Czaił się w tych swoich wielkich butach i ciele monstrum Frankensteina. Dostarczyciel dziwnych mikstur. Może miętówki były zatrute. Szpieg.

- Nie, od doktor Houseman - odpowiedziała, znów powoli sięgając po butelkę.

- Przepisała to doktor Houseman czy tylko Humdinger tak powiedział?

Jocelyn popatrzyła na mnie pustym wzrokiem, jakby nie mogła zrozumieć pytania.

- Och, na miłość boską, czy ty w ogóle jesteś jeszcze chora, czy po prostu naćpana? Powiedz Humdingerowi, że nie możesz brać tego syropu. On próbuje nas otruć! Wie o naszych planach zbudowania samolotu. Szpieguje!

- Nie dał mi tego Humdinger - oznajmiła apatycznie Jocelyn, kładąc sobie czasopismo na brzuchu, zamykając oczy i tym samym wyprasząc mnie niezbyt subtelnie.

- Cóż, nie przypuszczam, że powiedziałaś prawdę. Słuchaj, musisz dojść do siebie i pomóc mi budować samolot. Czy może to też cię nie interesuje?

- Jestem zmęczona - ucięła rozmowę Jocelyn.

Zostawiłam ją więc i wróciłam do pracy. Obmyśliłam bardzo szczegółowy plan. Zauważyłam, że najlepsze rezultaty osiągam wtedy, kiedy ściśle trzymam się harmonogramu.

Robiłam notatki. Próbowałam nie odbiegać od planu nawet na minutę. Kiedy to się zdarzało, zapisywałam przestępstwo w notesie pod kategorią „zbiegłe minuty”.

- Zajęta - mamrotałam do siebie - zajęta.

Pracowałam nocą, w stodole, przy świetle wielkich latarek, które poprosiłam na Boże Narodzenie. Było cicho i spokojnie. Nie bałam się już nietoperzy ani ciemności, ani stworzeń, które mogłyby mnie dopaść. Czasem tylko myślałam o byku. Nie wyspa widział go nikt poza Humdingerem, a ja bytam skłonna sądzić, że lokaj się myli, jednak na strychu w stodole leżało siano, a to przemawiało za istnieniem byka. Poza tym stryj wspomniał, że stodoła i niektóre budynki już tutaj stały, kiedy kupował wyspę. Że ludzie mieli tu farmę na długo przed tym, jak siły zbrojne zaczęły korzystać z wyspy. Może to oni trzymali byki iczęść z nich uciekła. I zdziczała. Jak długo żyją byki?

Składanie samolotu było pracą wymagającą koncentracji i pochłonęło mnie całkowicie. Próbowałam dopasowywać do siebie poszczególne części, zachowując ostrożność przy posługiwaniu się narzędziami i w trakcie lutowania. Usiłowałam sobie wyobrazić, jaką część znajdę następnym razem i w jaki sposób umieszczę ją na właściwym miejscu. Było dla mnie coraz bardziej jasne, że nie zbuduję dokładnej repliki samolotu, lecz rodzaj maszyny latającej. Wszystko jedno. Potrzebowałyśmy czegoś, co mogłoby się wznieść.

## JOCELYN

Usiadłam przy łóżku. Słyszałam, jak Meline wychodzi. Teraz było bezpiecznie. W butelce została już tylko odrobina syropu. Nie wiedziałam, czy wystarczy na noc. Raczej nie. Najwyraźniej potrzebowałam coraz więcej, żeby dotrzeć do miejsca, w którym po raz pierwszy zapadłam w swobodne, rozkoszne zapomnienie, w którym moje ciało czuło się dobrze, w którym nie mogłam się nadziwić, dlaczego wcześniej czułam się tak nędznie. Wszystko jest w porządku. Wszystko jest takie, jakim być powinno. Chciałam powiedzieć o tym każdemu, ale naprawdę nie było nikogo, komu mogłabym powiedzieć. Potem będę śpiąca - okropnie, ociężała śpiąca - i pochłonie mnie głęboki, narkotyczny sen, a jeszcze później znajdę się w pociągu. Z matką.

Jedziemy i jedziemy, i wszystko jest w porządku przez większość nocy. Czasami docieram do punktu, w którym następuje gwałtowne szarpnięcie, słychać krzyki i widać światło, ale zazwyczaj budzę się wcześniej.

Wzięłam ostatni łyceczek. Nie czułam euforii, tylko lekkie odprężenie. Bałam się, że efekt minie, zanim zasnę. Był środek wyspa nocy. Nie mogłam obudzić pani Mendelbaum, żeby poprosić o więcej, prawda? Naprawdę nie chcę przeszkadzać, ale przecież nic się nie

stanie, jeśli po prostu wślizgnę się do jej pokoju, prawda? O ile się nie obudzi...

Wyszłam na korytarz, od czasu do czasu przytrzymując się ściany. Byłam chora, więc nic dziwnego, że się zataczałam. Pod moimi bosymi stopami podłoga była zimna, ale nie chciałam szurać kapciami. Odgłosy szurania. Hałaśliwe. Może drzwi pani Mendelbaum są otwarte. Cóż, tutaj prawdopodobnie w żadnych drzwiach nie ma zamków. Gdyby były w moich, zamknęłabym je przed Meline. Ale gdybym je zamknęła przed Meline, pani Mendelbaum nie przysłaby z lekarstwem. Nigdy nie dostałabym tej mikstury. Nie. Ona zapukała. Wpuściłabym ją do środka. A niech to! Dlaczego nie ma zamków w drzwiach? To zmusza ludzi do zastawiania ich biurkami. Ale dlaczego stryj miałby montować zamki, skoro planował mieszkać samotnie? Dobrze, skoro jednak planował mieszkać samotnie, po co mu tyle drzwi? Może był przewidujący... Tak, prawdopodobnie był... Och, wszechświat to zdecydowanie tajemnicza rzecz, a najbardziej tajemnicza rzecz we wszechświecie to stryj Marten. Zaśmiałam się. Odkryłam, że jestem o wiele zabawniejsza, odkąd biorę lekarstwo. Nie, ja zawsze byłam zabawna, tak bardzo, jak tylko chciałam, ale chciałam bardziej, kiedy piłam syrop. Nie, ja po prostu zaczęłam doceniać swoje poczucie humoru. Zawsze bytam zabawna. Strasznie dowcipna, naprawdę. To właśnie problem z większością ludzi. Nie doceniają się wystarczająco. Z pewnością nie doceniają wystarczająco mnie. Meline mnie nie docenia. O co chodzi z tą Meline? Ona wcale mnie nie rozumie. Powiem jej to, gdy lek przestanie działać. A to nastąpi prędko, jeśli się nie pośpieszę.

Położyłam palec na ustach, naciskając klamkę. Szsz, szsz... Moja matka nigdy nie mówiła „szsz”. Mówiła „ciiii”. Ciii, ciii... Ochoch, na samą myśl chce mi się płakać. Ciii, ciii... Prawdopodobnie mówiłaby to teraz przez większość nocy, gdyby widziała mnie w takim stanie. Dlaczego ja mówię „szsz”, skoro ona mówiła „ciiii”? Czy nie powinnam była wybrać „ciiii”? Dlaczego wybrałam „szsz”? Jaka jest różnica między szszciszaczami i ciiiciszaczami? No dobrze, to nie ma większego znaczenia...

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Pani Mendelbaum jest martwa. Nie, nie martwa, po prostu leży na łóżku w ubraniu. Mimo wszystko lepiej się upewnić. Nie chcę zostać oskarżona o okradzenie zmarłej. Za to okradzenie osoby żyjącej jest zupełnie w porządku. Ha, ha. Mówiłam ci, że jestem zabawna. Doczołgaj się do łóżka i sprawdź to. Joł. Nadal oddycha. Nie jest martwa. Tylko odpoczywa. Pani Mendelbaum chrapnęła, a ja podskoczyłam. Przestań, ty głupia chrapiąca kobieto. Już dobrze, gdzie ten cholerny syrop na kaszel? Syropie, gdzie jesteś? Zakrywam usta. Co ja, u licha, robię, mówiąc to na głos? Przecież obudzę biedną, martwą panią Mendelbaum. Szsz, szsz... Muszę odróżniać myślenie o pewnych rzeczach od ich wypowiedzienia. A także martwego człowieka od odpowyspa -

ożywającego. Żadnego głośnego myślenia. To takie wyczerpujące - musieć kontrolować umysł jak niesforne zwierzątko. Kto nazwał psa Lotką? Głupie imię dla psa. I jeszcze głupsza nazwa dla części samolotu. Teraz już nikt nie nadaje dobrych imion. Meline. Co to za imię? Okrutna Meline, taka właśnie jest. Żadnej litości. Żadnych uczuć. Musi być Kanadyjką. Ha, ha. Nie, Amerykanką. Cóż, z pewnością nie jest Brytyjką. Nie tak jak my. Mamusia nazywała nas „Brytyjczykami w sercu”. Bez wątpienia. Poszukaj w szufladzie komody. Ja chowałam rzeczy w szufladzie na bieliznę, kiedy byłam mała. Czekoladowe batoniki. Szkodliwe dla zębów. Może tam jest syrop. Nie. Tylko bielizna. Ble. Okropna bielizna. Czy na starość będę musiała nosić brzydką bieliznę? Czemu mam się przejmować starością? Jedyna rzecz, jakiej można oczekiwać - brzydka bielizna... Nie. Trzeba wybierać lepszą bieliznę, to wszystko. Gdzie jeszcze? Szafa. Brzydkie buty. Dlaczego na świecie jest tak dużo brzydoty? Za mało syropu na kaszel, oto powód. Och nie, zasypiam. Nie mogę tu zasnąć. Wielki skandal. Muszę znaleźć łóżko.

Wypełzłam z powrotem na korytarz, ale zapomniałam zamknąć drzwi do pokoju staruszki Mendelhoffe. Niezły numer! Pomyśleć tylko. Taka mała dawka syropu i taki wielki odlot. Muszę o tym pamiętać. Sądziłam, że trzeba wziąć więcej. Może jestem po prostu niecierpliwa. Nie bądź niecierpliwa. Ale nie mam wystarczająco dużo syropu. W zasadzie nic mi nie zostało. Muszę zdobyć więcej. Może przestać szukać części do samolotu, a zacząć szukać sztetlu. Nie wiem, co to jest sztetl. Poważna trudność. Nie mówić Meline. Myśli, że wie wszystko. Och, dobrze, jutro jest nowy dzień. Czy to Humdinger zamyka drzwi do pani Mendelbaum? Dziwny ten Humdinger. Myślę, że jest miły, ale o co chodzi z tymi miętówkami? Ma obsesję na punkcie miętówek, jeśli chcecie wiedzieć. Czy ktoś mu powiedział, że czekolada szkodzi zębom? A wuj? Ta cała czekolada. Trochę mi jeszcze zostało. O co chodzi mężczyznom z tą czekoladą? Jeśli tak lubią czekoladę, może powinni ją poślubić. Ha, ha. Dowcip. Słabo mi. Cóż, przynajmniej Humdinger mnie nie widzi. Wślizguję się do pokoju i niechęący trzaskam drzwiami. Ups. Och, dobrze. Tu są myszy. Pewnie pomyśla, że zrobiły to myszy. O ile w ogóle pomyśla. W tym domu nikt nie myśli. To problem. Znow ci Kanadyjczycy. Wydaje się, że są wszędzie. Padam na łóżko. Jak miło jest lecieć w dół, coraz niżej, niżej inżej. Bez wysiłku. Nie musieć już się męczyć. Po prostu odpuścić. Miło. Och, znow tu jest, stukot i turkot pociągu. Och, matka. Och, matka, idzie tu. Teraz wszystko jest w porządku.

Wstałam następnego ranka, wypilałam herbatę i zjadłam tost. Wracal mi apetyt. Prawdopodobnie dzięki dobrym snom. Potem pomyślałam o pustej butelce po syropie. Coś trzeba bylo z tym zrobić, jeżeli chciałam zatrzymać dobre sny. Skoro sama nie mogłam

znaleźć zapasu lekarstwa pani Mendelbaum, po prostu będę musiała jej powiedzieć, że potrzebuję jeszcze jednej butelki. A ona będzie musiała mi ją dać. Ona zaczęła. Jeśli nie zechce dać syropu, zagrozę, że powiem stryjowi. Nie będzie zachwycony, że pani Mendelbaum faszeruje domowników swoimi lekarstwami. Ale czy ona przejmie się stryjem?

Właśnie kiedy o tym wszystkim myślałam, pani Mendelbaum weszła do mojego pokoju bez pukania.

- Jocelyn, mejdele, potrzebuję pożyczyc z powrotem syrop na kaszel. Mój się skończył.

- Skończył?! - warknęłam, podciągając się na łóżku. Leżałam oparta na poduszkach z filiżanką herbaty na brzuchu.

- Czujesz się teraz lepiej, a mnie nie zostało nic.- Szmek tabak. Wiem, wiem, jak to jest dla ciebie - zupełnie jak dla mnie. Es wet gornit helfn. Nic nie pomoże. Pozostali nie rozumieją. Ty i ja, już po wszystkim, nasz krótki czas, nasza mała pjese. A ja nie mam siły, żeby zaczynać na nowo. I myślę, że ty też nie masz siły. Ale ich hob es in der erd, dosyc, daj mi lekarstwo.

- Nie mogę - odparłam zaniepokojona. Co miała na myśli, mówiąc, że się skończyło? Myślałam, że są jeszcze całe butle.

- To znaczy - nie chcesz, ale dla ciebie już dosyc. To mój syrop na kaszel. Pożyczyłam ci go tylko na krótki czas. Żebyś miała z górki.

- Pani nie rozumie - powiedziałam zmęczona, opadając z powrotem na poduszki. Co my teraz zrobimy? - Mój też się skończył. Dzisiaj w nocy.

- Pokaż - zażądała pani Mendelbaum stalowym głosem. Sięgnęłam po pustą butelkę. Nie było w niej niczego poza mazistymi resztkami na ściankach. Pani Mendelbaum wzięła mój dzbanek i powoli wlała odrobinę wody do butelki. Następnie potrząsała nią tak długo, aż szara warstwa cieczy oddzieliła się od szkła, dając kilka kropli smolistego syropu, które pani Mendelbaum szybko wypila.

- Teraz się skończyło - rzekła i wyszła z pokoju.

Czułam się dziwnie przez całe popołudnie. Wcześniej nie zajmowałam się niczym poza czekaniem, aż przyjdzie pora na wzięcie syropu. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że właśnie to robiłam i że owo wyczekiwanie przydawało popołudniom mocnego, różanego blasku. Poranki schodziły mi na rozpraszaniu mgły, z którą się budziłam po zażyciu syropu. Popołudnia były szczęśliwym oczekiwaniem na syrop. Wieczory to rozkosz, a następnie sen. Sen jak żaden inny. Znalazłam sposób na życie. To niemożliwe, że mi go odebrano. Byłam wściekła, rozdrażniona i spanikowana. Teraz, kiedy czułam się lepiej, było

jeszcze gorzej. Gdy miałam gorączkę, prawie nie potrzebowałam syropu, bo mogłam zapadać w głęboki, niezdrowy sen. Ale teraz byłam przytomna, miałam siłę i nie chciałam jej. Chciałam zamglenia. Chciałam snów. Chciałam słodkiej niepamięci.

Pani Mendelbaum musiała czuć to samo, bo słyszałam krzyki dobiegające z jej pokoju. Humdinger przyniósł kolację, a ona zaczęła wrzeszczeć:

- Pan ją zabiera! Nie umiesz pan nic zrobić dobrze?! To pańskim zdaniem jedzenie?! Proszę iść, iść i pozwolić biednej, wyspa starej kobiecie spać. Może padnę trupem we śnie! Albo lepiej może pan padniesz!

Wiedziałam, jak ona się czuje. Towarzystwo innych było nie do zniesienia. Wyszłam na korytarz posłuchać. Humdinger opuścił pokój pani Mendelbaum, zanim miałam szansę pierzchnąć do swojej sypialni. Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, potem popatrzył na drzwi pani Mendelbaum i na jego twarzy zagościł wyraz zamyślenia. Wślizgnęłam się z powrotem do pokoju i zamknęłam drzwi, ciężko dysząc. Nie wolno mi panikować. I nie wolno mi wrzeszczeć jak pani Mendelbaum. Gdybym zaczęła krzyczeć tak jak ona, każdy by się dowiedział. Z drugiej strony, co mnie obchodzi, co oni sobie pomyślą - co pomyśli którekolwiek z nich? Co mnie to wszystko obchodzi?

## **MELINE**

Kiedy wyszłam na dwór tamtej nocy, byłam wściekła na Jocelyn. Symulantka. Słyszałam, jak mój ojciec nazywa symulantami pilotów, którzy się upijali i szli na zwolnienie lekarskie. Wzięłam swoją ciężką latarkę i ruszyłam w nieznane. Nadal istniały niezbadane zakątki wyspy. Jeżeli nie szło się tam i z powrotem metodycznie, w linii prostej, pozostawało mnóstwo wzgórz, zagajników i niewielkich polan, które można było przegapić. Kiedy wyszłam z domu poprzedniego dnia, zła na Jocelyn oto, że najwyraźniej nie przejmuje się już jedyną ważną rzeczą, którą mamy do zrobienia - zbudowaniem maszyny latającej - przemknęłam przez łąkę jak burza i zdałam sobie sprawę, że w pobliżu jest długi półwysep. Poszłam tam w nocy. Po ciemku wszystko wyglądało inaczej i okazało się, że przez cały czas krążyłyśmy po tych samych częściach wyspy, zapominając odługim przyładku. Ruszyłam więc ku niemu, pełna wściekłej energii, mając nadzieję znaleźć jakiś fragment samolotu, którego szczególnie potrzebowaliśmy, fragment, który wzbudziłby w Jocelyn zazdrość o moment odkrycia. Potem, gdy jej apetyt na projekt znowu się zaostrzy, będę ją dręczyła swoim wyspa niezdecydowaniem. Powinnam czy nie powinnam pozwolić Jocelyn przyłączyć się z powrotem? Czy wykazała właściwą postawę we wszystkich okolicznościach? Brnęłam mozolnie naprzód, przez łąkę, myśląc tylko o tym, i prawdopodobnie skierowałabym się w

stronę przylądka, gdybym nagle nie pomyślała o byku. Wdepnęłam w coś paskudnego i kiedy dotarło do mnie, że to jakiś rodzaj zwierzęcych odchodów, sapnęłam. Przyszedł mi do głowy byk Humdignera.

- O rany, Lotka! - zawołałam, bo szczeniak, obleciawszy łąkę dokoła, stanął za mną i zaczął obwąchiwać moje buty. Poświeciłam latarką. Najprawdopodobniej odchody należały do jelenia, ale jeśli nie? Serce zaczęło mi gwałtownie walić. Przypuśćmy, że mimo wszystko Humdinger ma rację... Chwyciłam Lotkę jak piłkę futbolową i puściłam się pędem naprzód.

Nie wiedziałam, w którą stronę biec, bo nie mogłam się skoncentrować na trzymaniu latarki przed sobą, Lotki pod pachą oraz uciekaniu i panikowaniu jednocześnie. Nagle dotarło do mnie, że latarka ułatwia zadanie bykowi, więc ją wyłączyłam i przez jakiś czas biegłam w ciemności. Potem zwolniłam i przez kilka chwil szłam na palcach, martwiąc się, że równie dobrze mogę podążać w kierunku byka, chociaż nic a nic nie słyszałam. Nawet szmeru byczego oddechu. Ani dudnienia racic. A więc dalej bezszelestnie przesuwałam się naprzód. Lotka współpracowała, nie wydając żadnych dźwięków, co mnie zaskoczyło, bo chyba powinna była zaprotestować, gdy tak nagle została poderwana do góry i poniesiona w dal przez kogoś, kto dotąd nie poświęca) jej żadnej uwagi, ale najwyraźniej nie należała do szczeniąt, które chowają urazę. Albo byta po prostu głupia. Przebyłyśmy długą drogę w ciemności, aż poczułam się wystarczająco pewnie, by włączyć latarkę. Oczekiwałam, że ujrzę w jej świetle byka, który przez cały czas podążał za mną po cichutku. Ale na widok tego, co ukazało się moim oczom, z przerażenia upuściłam szczeniaka.

To były nagrobki. Bezwiednie przemknęłam między nimi, pokonując w ciemności prawdziwy labirynt, i teraz stałam otoczona przez kamienie, w środku czegoś, co wyglądało na niewielki prywatny cmentarz. Gdybym kontynuowała marsz na ślepo, nie zapalając latarki, nigdy bym się nie dowiedziała, że tu są. Pośrodku piętrzył się stos rozbitych samolotów, skrzydeł, korpusów, kokpitów, lotek, kadłubów, sterów wysokości i stabilizatorów - było tu wszystko. Szczątki wszystkich samolotów, które się rozbiły, wszystko, czego potrzeba, żeby zbudować maszynę latającą. W centrum tkwił niemal nienaruszony samolot. Gdybym usunęła zbędny złom, mogłabym po prostu dołączyć do wraku brakujące części. Przeczytałam imiona na kamieniach: podporucznik John C. Hooker, podporucznik William Macdonald, podporucznik Daniel Levesque. Ktoś pogrzebał tu Eskadrę Podniebnych Szkieletów, troskliwie oznaczając mogiły, topornie wycinając imiona pilotów w kamieniach, gromadząc zniszczone maszyny. Już nie będę musiała wlec części do stodoły. Mogę składać samolot właśnie tutaj.

## JOCELYN

Poczułam się na tyle dobrze, żeby wziąć kąpiel. To było cudowne uczucie, gdy woda zaczęła płynąć przez moje tłuste włosy, ale w połowie splukiwania dostałam dreszczy. „Nie jestem jeszcze gotowa” - pomyślałam i usiadłam na toalecie, drżąc przez moment, zanim znalazłam dość siły, żeby się wytrzeć i ubrać. Przeszłam po cichu przez korytarz. Łatwo było chodzić bezszelestnie. Teraz, kiedy tak bardzo schudłam, czułam, że nie ma prawie nic między moimi kośćmi a powietrzem. Gdy dotarłam do sypialni, przez chwilę stałam w milczeniu, patrząc na panią Mendelbaum odwróconą plecami. Nawet nie wiedziała, że tu jestem, nim przypadkiem nie obróciła głowy.

- Co pani robi w moim pokoju? - wyszeptalam, tak zaskoczona, że nie mogłam wydobyć z siebie głosu. W lustrze mignęło moje odbicie: wyglądałam jak zjawą, z długimi, mokrymi i splątanymi włosami, dygocząca przy łóżku.

- Gdzie to jest? Muszę mieć - rzekła pani Mendelbaum, składając dłoń w pięść i wygrażając mi.

- Mieć co? - spytałam, cofając się w stronę drzwi.

- Ty fjesz. Lekarstwo. Lekarstwo, które ci datam z toproci serca i które ukradłaś.

- Pokazałam pani pustą butelkę. Skończyłam ją dwie noce temu.

- Nie, nie mogłaś skończyć fszystkiego tak szybko. Jesteś za chuda. To py cię zabiło.

- Ale skończyłam, pani Mendelbaum. Nie było tego wcale dużo. Zaledwie pół butelki.

- Daj s pofrotem.

- Nie mam. Naprawdę. Ale niech pani posłucha, pani Mendelbaum, musimy dostać więcej.

- My nic nie musimy. To jest moje lekarstwo. Jest moje. Sophie data je mnie.

- A skąd wzięła je Sophie? - spytałam. Pani Mendelbaum najwidoczniej była szalona.

Zawłaszczy każdą butelkę syropu, która dotrze na wyspę.

- Sophie je robi. Wszystkie kobiety w sztetlu robią.

- Cóż, będziemy musiały dostać go więcej, to wszystko.

- Od Sophie?

- Tak, oczywiście. Jestem pewna, że stryj może zorganizować dostawę lekarstwa.

- On je zrzuci jak fszystkie inne rzeczy, ten meszugener pilot, potłucze je. Er zol waksn wi a cibebe, mitn kop in der erd.

- Tak, to prawda - przytaknęłam. Sam z pewnością potłucze butelki. Z dostaw Sama nigdy nie ocalało nic szklanego. - Niech pomyślę. Niech pomyślę. Wiem. Sophie musi



przywieźć je osobiście. Zrobi to? Przyleci helikopterem i zejdzie po drabince?

- Nie. Nie Sophie. Ona nie lubi samolotów. Ale przy płynęłaby łódką. Musimy znaleźć dla niej łódkę.

- Ale tu nie ma żadnych łódek, pani Mendelbaum. Promów też nie - powiedziałam, wdrapując się na łóżko, skoro ryzyko ataku zostało zażegnane. Byłam tak zmęczona, że czułam, jakby moje kości miały rozpaść się na proch właśnie tutaj, w pościeli, i zostawić zaledwie worek skóry pełen kostnej mączki.

- Sophie musi znaleźć łódkę. Musi ją znaleźć i dostarczyć nam lekarstwo. Wiele butelek.

- Och tak - zawtórowałam jej słabo. Wiele butelek. - Pani Mendelbaum, ale jeśli ona umie je robić, może przygotować syrop na wyspie. Może podać nam recepturę.

To było oczywiście rozwiązanie. Jeżeli nauczymy się robić syrop, nie będziemy potrzebowały Sophie. Nie będziemy potrzebowały nikogo.

- Porozmawiam z twoim stryjem i ty też musisz z nim pomówić. Żeby znalazł łódkę dla Sophie.

- Jak ja mam prosić o łódkę dla pani przyjaciółki? Dlaczego miałabym prosić w pani imieniu? To wyda się podejrzane.

Nie chciałam, żeby stryj podejrzewał istnienie jakiegoś związku między mną a panią Mendelbaum. Nie chciałam, żeby dowiedział się o syropie na kaszel.

- To prawda. To prawda. Tak, jesteś bystrą dziewczynką. Cóż, jednak musisz z nim porozmawiać w mojej sprawie. Powiedz, że zauważyłaś, że jestem starą, chorą kobietą, która potrzebuje przyjaciółki, żeby się mną zajmowała i dotrzymywała mi towarzystwa.

- Tak, ale czy on się zgodzi na większą liczbę ludzi? Chyba nie lubi ludzi.

- Ech, on zgodzi się na wszystko, ten typ, o ile obiecasz, że zostawisz go w spokoju.

- Tak, przypuszczam, że może się zgodzić. Więc powiem, że potrzebuje pani Sophie. Ale czy ona przyjedzie?

- Przyjedzie - rzekła pani Mendelbaum, padając z osłabienia na krzesło, jakby nogi nagle się pod nią ugięły. - Sophie zrobi dla mnie wszystko. Teraz idź. Poszukaj stryja i błagaj, żeby znalazł łódkę.

- Najpierw się prześpię. Jestem taka zmęczona - powiedziałam. Ale po tym, jak pani Mendelbaum wyszła, nie zdołałam zasnąć. Nie umiałam spać bez syropu i zaczynało mnie to przerażać. Leżałam więc wyczerpana z zamkniętymi oczami, z rezygnacją licząc owce i recytując alfabet, i robiąc wszystko, co można, żeby wprowadzić się w stan nieświadomości, ale na próżno. Kiedy wybiła północ, zaczęłam się martwić, że już na zawsze utraciłam

zdolność zasypiania bez syropu na kaszel. Później usłyszałam, jak Meline idzie po schodach. Uchyliłam drzwi. Nie mogłam znieść leżenia samotnie w ciemności.

### MELINE

- Dobrze, wstałaś! - powiedziałam, widząc, jak Jocelyn wystawia głowę zza drzwi. - Mówiłam ci, że zdrowiejesz. Nie uwierzysz, co znalazłam.

- Jakąś część do samolotu - odparła Jocelyn, dygocząc.

- Naprawdę tak ci zimno? - spytałam. Ja byłam przemoczona, ale mimo wszystko nie drżałam. Kości Jocelyn sterczały. Była chuda, już kiedy przyjechała na wyspę, teraz jednak zmieniła się w szkielet. Niemal dało się dostrzec, jak każdy kęs jedzenia pędzi w dół jej przewodu pokarmowego. - Dlaczego tobie zawsze jest zimno? Zaczynaj więcej jeść.

- Nie mogę jeść. I nie mogę spać - oznajmiła Jocelyn.

- Nic dziwnego. W końcu przesypiasz całe dni. Już się wyspałaś. Prędzej czy później to musiało nastąpić. Dobra. Słuchaj, robisz teraz kolosalne postępy z samolotem...

Już jej miałam powiedzieć, jak zabrałam ze stodoły narzędzia i przeniosłam całą operację na cmentarz, którego Humdinger na pewno nie odkrył. Tam znajdowało się wszystko, czego potrzebowałam, żeby zbudować maszynę jeszcze szybciej, niż przypuszczałam. To było okropnie ekscytujące, ale z jakiegoś powodu Jocelyn chciała rozmawiać tylko o pani Mendelbaum i jej przyjaciółce Sophie. Słyszałam o czymś takim u osób upośledzonych: że stają się bardzo pochłonięte sobą i wyolbrzymiają drobnostki. Próbowałam więc słuchać Jocelyn cierpliwie, choć najwyraźniej brakowało jej piątej klepki.

- Meline, słuchaj, to bardzo ważne. Bardzo ważne. Pani Mendelbaum chce, żeby jej przyjaciółka, Sophie, tutaj przyjechała. Chce, żeby Sophie się nią zajęła. Mówi, że ona zrobi dla niej wszystko. Mam poprosić stryja o zorganizowanie łodzi, bo Sophie nie wsiądzie do samolotu. Ale ja jestem taka zmęczona. Meline, czy mogłabyś porozmawiać ze stryjem?

- No nie wiem. Jeśli przyjedzie Sophie, będzie mniej pracy dla Humdingera. A my chcemy, żeby był zajęty.

- Sprawię, że będzie bardzo zajęty. Obiecuję. Nadal jestem naprawdę chora.

- Och, wcale nie jesteś.

- Jestem. Próbowałam wziąć kąpiel i nie dałam rady. Nie mam siły. Humdinger może zajmować się mną zamiast panią Mendelbaum. Będę go wciąż prosiła o tace z herbatą.

- Co za dziwną przyjaźń zawarłaś z panią Mendelbaum, skoro przyjazd jej przyjaciółki nagle jest dla ciebie taki ważny? Stałyście się bardzo sobie bliskie. Będę zaskoczona, jeśli cię nie adoptuje.

Usiadłam na łóżku i pomyślałam ponuro o takim rozwiązaniu. Mogłam to sobie wyobrazić. Pani Mendelbaum adoptuje wyspa

Jocelyn i zabiera ją z wyspy. Żyją razem długo i szczęśliwie w jakimś jasnym, przestronnym i nowoczesnym mieszkaniu w Vancouver, pochłonięte prawdziwym światem: chodzą na koncerty rockowe, na kolacje, Jocelyn idzie na studia dzięki oszczędnościom pani Mendelbaum. Jedzą brązowe mięso i puddingi z cząbrem. Udają się razem do teatru, na zakupy, do restauracji, na niedzielne spacerunki wzdłuż nabrzeża. Wesole jak skowronki. I to wszystko dlatego, że Jocelyn po prostu leży, wyglądając żałośnie i nic nie robiąc. Ja tymczasem wciąż pracuję. Bez przerwy jestem zajęta. Więc, oczywiście, pani Mendelbaum bardziej lubi Jocelyn. Oczywiście współczuje Jocelyn. Jocelyn zionie patosem.

Nic nie odpowiedziała, tylko zamknęła oczy. Poczułam, że wąta więź, którą nawiązałyśmy, zaczyna zanikać. W zasadzie nie chciałam Jocelyn jako sojuszniczki, ale było poniżające stracić ją na rzecz pani Mendelbaum.

- Dobra - odparłam. - Poproszę stryja.

Przynajmniej jej pokażę, że jeśli wybierze panią Mendelbaum, a nie mnie, straci kogoś, kto potrafi nie być samolubny i umie okazać wspaniałomyślność, nawet wbrew własnym interesom. Może przemyśli sprawę, bo naprawdę nie sędzę, aby pani Mendelbaum mogła się wykazać takimi zaletami. A ja potrzebowałam Jocelyn z powrotem. Byłam w stanie pracować sama, ale ktoś musiał podnosić, trzymać i mocować części. Nie chciałam palić mostów.

\*

Następnego dnia poszłam do stryja Martena. Zapukałam kilka razy i nacisnęłam klamkę. Był zgarbiony nad biurkiem, jego oczy biegały tam i z powrotem, od ekranu komputera do czegoś, co bazgrał na kawałku papieru.

- Przepraszam! - powiedziałam, a potem jeszcze raz: - PRZEPRASZAM!

Odwrócił się w roztargnieniu i zajęło mu chwilę, nim mnie rozpoznał. Nad czymkolwiek teraz pracował, przedmiot badań najwyraźniej nadal zaprzętał jego umysł.

- Mogę przeszkodzić? - spytałam.

- Już to zrobiłaś - odparł poirytowany.

Patrzył na mnie z zaciśniętymi ustami i zmarszczonymi brwiami.

- Cóż, chodzi o to, że pani Mendelbaum jest chora, jak wiesz, i Jocelyn również. Pani Mendelbaum chce zaprosić na wyspę swoją przyjaciółkę Sophie. Żeby jej doglądała.

- Doglądała czego?

- Doglądała jej. Zajęła się nią.

- Po co? Czyż nie robi tego Humdinger? Czy nie zatrudniłem go właśnie w tym celu?

- Nie. Zatrudniłeś go, żeby był lokajem. Teraz wykonuje pracę swoją i pani Mendelbaum oraz zajmuje się Jocelyn i panią Mendelbaum. Ona nie ma żadnej rodziny. Sophie jest jej jedyną przyjaciółką.

- No dobrze, ale jak bardzo jest chora? - spytał stryj. - Czy istnieje ryzyko, że wkrótce umrze?

- Nie, wkrótce nie. Ale w bliższej przyszłości. Prędzej w bliższej niż w dalszej, bo ona przecież jest raczej stara. To znaczy naprawdę stara.

- Rzeczywiście jest tak bardzo stara?

- Nie pamiętasz, że Jocelyn tak powiedziała?

- Czy ona farbuje włosy?

- Tak przypuszczam.

- Bo są okropnie czarne...

- Myślę, że musi je farbować. Co prawda, nigdy nie widziałam, żeby to robiła...

- Tak czy inaczej, na pewno je farbuje. Poczekaj chwilę, widziałem, jak nosi ze sobą butelki czegoś czarnego. O właśnie! Twierdzi, że to syrop na kaszel, ale mogę się założyć, że to farba do włosów.

- Farba do włosów? Jocelyn to pije.

- Jocelyn pije farbę do włosów?

- Ona twierdzi, że to syrop na kaszel.

- Cóż. Co nas nie zabije, to nas wzmocni. Jesteś pewna?

- Ona twierdzi, że pije syrop na kaszel, który dała jej doktor Houseman.

- No cóż, więc przypuszczam, że tak właśnie jest. Ale co to ma wspólnego z czarną farbą do włosów pani Mendelbaum? Naprawdę, spróbujmy choć przez chwilę trzymać się tematu. Och, lecz nie sądzę, żebym w ogóle widział u niej jakieś odrosty - oznajmił stryj.

- Celna uwaga. Gdyby się farbowała, od czasu do czasu powinny być widoczne odrosty. Kiedy chodzi po domu, widać tylko, że pod czarnymi ma dużo siwych włosów.

- Tak. Ale skoro ich nie farbuje, po co wszędzie chodzi z butelkami czarnej farby?

- Białe odrosty... Gdyby była naprawdę stara, jej włosy byłyby białe, prawda? Nie po prostu czarne na wierzchu i siwe pod spodem - stwierdziłam.

- Tak. Nie widziałem nawet jednego pasemka białych odrostów. Ale być może pokrywa je na bieżąco tą farbą do włosów i dlatego cały czas nosi ją przy sobie. Może wciąż robi... Zaraz, jak to nazywają kobiety? Poprawki! Albo może nie jest aż taka stara...

- Myślę, że jest.

- Nie wygląda.

- Ale myślę, że jest. W każdym razie wydaje się stara duchem, prawda?

- W jakim sensie?

- Nie wiem. Zastała w przyzwyczajeniach. Jakby przeżyła już całe swoje życie. Jakby nie było dokąd iść. Jakby teraz odpoczywała, zanim... wiesz co.

- Zanim umrze.

-1 opowiada o nazistach. Jeśli była młoda w czasach nazistów, teraz musi być bardzo stara.

- Zamierzam zadzwonić do Houseman, żeby przyjechała i rzuciła na nią okiem. - Stryj podniósł słuchawkę radiotelefonu.

- Och, nie wiem, czy to dobry pomysł. Nie sądzę, żeby była zachwycona.

- Dlaczego nie? Przecież jest chora, prawda?

- No tak, ale myślę, że ona po prostu chciałaby mieć przy sobie tę przyjaciółkę.

- Na miłość boską, nie możemy pozwolić, żeby zamieszkała tu kolejna osoba. Dom pęka w szwach. Naprawdę myślę, że muszę się sprzeciwić.

- No tak, ale pomyśl, jak będziesz się czuł, jeśli pani Mendelbaum umrze w samotności.

- Umrze? Kto mówi o umieraniu? Zresztą nikt w tym domu nie mógłby umrzeć w samotności, nawet gdyby chciał. Jesteśmy ściśnięci jak sardynki.

- W każdym razie to na pewno tylko krótka wizyta.

- No dobrze. Lecz niech to będzie powiedziane wyraźnie. Ludzie bardzo często niby tylko pokazują się na twoim progu, a potem zostają na zawsze.

Gdy zdał sobie sprawę, co właśnie powiedział, oblał się głębokim rumieńcem. Ścisnęło mnie lekko w żołądku. Nie wiedziałam, że nasza obecność tak bardzo go irytuje. Nie dbałam o to, czy ktoś mnie chce. Chciałam, żeby zostawiono mnie w spokoju. Ale nienawidziłam myśleć o sobie jak o czymś irytującym. Czymś irytującym, czego w żaden sposób nie można się pozbyć. Więc mnie również ucieszyła zmiana tematu.

- Jak możesz mówić o umieraniu? - zapytał. - Dla układu trawiennego to bardzo źle nawet myśleć o takich rzeczach. Jestem pewien, że ona wcale nie umiera. Sprowadzę Houseman na wszelki wypadek, bo nie można dopuścić, żeby ludzie tak po prostu umierali bez potrzeby po całym domu. Oczywiście ludzie kiedyś tam umierają i czasami także w twoim domu, ale nie tak nonszalancko. Bo ty ich zostawiłeś. Bo ty zapomniałeś wezwać lekarza. Zresztą jestem pewien, że to strata czasu. Ale trudno, sama umieściłaś tę myśl w mojej głowie. Możesz winić tylko siebie. - Stryj nacisnął guzik, połączył się ze szpitalem i

zostawił wiadomość.

- Jestem zaskoczona, że znasz jej numer. Jestem zaskoczona, że pamiętasz jej imię - powiedziałam. Nigdy nie zapamiętywał takich rzeczy.

- Jak mam zapomnieć? Wydzwania po piętnaście razy dziennie. Nie żeby rozmawiać ze mną, o nie, to na Humdingera ma oko. On długo nie wytrzyma. Brak mu kręgosłupa. Ta kobieta zaciągnie go przed ołtarz, a potem zabierze do Vancouver. Zanim nadejdzie lato, zapamiętaj moje słowa. Będzie letnie wesele, z gośćmi w długich, zwiewnych, białych szatach, z kwiatami i na boso. Prawdopodobnie będą chcieli zorganizować ślub na wyspie. Jeśli się zastanowić, zapewne chcieliby też wychowywać swoje dzieci w tym domu, gdyby tylko ona znalazła zatrudnienie na wyspie, co jest, dzięki Bogu, niemożliwe. Każdy chce tu przyjeżdżać. Ja tego po prostu nie rozumiem. Ja tego po prostu nie rozumiem.

- Jeszcze jedna rzecz...

- Cóż, ostatnio jest ich sporo, prawda?

- Pani Mendelbaum chce, żebyś zorganizował łódkę, która przywiezie Sophie, bo ona boi się samolotów. Nie wsiądzie z Samem do helikoptera.

- Ale Sam nie umie prowadzić łodzi - rzekł stryj Marten, wracając do pracy. - Nigdy tego nie robił. Nie lubi oceanu. Lubi powietrze. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Ale on nie może być jedyną osobą, która mogłaby doprowadzić tutaj łódź.

- Hmmm? Nie, zapewne nie. Przeczy temu rachunek prawdopodobieństwa. W każdym razie ja jestem zajęty. Niech Humdinger o tym pomyśli. Czy nie po to jest?

- Myślę, że go zatrudniłeś, aby otwierał drzwi.

- W zasadzie zatrudniła go pani Mendelbaum i o ile pamiętam, zrobiła to, żeby się martwił - ale martwienie się najwyraźniej nie jest jego mocną stroną, więc zobaczmy, jak sobie poradzi z załatwieniem łodzi. A teraz zostaw mnie samego.

Ze stryjem Martenem było zarazem i łatwiej, i trudniej niż z innymi ludźmi, ale nigdy nie miałam pewności, co okaże się łatwiejsze, a co trudniejsze.

Westchnęłam i poszłam przekazać Jocelyn wiadomości. Chodziła tam i z powrotem, tupiała i nie wydawała się specjalnie zainteresowana. A więc zapukałam do drzwi pani Mendelbaum. Leżała na łóżku, jęcząc.

- Pani Mendelbaum... - zaczęłam.

- Idź sobie.

- Mam dobre wieści.

- Och, och, och... - wystękała i nakryła głowę poduszką.

- Pani Mendelbaum, słyszy mnie pani?

- Och.

Usłyszałam przytłumione jęki.

- Może pani zadzwonić do swojej przyjaciółki Sophie i poprosić, żeby przyjechała. Stryj się zgadza. Mówi, że Humdinger załatwi dla niej łóż.

- Oj - jęknęła pani Mendelbaum. Najwyraźniej lubiła na różne sposoby manifestować złe samopoczucie. Następnie zaczęła chrapać. Przez chwilę się bałam, że może to być przedśmiertne rżenie, więc zerwałam poduszkę z jej twarzy. Była pomarszczona, a pani Mendelbaum oddychała ciężko, pogrążona w najgłębszym, najnędniej wyglądającym śnie, jaki kiedykolwiek widziałam - jakby zamiast przynosić ulgę, był dla niej torturą.

- Pani Mendelbaum? - podjęłam próbę kontaktu, ale ona dalej chrapała. Postanowiłam jej nie budzić. Resztą mogła zająć się Jocelyn.

Może stryj ma rację i doktor Houseman jednak powinna ją zobaczyć? Poszłam z powrotem do pokoju Jocelyn. Nie przestała chodzić tam i z powrotem ani tupać, więc pomyślałam, że może ma odrę. Nadal wydawała się przebywać gdzieś daleko. Prawie tak daleko jak pani Mendelbaum. Tworzyły zgrany zespół, to fakt.

- Słuchaj, Jocelyn - oznajmiłam. - Będziesz musiała sama powiedzieć pani Mendelbaum o Sophie, bo mnie ona nie posłucha.

Jocelyn tylko skinęła głową, jakby nie miała czasu na rozmowę.

Od nikogo żadnego „dziękuję”. Żadnego uznania. Poszłam do sypialni. Kiedy tam dotarłam, zdałam sobie sprawę, że nawet nie powiedziałam Jocelyn o cmentarzysku. Miałam się wrócić, ale zmieniłam zdanie. Po co? Było jasne, że ona już nie dba o samolot.

Mijał dzień za dniem, jeden podobny do drugiego. Spałam albo siedziałam w samotności. Noce spędzałam na cmentarzysku. Wreszcie zdałam sobie sprawę, że nawet Humdinger, ze swoim talentem do skradania się, nie mógłby mnie śledzić w drodze na cmentarz. Z okna domu łatwo było zobaczyć, jak idę do stodoły, a potem mnie szpiegować. Ale cmentarzysko znajdowało się daleko od domu. A zresztą kogo to w ogóle obchodzi? Co mógł zrobić Humdinger? Samolot był prawie gotowy.

W domu panowała głęboka cisza. Jocelyn i pani Mendelbaum nie opuszczały swoich pokoi, a stryj chyba tego nie zauważał. Przygotowywał się do konferencji i jadał w milczeniu, czytając podczas kolacji. Szczeniak przebywał z Humdingerem, a kotka ze stryjem. W takiej śmiertelnie cichej samotności moje myśli zaczęły dryfować w stronę domu. W niektóre noce odpuszczałam sobie pracę i przewracałam się na drugi bok, żeby spać dalej. To przerażało mnie bardziej niż cokolwiek innego. Nie mogłam sobie pozwolić na utratę rozpedu.

W dzień przyjazdu Sophie bytam pierwszą osobą, która ją zobaczyła. Znajdowałam

się w drodze na cmentarzysko samolotów, kiedy łódź przybiła do brzegu. Był to mały kuter rybacki, a ja pomyślałam, że Humdinger jest bardzo zaradny. Zaintrygowało mnie, jak go załatwił. Pani kapitan albo rybaczką, wszystko jedno, pomogła Sophie przesiąść się do pontonu, którym powiosłowała do brzegu, a następnie wyciągnęła go z pasażerką w środku na kamienistą plażę. Stałam i patrzyłam, i już chciałam zabrać naszego gościa do domu, ale potem postanowiłam, że nie - nie jestem komitetem powitalnym, moja praca nad samolotem dobiega końca i wkrótce stąd wyjadę. Nie chciałam, by Sophie robiła sobie nadzieje, że ma we mnie przyjaciółkę, więc patrząc, jak rozglądają się zdeorientowane, wreszcie wzruszyłam ramionami i pomaszero wałam na cmentarzysko.

Spędziłam dzień na mocowaniu skrzydła oderwanego od kadłuba. Kiedy wieczorem przyszedłam na kolację, zastałam Sophie przy stole. Humdinger przygotował jej miejsce w połowie długości blatu, które zwykle zajmowała Jocelyn, ale ona usiadła obok stryja i zaczęła wciągać go w rozmowę. To wyraźnie przeszkadzało mu w czytaniu, jednak uprzejmość nakazywała, żeby słuchał.

- Ach - rzekł, gdy mnie zobaczył. - Oto Meline. Meline, kochanie, to jest panna Babilińska. Musisz zapewnić jej rozrywkę. Naprawdę musisz - dodał nieco zbyt dobitnie. Wtedy jednak Humdinger wniósł zupę z dyni, co odwróciło uwagę

Sophie, która próbowała odbierać od niego potrawy przez całą kolację. Było jasne, że nigdy nie obsługiwał jej lokaj, i prawdopodobnie myślała, że to uwłacza Humdingerowi. Ale z moich obserwacji wynikało, że godność Humdingera jest nienaruszalna i że nie ma ona nic wspólnego z powinnościami służącego. Chociaż nie, właściwie wydawało się, że godność Humdingera pochodzi właśnie z jego biegłości służącego, ze zręcznego zajmowania się rzeczami, które muszą zostać zrobione. Miałam również wrażenie, że godność Humdingera bierze się stąd, iż nie przejmuje się on zanadto swoją godnością.

Sophie była zrozpaczona, choć on cały czas ją uspokajał i dawał znaki, aby usiadła i przestała się martwić. Przecież to jego praca. Ja tymczasem z entuzjazmem rzuciłam się na zupę. Byłam przemarznięta do szpiku kości, a moje ręce zrobiły się czerwone i spierzchnięte od ślęczenia nad zimnym, mokrym metalem.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziałam. - Straciłam poczucie czasu.

Istotnie, pracowałam nad szczególnie trudnym złączeniem. W miejscu, gdzie znajdował się ster wysokości, brakowało ogromnego kawałka metalu i musiałam coś dosztukować. Nadal nie byłam pewna, jak się tnie metal. Trzeba wejść do internetu i sprawdzić.

- Nie ma sprawy, moja droga. Mówiłem właśnie panie Babilińskiej, że w przyszłości



nie będę w stanie jadać z wami kolacji. Mam tak dużo do zrobienia przed wyjazdem na konferencję. Na szczęście, skoro przyjechała, możecie dotrzymywać sobie towarzystwa.

- Jak się czuje pani Mendelbaum? - spytałam uprzejmie Sophie, bo najprawdopodobniej spędziła z nią popołudnie.

Dobrze, że to nie musiałam być ja.

- Panna Babilińska powiadomiła mnie, że pani Mendelbaum czuje się bardzo dobrze. To dla niej bardzo pocieszające - świadomość, że ma tu przyjaciółkę.

- Od serca - powiedziała panna Babilińska, wpychając do ust mięso.

Gdy Humdinger wniósł talerze, po krótkiej szarpaninie Sophie pozwoliła mu podać drugie danie. Słyszałam wcześniej, jak pani Mendelbaum mówiła o niej „Sophie”, i teraz było mi trudno nazywać ją „panną Babilińską”, co zresztą groziło połamaniem języka. Na stole pojawiły się plastry mostka i pierogi, które, jak przypuszczam, Humdinger zrobił specjalnie na powitanie gościa, oraz cymes z kandyzowanych marchewek, ziemniaczanego purée i brukselki. Lokaj nawet nie próbował nakładać mostka na mój talerz, bo zdążył się już zorientować, co jem, a czego nie. Jego głęboka świadomość różnych rzeczy kontrastowała z absolutną nieświadomością stryja. I właśnie dlatego nagle zaczęło mnie skręcać z nerwów: a jeśli nie doceniam Humdingera? Jeśli on może coś zrobić, żeby powstrzymać mnie przed ukończeniem maszyny latającej? Jeśli po prostu czeka do ostatniej sekundy, by zniweczyć moje plany? Byłyśmy tak blisko...

Usłyszałam głosy dobiegające z kuchni.

- Kto jest w kuchni z Humdingerem? - spytałam.

- Ta lekarka - odparł stryj, patrząc na mnie znacząco, unosząc brwi i dotykając nosa. - Przyjechała zbadać panią Mendelbaum, która, nawiasem mówiąc, nie chciała wpuścić jej do pokoju i wszczęła awanturę. Tak, wiele straciłaś, włączając się przez cały dzień. A potem doktor Houseman poszła zbadać Jocelyn, której nie poprawia się wystarczająco szybko, i oświadczyła, że zajmie jedną z tych błyskawicznie znikających wolnych sypialni, aby mieć oko na obie.

- Nie rozumiem. Czy ona nie musi chodzić do pracy?

- Sam będzie ją woził tam i z powrotem. Ona ma z sobą walizkę. Widziałem, jak ją wnosiła.

- Ale nie może tego zrobić, prawda? To znaczy... To jest twoja wyspa.

- Cóż, była moja... - rzekł stryj Marten, z roztargnieniem wracając do lektury.

W tym momencie Humdinger wniósł deser. Sophie pochłonęła łączywie lody, jakby się bała, że ktoś je zaraz zabierze. Aż do końca kolacji nie zadała sobie nawet trudu, by na

mnie spojrzeć, a kiedy już to zrobiła, popatrzyła wielkimi i pustymi oczami. Są ludzie, o których od razu wiesz, że nie są zbyt bystrzy. Zrozumiałam, dlaczego pani Mendelbaum powiedziała, że Sophie zrobi dla niej wszystko. Było jasne, że sama nie wpadłaby na żaden pomysł. Miała obwisłą szczękę basseta, ale też ogromne, ufne i melancholijne oczy. Nie poświęcała mi większej uwagi niż inni. Przyjechała tu z powodu pani Mendelbaum. I najwyraźniej była zachwycona Humdingerem, z jakiegoś dziwnego, bassetowego, prywatnego powodu.

Pewnego wieczoru po kolacji, kiedy Sophie wstała od stołu przed deserem, bo pani Mendelbaum poprosiła o przyniesienie go na górę na tacy, stryj Marten odwrócił się do mnie i spytał:

- Jak długo ona zamierza tu mieszkać?

Sophie częściej jadała z panią Mendelbaum, więc stryj najwyraźniej zapomniał o swojej groźbie nieschodzenia na kolację i znów zakradał się na dół na posiłki. Czasami słyszeliśmy dobiegające z góry rozmowy w jidysz. Nadawało to domowi dziwnego, międzynarodowego klimatu - jidysz na górze, angielski na dole, jakbyśmy byli w Unii Europejskiej.

Wzruszyłam ramionami.

- Wprowadziła się na dobre?

Znów wzruszyłam ramionami.

- Cóż, sformułuję to następująco: czy przyjeżdżając, miała dużo rzeczy, które rozpakowała i ułożyła porządnie w szufladach?

- Naprawdę nie wiem - odparłam, bawiąc się nonszalancko puddingiem ryżowym. - W pontonie miała chyba dużo pudeł. Ale nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, że należały do niej, bo nie widziałam, żeby je wyciągała. Mogły należeć do właścicielki łodzi.

- Właścicielki łodzi?

- Dlaczego właścicielka łodzi miałaby wozić w pontonie mnóstwo pudeł?

- Cóż...

- No właśnie. Wierz mi, to jest dowód. Pudła. Wprowadziła się. Straciłem kolejną sypialnię.

Znów wzruszyłam ramionami. Stawałam się w tym coraz lepsza.

Miałam nadzieję, że z przybyciem Sophie pani Mendelbaum zerwie więzi z Jocelyn, która przyłączy się do budowania samolotu, ale powoli zaczęłam akceptować fakt, że ona nigdy nie będzie chciała wstać z łóżka. To już nie wyglądało na wspólny projekt. Gorączkowo pracowałam. Wychodziłam z domu wcześniej rano i uwijałam się w deszczu, aż

byłam przemoczona do suchej nitki, potem wracałam na obiad, żeby się przebrać i zjeść, i znów wychodziłam. Było coraz dłużej widno i powoli zaczęło do mnie docierać, że drzewa wypuszczają pąki. Humdinger najwidoczniej znajdował moje mokre ubrania, gdziekolwiek je chowałam, i zawsze w końcu lądowały uprane, wysuszone i złożone na moim łóżku. Wydawało mi się to dość natarczywe. Tak jakby chciał podkreślić, że nie mam przed nim żadnych tajemnic. Po deszczowym dniu następował kolejny deszczowy dzień. Kwitły żonkile, drzewa pokrywały się kwiatami, ale deszcz pozostawał szarą, przemożną siłą.

Pewnego wieczoru siedziałam w fotelu przed kominkiem, zerkając na Humdingera, który niósł kosz z moim praniem na górę. Nagle doktor Houseman wpadła do domu cała przemoczona i usiadła koło mnie z pląśnięciem. Drżała i przecierała wilgotną od deszczu twarz, a potem wyciągnęła ręce do ognia.

- Uff... - rzekła. - Długi dzień. Dzięki Bogu, Sam był punktualnie. Myślę, że gdyby się spóźnił, dziś w nocy spałabym w szpitalu. Nie miałam siły, żeby czekać na tym wietrznym lądowisku. Paskudna pogoda.

- Dlaczego nigdy nie śpi pani w domu? Po co zadaje sobie pani tyle trudu, żeby spać tutaj? Jocelyn i pani Mendelbaum nie są aż tak chore, prawda?

- Cóż...

Miałam wrażenie, że chce mi o czymś powiedzieć, ale potem zmieniła zdanie. Przez chwilę siedziała cicho w fotelu. Była jedną z tych osób, które czują się dobrze ze swoim własnym milczeniem. Następnie oznajmiła:

- Stanowią dla mnie dość tajemniczy przypadek. Nie dochodzą do siebie tak szybko, jak bym chciała. Nie potrafię powiedzieć, czy to jakiś rodzaj kolejnej infekcji, czy raczej depresja. Humdinger mnie poprosił, żebym miała oko na wszystko.

Och, Humdinger poprosił, tak? A więc odwzajemniał romantyczne uczucia doktor Houseman...

- Moim zdaniem Jocelyn jest po prostu naćpana. Ciągłe pije ten tajemniczy syrop na kaszel. Twierdzi, że dostała go od pani. I nie byłabym zaskoczona, gdyby pani Mendelbaum zażywała to samo lekarstwo, bo w Boże Narodzenie ciągle chodziła z taką butelką czarnej substancji.

- Ja im go nie dawałam. Jak myślisz, skąd mają ten syrop?

- Od Humdingera! - oświadczyłam. Ulżyło mi. Jeśli ktoś zostanie otruty, będę miała czyste sumienie. A ona powinna wiedzieć, w co tak romantycznie się zaangażowała.

Ku mojemu zdumieniu doktor Houseman, zamiast wyglądać na zszokowaną lub zmartwioną, pozwoliła, by jej twarz przeciął słaby, zmęczony uśmiech. I siedziała z tym

uśmiechem zastygłym na ustach, jakby ubawiona jakimś własnym żarciem.

- Przepraszam - powiedziała, w końcu wracając do rzeczywistości. - Ojej, to był długi dzień. Dlaczego Humdinger miałby dawać Jocelyn i pani Mendelbaum syrop na kaszel?

- On próbuje je otruć. Mówię pani, ten człowiek, cóż, zachowuje się podejrzanie.

- Bezsprzecznie - stwierdziła doktor Houseman i znów się uśmiechnęła. - Słuchaj - zaczęła, nachylona nade mną, ale właśnie wtedy wszedł Humdinger i zaproponował doktor Houseman kolację. Lekarka poszła za nim do kuchni, mrugając do mnie porozumiewawczo.

Cóż, oczywiście nie posłucha. Czego się spodziewałam, jeśli stryj ma rację i ona się w nim kocha? Nie uwierz, że to truciciel. Prawdopodobnie mu powie, że jestem na jego tropie, i będzie dwa razy trudniej go przyłapać. Z drugiej strony, może on się przestraszy i przestanie podtruwać Jocelyn i panią Mendelbaum. Samolot jest prawie skończony. Trzeba jedynie dokręcić parę śrub. Zostały jakieś dwa dni pracy. Czy Jocelyn wydobrzeje w ciągu dwóch dni? Gdybym tylko data radę zawlec ją do wózka i przewieźć do samolotu. Nie byłam pewna, czy jeszcze zależy jej na tym, aby dokądkolwiek lecieć, ale zabranie Jocelyn wydawało się słuszne. Jakbym teraz musiała za nią myśleć i dotrzymać obietnicy, że ją zabiorę. Spróbowałam sobie wyobrazić, co zrobi Humdinger. Czy będzie nas ścigał przez łąkę? Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby biegał. Ale jak inaczej mógłby pokrzyżować nasze plany? Czy podsunie lekarstwo również mnie? Doda go do mojego jedzenia? Byłam tak blisko ukończenia samolotu, że obiecałam sobie nic więcej nie jeść. Wtedy nie powstanie niebezpieczeństwo, że zostanę odurzona jak Jocelyn. Z drugiej strony, po co Jocelyn samolot, skoro ma syrop na kaszel? Znalazła swój własny sposób, żeby wzbić się ponad wszystko. Znalazła swoją własną drogę ucieczki. I w tym momencie pogodziłam się z jej utratą. Zresztą nie wiem, dlaczego w ogóle myślałam, że ona i ja musimy współpracować. Przecież prawie wszystkiego dokonałam sama.

Następnego dnia skończyłam skręcanie maszyny. Włączyłam silnik. Powinam szaleć z radości, słysząc cudowny warkot motoru, który przywróciłam do życia po tylu latach lenistwa i bezużyteczności, ale zamiast tego siedziałam w fotelu pilota oklapła i wykończona. Przez pokrytą kroplami deszczu przednią szybę patrzyłam na kwitnące drzewa i nic nie czułam. Nic nie miało znaczenia. Bez Jocelyn nie było nikogo, kto mógłby chociaż zobaczyć, jak wzbijam się w powietrze. To dziwne wyspa uczucie - nie mieć żadnego świadka, nawet takiego, za którym specjalnie nie przepadasz. Próbowałam wzbudzić w sobie trochę emocji. Może po prostu należało coś zjeść. Może doświadczałam właśnie spadku energii i potrzebowałam jedzenia. Miałam nadzieję, że mój problem - czymkolwiek był - łatwo rozwiązać, bo nie potrafiłam już wytrzymać z poczuciem, że nic nie miało sensu, ani teraz,

ani wcześniej. W strugach deszczu powlokłam się do domu, żeby znaleźć w kuchni jakieś niezatrute jedzenie, i po drodze zawadziłam stopą o pudło, które leżało przemoczone w rowie. Kolejna dostawa Sama. Karton przemókł do szczętu i niemal całkowicie się rozpadł.

Zgarnęłam zawartość i zabrałam do swojego pokoju.

To, co rozsypałam na podłodze w sypialni, stanowiło ubłocone resztki albumu fotograficznego ze zdjęciami matki i ojca. Musiał zostać przysłany przez wykonawcę testamentu. Nie oglądałam twarzy rodziców od miesiący. A teraz nie mogłam się ruszać ani patrzeć, ani czuć, ani myśleć. Przeleżałam w łóżku cały dzień. Nie chciałam już wzbąć się w powietrze. Nie chciałam niczego. Przypomniałam sobie bezwładne ciała w bramach wschodniego Vancouver. Jak mało wtedy rozumiałam. Nie wiedziałam, jak bardzo rzeczy mogą się pogorszyć...

Kiedy zapadł zmierzch, po raz ostatni pomaszerowałam mozolnie do samolotu. Włączyłam silnik i przesunęłam dźwignię przepustnicy. Śmigło zaczęło wirować, a ja skierowałam się ku pokrytym koleinami pozostałościom po pasie startowym. Raz po raz podrzucało mnie tak silnie, że waliłam głową w sufit. A potem, w niewytłumaczalny sposób, wszystko poszło źle. Samolot się przechylił i skrzydło uderzyło o ziemię. Straciłam kontrolę nad sterem, a silnik zaczął wydawać dziwne dźwięki. Rzuciło mnie na boki. Wśród odgłosów miażdżonego metalu desperacko próbowałam osiągnąć pion. Maszyna kręciła się w kółko. Szukając deski rozdzielczej z przyrządami, przypominałam sobie, że jej nie ma. Chwyciłam gorączkowo za ster, usiłując cofnąć dźwignię, ale się zaklinowała. Miałam coraz gwałtowniejsze mdłości od patrzenia na wirującą w oddali linię drzew. Następnie coś uderzyło mnie w potylicę.

Kiedy się ocknęłam, moja głowa krwawiła. Na zewnątrz było ciemno, marzłam i trochę mnie mdliło. Przez chwilę myślałam, że oderwałam się od ziemi i rozbiłam. Potem wyjrzałam przez okno, zobaczyłam światła domu oraz skraj lasu z cmentarzyskiem i zrozumiałam, że samolot rozleciał się przed startem. Dotknęłam włosów zlepionych krwią i jęknęłam. Wypełzłam z wraku. Wszędzie na ziemi leżały porzucane części maszyny, jakby samolot po prostu rozpadał się kawałek po kawałku, kołując. Ale jak to możliwe? Wszystko przecież sprawdziłam. Humdinger! Ta myśl wzbudziła we mnie taką wściekłość, że poczułam wybuch adrenaliny, która napełniła moje nogi niespodziewaną siłą. Wróciłam do domu, wpadłam do łazienki, cisnęłam brudne ubrania na podłogę i oczyściłam ranę. Przygotowałam sobie kąpiel i rozgniewana siedziałam w wannie, dopóki ciepło nie wróciło. Potem włożyłam czyste ubranie i poszłam do gabinetu stryja, nie wiedząc, czego zamierzam zażądać - może zwolnienia Humdingera. Jak on śmie? Jak śmie się wtrącać? Tym razem posunął się za

daleko. Powoli pchnęłam drzwi. Stryj spał przy biurku. Już miałam go obudzić, kiedy zobaczyłam stos śrub samolotowych przytrzymujących jakieś papiery.

Byłam tak zaskoczona pomyłką w swoich założeniach, że wymknęłam się bez słowa. To stryj, nie Humdinger, widział, jak pracuję nad samolotem. Stryj usunął śruby. Stryj wiedział. Skąd? Za dużo pytań. Dygocząc z gniewu, poszłam do łóżka. Zbuduję kolejny samolot! Ale kiedy obudziłam się rano, wiedziałam, że koniec z budowaniem. Zobaczyłam Jocelyn idącą do łazienki, odurzoną jak zawsze. Ona świadomie obrała kurs na rozbicie swojego samolotu - wolniej niż ja, lecz skuteczniej. Stryj najwyraźniej tego nie dostrzegał. Wyszłam na dwór i przeszłam przez łąkę, żeby potwierdzić swoje podejrzenia. Oczywiście, wszystkie śruby zostały wykręcone. Poszłam z powrotem na cmentarzysko i poniżej miejsca, gdzie zawsze stał samolot, zobaczyłam trzy nagrobki dotąd przykryte ziemią, a na nich: podporucznik Vincent Knockers, podporucznik Michael Knockers, podporucznik Gary Knockers. Usiadłam na trawie i długo rozmyślałam.

Później, kiedy byłam już gotowa, poszłam do pokoju stryja. Nie bardzo wiedziałam, jak mam zacząć rozmowę na temat oszustwa, którego dopuścili się on i mój ojciec. A także, jak sądzę, ojciec Jocelyn. Oni wszyscy nas okłamali. Albo przynajmniej nie powiedzieli nam całej prawdy. Otworzyłam drzwi, zawsze lekko uchylone dla kotki, na całą szerokość. Stryj siedział przy biurku, tyłem do mnie, bazgrząc coś jak zwykle. Odchrząknęłam dwukrotnie, zanim się wreszcie odwrócił.

- Och, Meline! - zawołał zaskoczony.

- Poszłam dziś do samolotu, który zbudowałam. A raczej do jego szczątków. Chciałam sprawdzić, czy rozpadł się dlatego, że ktoś wykręcił śruby - oznajmiłam, wpatrzona w podłogę.

Nie odpowiadał. Kiedy podniosłam wzrok, po prostu kiwał głową. Nie zaprzeczał ani się nie przyznawał, ale również nie wyjaśniał ani nie przepraszał.

- Cóż, tam, gdzie wcześniej był samolot, znajdują się trzy nagrobki.

- Podporucznik Vincent Knockers. Podporucznik Michael Knockers. Podporucznik Gary Knockers.

Przytaknęłam.

- Było nas sześciu braci. A w zasadzie sześciu i pół. To ja ukryłem się w helikopterze i doniosłem na naszego ojca. Bo to twój dziadek wymyślił Eskadrę Podniebnych Szkieletów. Pomysł był dobry... Problem w tym, że kosztował ludzkie życie. Dziadek posunął się za daleko. - Stryj robił wrażenie dalekiego i zmęczonego. - Donald i twój ojciec nadal mieszkali w domu. Z matką. Vince, Gary, Mike i ja byliśmy oficerami w oddziale. Gdy na własne oczy

ujrzałem śmierć Vince'a, pomyślałem, że teraz ojciec skończy z tym nonsensem. Choćby ze względu na zmarłego tragicznie syna. Że odeśle nas do domu. Ale on nadal kazał startować. Nie wiedzieliśmy, co robić. Nie było mnie przy tym, jak rozbił się Gary. Pozostali oficerowie opowiedzieli mi o wypadku przy obiedzie. Mike zginął podczas mojej ucieczki.

Gdy donosiłem dowództwu na ojca. To nie byłby zły pomysł, gdyby zadziałał... Latać bez nawigacji... Ale nie zadziałał. Ojciec powinien był przerwać eksperyment, gdy rozbił się pierwszy samolot. Cóż, kiedy złożyłem raport, wysoki rangą oficer przyjechał na wyspę i położył wszystkiemu kres. Nasza matka straciła męża i trzech synów. Musieli ją umieścić w zakładzie - w czymś w rodzaju szpitala psychiatrycznego. I to niezbyt 266 dobrego, bo nie mogliśmy sobie pozwolić na lepszy. Odwiedzałem ją. Zawsze była bardzo rozsądną, praktyczną kobietą. Mieliśmy udane życie rodzinne. Udane święta Bożego Narodzenia. I tak dalej. Myśleliśmy, że z tego wyjdzie, wiesz, pozbiera się, ale nie. Podcięła sobie żyły. Twój ojciec i ojciec Jocelyn wylądowali w rodzinach zastępczych. Ja poszedłem na studia.

Stałam nieruchomo. Nie rozumiałam. Nie rozumiałam, jak on może siedzieć tak beznamyślnie i opowiadać mi tę historię.

Albo jak stryj Donald i mój ojciec mogli zostać pilotami. Jak mogli uczyć mnie i Jocelyn latania...

- To nie do zniesienia... Nie do zniesienia... Nie wiem, jak mogłeś dalej żyć - powiedziałam.

- Cóż, wszystko się powtórzy, jeśli nie dasz sobie spokoju z samolotem. Nie chcę, żebyście odeszły. To może cię zdziwić. Mnie zdziwiło. Nie chcę. Ale odejdziecie. Prawdopodobnie już wkrótce. Pójdziecie na studia, a potem może wyjdziecie za męża, założycie rodziny, wyprowadzicie się. I wtedy nie będziemy potrzebowali już Humdingera i on też odejdzie. A ta usychająca z miłości lekarka nie będzie miała powodu, żeby się tu kręcić. Nie żeby w ogóle ktoś ją zapraszał, ale nie bądźmy zgryźliwi. Co do pani Mendelbaum, nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek ją mieliśmy. Tak. Czasem to jest nie do zniesienia - rzekł stryj Marten.

- Nie chcę budować kolejnego samolotu. To już przeszłość.

- Dobrze - odparł, znów podnosząc długopis.

- Jak możesz podchodzić do tego tak lekko?

- To było dawno temu.

- Ja nie chcę myśleć w ten sposób. Nie chcę nigdy uznać, że minęło dość czasu, by zapomnieć o rodzicach. To by było jak wsiąść do pociągu i zostawić ich na peronie, machających na pożegnanie. Tak bym się właśnie czuła. Wyobrażam sobie, że stoję na końcu

jednego z tych wagonów konduktorskich, za składem towarowym. Wiesz, co mam na myśli?

Potwierdził ruchem głowy.

- Ja macham i oni machają, i stają się coraz mniejsi i mniejsi... - Nagle urwałam. Stryj tylko na mnie patrzył. - Nie potrafię zapomnieć. Pękłoby mi serce, gdyby oni poczuli, że mogłabym ich zostawić na tym peronie. Nie sądzę, żebym umiała. Nigdy. A to oznacza, że nie jestem też w stanie iść naprzód. Kręcę się w kółko, ciągle w tym samym miejscu.

- Powinnaś była zbudować helikopter, nie samolot - zasugerował stryj Marten.

Roześmiałam się, chociaż to chyba nie miało być zabawne.

- Bo widzisz, ja wszystko postrzegam odrobinę inaczej - powiedział, znów odkładając długopis i bujając się na krześle z wyrazem zamyślenia na twarzy. Splótł palce. - Ja widzę to na kształt jeziora. Kiedy musisz zostać z kimś rozdzielona, przenosisz się tylko w inną jego część.

- Ale oni nadal są w jeziorze?

- Oni są jeziorem. Tak samo jak ty.

- Skąd wiesz, że to prawda?

Okręcił się na krześle i popatrzył na mnie przeciągle. Na chwilę jego wzrok stwardniał.

- Nie wiem, czy to prawda, Meline. Mam taką nadzieję. Czasami sobie myślę, że wierzymy w te rzeczy tylko dlatego, że inne są nie do pomyślenia.

Potem wrócił do swojego bazgrania, a ja poszłam do pokoju Jocelyn. Usiadłam na brzegu łóżka i czekałam na jej narkotyczne przebudzenie.

- Jocelyn, czemu masz pewność, że oni zginęli?

- Ccco? - wyjąkała słabo, a następnie opadła z powrotem na poduszkę. - Dlaczego teraz o to pytasz?

- Bo pytam.

- Nie chcesz wiedzieć - odparła znużona, próbując usiąść.

- Naprawdę.

Przez chwilę siedziałam w ciszy, rozważając jej słowa. Potem powiedziałam:

- To było straszne, prawda? Widziałaś ich?

- O drugiej następnego dnia poszłam identyfikować zwłoki...

Jocelyn przerwała i zaczęła płakać. Wzięłam ją w ramiona. A mój samolot zaczął powoli schodzić w dół, w dół i w dół, na ziemię, której istnienia nawet nie podejrzewałam.

Później opowiedziałam Jocelyn o cmentarzysku i o sześciu braciach. Właśnie wtedy przypomniałam sobie, że było ich sześciu i pół, więc poszłam zapytać stryja, kto jest tym



połówkowym. Okazało się, że Sam.

Jego matka, osoba dość swobodnego prowadzenia się, miała wakacyjny romans z naszym dziadkiem. Podczas gdy Sam przebywał w Wietnamie, ta kobieta, której nie zostało już nic poza bezustanną troską o syna, odkryła, że może mieć piękne sny dzięki rozsądnej mieszance tabletek nasennych i wódki. Pewnej nocy okazało się jednak, że nie jest w stanie zasnąć nawet po zwykłej dawce, więc zapadła w dużo twardszy sen. Sąsiedzi, chyba nie najzaciejsi ludzie na świecie, zauważyli jej nieobecność, ale tylko wzruszyli ramionami. Nerwowa, bezładna paplanina matki Sama o synu - w windzie i przy skrzynkach na listy - nie przyczyniała się do jej popularności. Więc znaleźli ją dopiero wtedy, gdy z mieszkania zaczął wydobywać się zapach, i byli bardzo, bardzo poirytowani, gdyż zapach ten utrzymywał się przez całe tygodnie. Powiedzieli o tym Samowi, kiedy chłopak wrócił do Kalifornii, a on, nie zwlekając, wyjechał do Kanady, żeby poszukać ojca i miłszych sąsiadów. Ale nasz dziadek umarł tymczasem w więzieniu. Najwyraźniej więc, chociaż Sam bał się jechać do Wietnamu, to w Ameryce Północnej padły wszystkie ofiary. Kiedy kapelan więzienny powiedział mu, że ojciec nie żyje i że nigdy nie wspominał o nieślubnym synu, Sam zaczął pić. Stracił pracę w sześciu różnych firmach, które czarterowały helikoptery, aż wreszcie przeczytał niewielki artykuł w lokalnej gazecie o Martenie Knockersie, właścicielu wyspy Eskadry Podniebnych Szkieletów. Wszystko zrozumiał i zadzwonił do stryja, który był odrobinę zdezorientowany na wieść o przyrodnim bracie, ale ostatecznie potrzebował kogoś, kto zająłby się dostawami. Pilot jednak nigdy nie postawił nogi na wyspie.

- Taki jego mały kaprys - powiedział stryj.

I wreszcie Humdinger! Doktor Houseman przyszła przesłuchać mnie w sprawie syropu, a kiedy potwierdziłam wersję Jocelyn, mówiąc, że to domowe lekarstwo, ona po prostu wzruszyła ramionami i odpuściła. Powiedziałam bezczelnie, że pewnie jest zadowolona, że to nie trucizna, bo nie chciałaby chodzić na randki z trucicielem, a lekarka się roześmiała. Oświadczyła, że nie mogłaby się umawiać z Humdingerem, nawet gdyby chciała, bo on jest duchownym. Księdzem z parafii Sophie. Byłam zdumiona, bo przecież Sophie to Żydówka. Chodziła do szulu z panią Mendelbaum. Mówi w jidysz.

Zaczęłam rozumieć, że tak naprawdę nic o nikim nie wiem. A wtedy doktor Houseman zapoznała mnie z historią, którą opowiedział jej Humdinger.

Sophie była kiedyś biedną katoliczką dziewczyną. Pracowała jako pokojówka dla żydowskiej rodziny. Kiedy do Polski weszli naziści, zabili pracodawców Sophie, lecz jej się udało wykraść z domu najmłodszego syna Michała. Ukrywała go, traktowała jak własne dziecko, a po wojnie zabrała do Palestyny, bo zamierzała odnaleźć krewnych Michała i razem

z nimi wychować chłopca na Żyda, czego życzyłyby sobie jego matka. Ci jednak, chociaż bardzo wdzięczni za ocalenie mu życia, nie chcieli pogodzić się z faktem, że miałby on dorastać pod opieką katolickiej służącej. Załatwili Sophie pieniądze na podróż do Kanady i pracę w Vancouver w zamian za oddanie Michała. Nie chciała tego zrobić, ale byli tak nieugięci, że wreszcie ustąpiła. Choć pisała do chłopca listy, nie dostawała odpowiedzi. Może krewni je ukrywali, a może on nie zwracał sobie głowy odpisywaniem? Jakkolwiek było, to złamało jej serce. Poszła po pomoc do gminy żydowskiej, gdzie wiedzieli, że Sophie jest jedną ze Sprawiedliwych, którzy ratowali Żydów podczas wojny. Znaleźli Michała i ściągnęli do Kanady. Oczywiście dla Sophie on nadal był synem, lecz ona dla niego - tylko odległym wspomnieniem z dawnych czasów. Nieszczęśliwych i przerażających. Michał był greczny i bardzo zobowiązany, ale wyraźnie poczuł ulgę, gdy przyszedł czas powrotu do Izraela.

Potem Sophie spotkała przypadkiem panią Mendelbaum, którą pamiętała z gminy. Wiedziała już, że choć przez tyle lat nosiła Michała w sercu, on nie był jej synem. Nigdy tak naprawdę nie miała rodziny, a pani Mendelbaum właśnie straciła swoją, zostały więc przyjaciółkami. Razem piekły co piątek szabasowe strucle. I kiedy pani Mendelbaum przeprowadziła się na wyspę, Sophie wpadła w panikę. Uznała, że to bardzo ryzykowne. Nie wiedziała, co robić. Była chora ze zmartwienia i poszła nawet na posterunek, ale, oczywiście, policja uprzejmie ją zbyła, więc poprosiła o pomoc swojego księdza, ojca Johna Humdingera. A Humdinger zrozumiał, że ona pragnie, by odkrył, że naprawdę dzieje się coś złego, bo wtedy pani Mendelbaum musiałaby wrócić. Obiecał, że pojedzie na wyspę i sprawdzi, czy przyjaciółka jest bezpieczna, porozmawia z Martenem Knockersem, nie zdradzając swojej tożsamości. Nikt, absolutnie nikt, jak oświadczyła wówczas Sophie, nie mógł się dowiedzieć o ojcu Johnie. Albo pani Mendelbaum pęknie ze złości.

Humdinger nie wiedział, jak wyjaśnić swoją obecność na wyspie. W desperacji chciał nawet powiedzieć stryjowi, że sprzedaje encyklopedie. To, jak zrozumiał później, kiedy już trochę poznał Martena Knockersa, nawet nieźle by zadziało. Ale na szczęście nie musiał się uciekać do tego wybiegu, bo pani Mendelbaum rozwiązała problem, zatrudniając go jako lokaja. A więc Humdinger pozwolił stryjowi wierzyć, że przyjechał na rozmowę o pracę, zamierzając nie przyjąć posady, a tymczasem spełnić obietnicę złożoną Sophie, upewniając się, że z panią Mendelbaum wszystko w porządku. Ale najwyraźniej nie wszystko było w porządku.

Gdy Humdinger rozejrzał się wokół i zobaczył zapchany zlew, bliską histerii panią Mendelbaum, dwie osierocone dziewczynki oraz stryja, którego przerosła sytuacja, stwierdził, że jest potrzebny. Napisał więc do swojego biskupa i otrzymał zgodę na urlop, którego nie

brał od dwudziestu lat. Zatrzymał tylko koloratkę. Znalazł na zastępstwo młodego księdza, który przejął jego obowiązki w ulicznym schronisku, gdzie pracował na pół etatu i skąd znał doktor Houseman. Lekarka raz w tygodniu rano odwiedzała tamtejszą darmową klinikę dla biednych.

Spytałam doktor Houseman, dlaczego Sophie zataiła tożsamość ojca Johna, i usłyszałam, że pani Mendelbaum nie znosiła zachwyty przyjaciółki nad księdzem. Uważała, że Sophie jest zaślepiona. Pewnego dnia miała już dosyć i surowo zakazała rozmów na jego temat. A Sophie nie chciała ryzykować utraty przyjaźni. Więc pani Mendelbaum po prostu nie mogła poznać prawdy.

Została do wyjaśnienia już tylko jedna kwestia.

- Co z bykiem? - zagadnęłam stryja.

- Jakim bykiem? - spytał nieprzytomnie.

No i w końcu nie poznałam historii byka. Dowiedziałam się za to, że stryj miał rację. Doktor Houseman była zakochana w Humdingerze. Wyspa Zmusitam ją, żeby się przyznała, kiedy powiedziała, że wkrótce porzuci wyspę na rzecz publicznych małomiasteczkowych szpitali w Manitobie.

- Będzie pani tęsknić, prawda? - spytałam przebiegle.

Wtedy ona kazała mi obiecać, że nie poruszę tego tematu nigdy więcej, zwłaszcza w obecności Humdignera, który mógłby poczuć się nieswojo. I dodała, że skoro wkrótce wyjeżdża, owszem, może przyznać, że kocha ojca Johna. I choć wie, że nic by z tego nie wyszło, nie szkodzi, bo ona nie przywiązuje się do nikogo w zawłaszczający sposób. Że kiedy jest z kimś, to dobrze, a kiedy nie jest, to też dobrze. Że to jest taki niez-274 angażowany rodzaj miłości.

Kilka dni później, gdy niosłam pani Mendelbaum tacę, wyręczając Humdignera, doktor Houseman opuszczała jej pokój z butelką syropu na kaszel. Pani Mendelbaum była wściekła na lekarke, która skonfiskowała syrop i właśnie szła porozmawiać z Sophie o jego tajemniczej zawartości, bo chociaż początkowo zlekceważyła to „niewinne ziołowe lekarstwo”, była zdziwiona, dlaczego obie jej pacjentki cały czas są odurzone. Przed wyjazdem do Manitoby chciała się upewnić, że syrop naprawdę jest nieszkodliwy. Ale nawet gdyby pani Mendelbaum nie była rozzłoszczona na doktor Houseman, i tak wiedziałam, że nie ma o niej dobrego zdania.

- Brak jej zrozumienia, tej jednej - oznajmiła. - Ma w sobie współczucie, ale żadnej litości.

Powtórzyłam słowa doktor Houseman o nieangażowaniu się, a wtedy pani

Mendelbaum oświadczyła:

- To znaczy nie kochać. Żeby kochać, zawierasz umowę ze światem, że pewnego dnia zostaniesz rozłączona z ukochaną osobą i zdruzgotana przez stratę, ale przynajmniej wiesz, jaka jest cena. I zgadzasz się na taką cenę. Szejn wi di zibn weltn, heldisz. Miłość bez zaangażowania, ech, nie ma czegoś takiego. Taka miłość to tylko uprzejmość.

Po tej rozmowie poszłam do pokoju Jocelyn. Rozmawiałam z nią teraz codziennie. Przez większość czasu nadal była oszołomiona i niepozbita, ale opowiadałam jej o wszystkich wydarzeniach.

Jocelyn nieprędko się uwolniła spod wpływu syropu. Pani Mendelbaum jednak już z tego nie wyszła. Nie chciała nowego początku. Miała dosyć. Brakowało jej siły. Serce zostało w tyle, z czterema zmarłymi synami i mężem. W każdym razie próbowaliśmy przynieść jej na koniec trochę ulgi i chyba się udało. Humdinger, Jocelyn, Sophie i ja - wszyscy byliśmy przy niej, kiedy zmęczonym, ale zdecydowanym głosem powiedziała:

- Sof kol sof.

I umarła.

Chciałam wiedzieć, co znaczą ostatnie słowa pani Mendelbaum, więc przyszło mi do głowy, że mogłabym się uczyć jidysz. Żałowałam, że nie pomyślałam o tym wcześniej podczas owego roku, gdy nie miałam siły na żadne nowe początki, ale teraz zaczęłam brać lekcje u Sophie, której sprawiało to przyjemność. Nauczyłam się:

Ganc kaput - wszystko skończone  
Alterkukerstary lubieżnik  
Gwir - bogacz  
Gut far im - dobrze mu tak

Er zol waksn wi a cibebe, mitn kop in der erd - oby rósł jak cebula, z głową w ziemi  
(rodzaj przekleństwa)

Ich hob es in der erd - mam to gdzieś

Farkukt - niewydarzony

Meszuge - szalony

Szmek tabak - tyle, co nic

Espastnit - nie uchodzi

Kaput - skończony

Cedreyf - stuknięty, pokręcony

Es brent mir afn harc - to szkodzi mi na serce

Herzich ejn - słuchaj no

Got in tom - na Boga

Fajerzol im trefn - niech go szlag trafi

Broche - szczęście, błogosławieństwo

Azes pnim - beczelny typ

Bal tojre - uczonego człowiek

Ganc farmuczet - wykończony

Me ken brechn - można się od tego porzygać

Gojsze - nieżydowski

Szmale - tłuszcz, smalec

Loz mich cu ru - zostaw mnie w spokoju

Sztetl - miasteczko

Aza a jor afmirchciałabym mieć tak dobrze Kabaret forsztelung - przedstawienie kabaretowe Gelibtukochany

Zycf/a/sztyłek; tu żartobliwie - święta cierpliwość Ich zol azoj wisn fun cores - chciałabym mieć tak mało zmartwień

Kadiszel - synek Mejdele - dziewczynka

Es iz a szand far di kindertaka poniewierka dla dzieci Takie mecyje - ale gratka (ironicznie)

Es wet gorniszt helfn - nic nie pomoże Pjese - przedstawienie Meszugener - wariat Szul - synagoga

Szejn wi di zibn weltn - piękny jak siedem światów Heldisz - odważny Sof kol sofnareszcie

Iwreszcie to, co Sophie odpowiedziała pani Mendelbaum na jej „sol kol sof”.

Alejchem szolem - pokój wam.

Polly Horvath

Ta wybitna autorka o kanadyjskoamerykańskim pochodzeniu zaczęła pisać swoją pierwszą książkę, kiedy miała osiem lat, nic więc dziwnego, że od tamtej pory zdążyła zdobyć wiele prestiżowych nagród literackich (między innymi National Book Award i British Columbia Book Prize). Jej ojciec był agentem CIA (po ślubie zmienił zawód i zatrudnił się jako nauczyciel biologii), a matka - pisarką dziecięcą. Zanim Polly została dostrzeżona przez wydawców, ukończyła szkołę tańca i prowadziła zajęcia z baletu. Przez pewien czas mieszkała w Nowym Jorku i Montrealu, potem zaś przeprowadziła się na wyspę Vancouver na Oceanie Spokojnym, gdzie dzieli dom z mężem, córkami, psem i koniem. O swoich powieściach powiedziała kiedyś: „Jeszcze większą przyjemność niż ich pisanie sprawia mi świadomość, że już jestem na ostatniej stronie”.